



SIECI

**FIŃSKA DZIENNIKARKA:
SMOLEŃSK BYŁ
CZĘŚCIĄ WOJNY
PUTINA**



**PORANIONA SEOWACJA
PO ZAMACHU NA PREMIERA
ROBERTA FICĘ**

**EUROWIZJA
TO JUŻ TYLKO
ZŁOŚNA FARSA**

**ZIELONY ŁĄD
NISZCZY EUROPE
- MÓWI NAM
HOLENDERSKI POSEŁ
DO PE ROB ROOS**



SIECI

**NAJWIĘKSZY
KONSERWATYWNY
TYGODNIK OPINII
W POLSCE**

21 (599) 2024

20-26 maja 2024

CENA: 11,90 zł

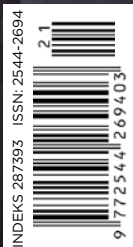
(w tym 8% VAT)



PREMIER RP

KŁAMIE JAK PUTIN

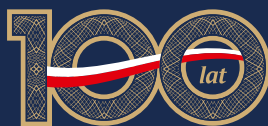
**NIKT NIGDY NIE OSZUKIWAŁ POLAKÓW
TAK CZĘSTO I TAK BEZCZELNIE JAK TUSK.
JAK TO MOŻLIWE? JAK TO DZIAŁA?
SKĄD CZERPIE WZORCE?**



INDEKS 287393 ISSN: 2544-2694



NARODOWY
BANK POLSKI



STULECIE UTWORZENIA
BANKU POLSKIEGO SA
I WPROWADZENIA
ZŁOTEGO DO OBIEGU

Srebrna moneta kolekcjonerska o nominale 1 zł
100. rocznica wprowadzenia złotego do obiegu



Metal: Ag 999/1000 • Wymiary: 40,00 × 40,00 mm • Masa: 28,28 g
Stempel: lustrzany, selektywne złocenie • Brzeg (bok): gładki
Nakład: do 10 000 szt. • Projektantka: Urszula Walerzak • Emitent: NBP
Na zlecenie NBP monety wyprodukowała Mennica Polska SA

*Narodowy Bank Polski niezależny od rządu i parlamentu
oraz stabilna własna waluta są finansową podstawą
rozwoju gospodarczego Polski i wzrostu dobrobytu jej obywateli.*

Prof. Adam Glapiński
Prezes Narodowego Banku Polskiego

Emisja wartości kolekcjonerskich stanowi okazję do upamiętniania ważnych historycznych rocznic i postaci oraz do rozwijania zainteresowań polską kulturą, nauką i tradycją.

Wartości kolekcjonerskie do nabycia w Oddziałach Okręgowych NBP
oraz w sklepie internetowym: [KOLEKCJONER.NBP.PL](https://kolekcjoner.nbp.pl)

Komu przeszkadzają krzyże

Nie minęło jeszcze pół roku rządów Donalda Tuska, a postkomuna na dobre rozlała się w przestrzeni publicznej. Zamordyzm, prześladowania, hejt i polityczna zemsta stały się programem wszelkich działań. Ministerstwa i urzędy skrupulatnie wdrażają wytyczne inżynierów rewolucji kulturowej, nie dostrzegając, jak dalece zapędzili się w ideologię. W imię wolności i tolerancji urządzają nam neomarksistowski ład, obsesyjnie depcząc wszystko, co katolickie. Bo, jak zapowiadał Sławomir Nitras, „potrzebny jest wstrząs”, „potrzebna jest jakaś kara” i podjęcie takich działań, żeby katolicy w Polsce stali się mniejszością. „Musimy was opiliować z pewnych przywilejów, dlatego, że jeśli nie, to znowu podniesiecie głowę” – zapowiedział Nitras, a Donald Tusk wpisał to w swój polityczny program. Pierwsze efekty pojawiły się natychmiast. Koalicja 13 grudnia zaczęła od usuwania krzyży z gabinetów, niszczenia tablic upamiętniających polskich bohaterów, rugowania ważnych wydarzeń historycznych z podręczników i prób wykreślenia religii ze szkół. Na prowadzenie wysunął się nieoczekiwanie Rafał Trzaskowski, który z dumą ogłosił wdrożenie w warszawskim ratuszu nowych regulacji na miarę postępowego „świeckiego państwa”.

Pracownicy Urzędu Miasta otrzymali szczegółowe wytyczne zebrane w skrajnie zideologizowanym dokumencie. Ze ścian mają zniknąć krzyże i inne symbole religijne, a urzędnicy nie będą mogli umieszczać ich nawet na własnych biurkach. Wszystkie organizowane w urzędzie wydarzenia mają mieć charakter świecki, a modlitwa będzie podczas nich zabroniona. Trzaskowski podpisał rozporządzenie, które nie tylko zakłada walkę z symbolami religijnymi i przejawami wiary, lecz także wkracza w przestrzeń wolności urzędników jeszcze dalej. Mają oni bowiem respektować wszelkie prawa związków jedнопłciowych oraz aktywnie odpowiadać na zapotrzebowanie środowisk LGBT+.

„W przypadku osoby transpłciowej, której wygląd zewnętrzny może odbiegać od stereotypowych wyobrażeń związanych z płcią zapisaną w oficjalnych dokumentach, zwracaj się do niej taką formą imienia czy zaimków określających płeć, jakie sama zasygnalizuje”

– czytamy w dokumencie. Zalecane jest także posługiwanie się feminatywami i formami bezosobowymi. „Warszawa jest pierwszym miastem w Polsce, które przyjęło taki dokument” – obwieściła Monika Beuth, rzecznik ratusza, dodając, że z nowych procedur ma zostać obowiązkowo przeszkolony każdy urzędnik.

Dokument, mający rzekomo przeciwdziałać dyskryminacji, stanowi akt dyskryminacji już w założeniu. Bo niby dlaczego jest w urzędowej przestrzeni miejsce na tęczą flagę czy inne przejawy ideologii LGBT+, a nie ma go dla symboli religijnych?

To przecież oczywiste złamanie art. 53. Konstytucji RP, który gwarantuje wolność religijną i prawo do jej publicznego wyznawania. Jawi się także pytanie, co oznacza zakaz modlitwy i akcentów religijnych na uroczystościach organizowanych przez ratusz. Czyżby także na obchodach rocznicowych? Rafał Trzaskowski rozmydla kwestię: „Nie dajmy się zwariować. Nikt nie zamierza prowadzić w Warszawie walki z jakąkolwiek religią. Stolica zawsze będzie też szanować swoją tradycję – stąd elementy religijne choćby podczas obchodów rocznicy powstania warszawskiego. Ale Polska jest państwem świeckim. A Warszawa jest tego państwa stolicą. Kropka”.

Dobrze znamy te postulaty świeckiego państwa i długą listę zakazów, jaką zdążyli już sporządzić neomarksistowscy rewolucjoniści. Pierwsze kroki za nami. Coraz głośniej słychać wypowiedziane z obrzydzeniem opinie o tym, że katolicy prowokują manifestowaniem swojej wiary, że przestrzeń jest publiczna i musi być neutralna, że „krzyż w Polsce zrobił się sposobem oznaczania terenu” i czas skończyć z tym zawłaszczaniem. Co będzie dalej? Szukając dalekiej perspektywy, wystarczy spojrzeć na Francję i Niemcy. Tam też najpierw ateizowano, usuwano krzyże, potem zamykano kościoły i przerabiano je na knajpy. Dziś Bożego Narodzenia wprawdzie nikt już oficjalnie nie świętuje, ale za to wszyscy chodzą na palcach wokół ramadanu, a zamiast procesji oglądają bijących pokłony dla Allaha. Obyśmy zdołali to pojąć w porę. Wojna cywilizacji jest faktem.

Marzena Nykiel



28

**Kim jest nowa
minister kultury?**
*Jakub Augustyn
Maciejewski*



48

**Wojna
na dziesięciolecie**
Marek Budzisz



60

**Sztuka w służbie
terroru**
Małgorzata Wołczyk

NA POCZĄTEK

- 5** **PODSTĘPNY UROK SEPARATYZMU**
Bronisław Wildstein
- 6** **SYGNALISTA NADAJE**
Nieoficjalny przegląd tygodnia
- 8** **CZERWONA LINIA**
Krzysztof Feusette
- 10** **ŚWIATOWE ŻYCIE**
redaguje Konrad Kołodziejski
- 12** **JAK TUSK SAM NA SIEBIE
DONOS ZŁOŻYŁ**
Samuel Pereira
- 13** **ZAWIEDZIONA MIŁOŚĆ
JANINY OCHOJSKIEJ**
Dorota Łosiewicz
- 14** **WALIZKA KS. BOGUSŁAWA
KOWALSKIEGO**
Michał Korsun
- 16** **RUSKI MIR, PRUSKI DRYL
I WOLNOŚĆ SŁOWA**
Jan Pietrzak
- 16** **PRAWDA NIGDY NIE LEŻY POŚRODKU**
Dominik Zdort
- 17** **KONSEKWENCJE PAKTU
MIGRACYJNEGO**
Marta Kaczyńska-Zielińska
- 18** **WYWŁASZCZANIE**
Ryszard Makowski

TEMAT TYGODNIA

- 20** **CYNIK, KŁAMCA, PREMIER**
Marek Pyza
- 25** **POLITYKA NIEKONSEKWENCJI**
Jan Rokita

KRAJ

- 28** **KIM JEST NOWA MINISTER KULTURY?**
Jakub Augustyn Maciejewski
- 30** **UŚMIECHNIĘTA POLSKA
WIERZY W CUDA**
Konrad Kołodziejski
- 33** **O POLSKIEJ SZKOLE
Z WOJCIECHEM STARZYŃSKIM**
rozmawia Dorota Łosiewicz
- 36** **10//04 – ELEMENT ŚWIATOWEJ
WOJNY PUTINA**
Marek Pyza

ŚWIAT

- 39** **PORANIONA SŁOWACJA**
Grzegorz Górny
- 42** **WOLĄ DO IRLANDII NIŻ DO RWANDY**
Aleksandra Rybińska

- 44** **Z HOLENDERSKIM EURO-
DEPUTOWANYM ROBEM ROOSEM**
rozmawia Michał Karnowski

- 48** **WOJNA NA DZIESIECIOLECIE**
Marek Budzisz

OPINIE

- 51** **O PRZEŚLADOWANIACH
CHRZEŚCIJAN Z BARTOSZEM
RUTKOWSKIM**
rozmawia Grzegorz Górny
- 54** **ŚWIĘTO EUROPEJSKIEJ TANDETY**
Maciej Walaszczyk
- 56** **PO PROSTU MAJKA**
Marcin Wikło

HISTORIA

- 57** **ARMIA JAK Z SIENKIEWICZA**
Andrzej Rafał Potocki, Paweł
Mikołaj Rozdźestwieński
- 60** **SZTUKA W SŁUŻBIE TERRORU**
Małgorzata Wołczyk

SIECI KULTURY

- 63** **NA AKTORSKIEJ ARENIE**
Jolanta Gajda-Zadworna
- 65** **ZAREMBA PRZED TELEWIZOREM**
Piotr Zaremba
- 66** **DUCHOWY NAZIZM**
Robert Tekieli
- 67** **WOJNA CYWILIZACJI**
Robert Tekieli
- 68** **KOKTAJL KULTURALNO-POLITYCZNY**
Maciej Walaszczyk

PODRÓŻE

- 70** **MOJE SZLAKI: STANISŁAW BOBER**
Jolanta Gajda-Zadworna

KUCHNIA

- 71** **SŁODKO-SŁONY/WILCZYM OKIEM**
Anna Monicka, Przemysław Barszczyk

NA KONIEC

- 72** **OGNIEM NA WPROST**
Andrzej Rafał Potocki
- 73** **WIELKIE MAŁE KLUBY**
Ryszard Czarnecki
- 74** **O CZYM SZEPCZĄ?**
Katarzyna Zybortowicz

Podstępny urok separatyzmu

Zulgą przyjąłem nieoficjalną jeszcze wiadomość, że prezydent Duda nie podpisze przyjętej przez parlament ustawy o uznaniu śląskiego za regionalny język. Jej akceptacja oznaczałaby, że będzie on nauczany w szkołach, używany w urzędach, a propagujące go instytucje uzyskają państwowe wsparcie.

Dlaczego jednak przeciwstawiać się uznaniu gwary za język, skoro chce tego część jej użytkowników? Dlaczego Rzeczpospolita Polska nie ma stać się „opiekunką śląskiej tożsamości”? Dlaczego nie przyjąć, że „w czasie rosnących zagrożeń zewnętrznych Rzeczpospolita Polska, odwołując się do swoich świetnych tradycji wielokulturowego i wielojęzycznego społeczeństwa, powinna więc stać się opiekunką i strażniczką całego swojego kulturowego bogactwa, na jakie składają się również śląski język i śląska tożsamość”, jak apelują sygnatariusze listu skierowanego do prezydenta, a napisanego przez Szczepana Twardocha?

10 lat temu ten sam autor swoje stanowisko ujął bardziej lapidarnie, ogłaszając na Facebooku: „Pierdol się, Polsko”. Była to reakcja na decyzję Sądu Najwyższego, który stwierdził: „Szczepan przekonanie części Ślązaków o ich pewnej odrębności, wynikającej z kultury i regionalnej gwary, nie można jednak zaakceptować sugestii, iż tworzy się naród śląski, bądź już istnieje [...] dążenie do uzyskania autonomii i poczucia pełnego władztwa osób „narodowości śląskiej” na terenie Śląska należy ocenić, jako dążenie do osłabienia jedności oraz integralności państwa polskiego, co jest sprzeczne z zasadą wynikającą z art. 3 Konstytucji RP”.

Tak więc „Rzeczpospolita jest opiekunką”, jeśli spełnia życzenia separatystów, w innym wypadku ma „się pierdolić”. Uznanie gwary śląskiej za język ma być pierwszym krokiem do traktowania Ślązaków jako osobnego narodu, o czym m.in. Twardoch mówi wprost, deklarując się jako pisarz nie polski, ale śląski. Środki, które separatysty uzyskają zarówno z kasy państwa, jak i funduszy UE na kultywowanie kultury śląskiej, otworzą przed nimi nowe możliwości. Jeśli Ślązacy są osobnym narodem, to mają prawo do decydowania o swoim zbiorowym losie, mogą domagać się niepodległości, mogą – związania z innym państwem.

Dziś wyobrażenia takie wydają się nierealne, ale jeszcze niedawno ekscentryczne byłoby postrzeganie śląskiej gwary jako osobnego języka. Małgorzata Wołczyk na portalu wPolityce.pl wskazywała na podobieństwo działań europejskich separatystów – laboratoryjny ich przykład stanowi Katalonia: od oficjalnego języka do osobnego państwa.

Większość Ślązaków uważa się za Polaków, z tego właśnie poczucia wyrasta ich historyczna tożsamość, co pokazywały

powstania śląskie i bohaterowie regionu tacy jak Wojciech Korfanty. Można jednak próbować stan ten zmienić. Samozwańczy rzecznicy mniejszości zawsze usiłują zantagonizować ją z większością, gdyż tylko to stwarza im szansę odegrania poważnej roli politycznej.

Do tego dążą „autonomiści śląscy”, którzy działania takie traktują jako dźwignię swojej kariery, a przynależność śląską przeciwstawiają polskości. Przylaczają się do nich postacie takie jak Twardoch. Mało prawdopodobne, aby przyciągnęli znaczące grupy Ślązaków, ale to oni są zorganizowani i świadomi swoich celów, a więc mają na szczeblu regionalnym przewagę nad niezorganizowaną większością, która akceptując stan obecny, nie zdaje sobie sprawy z jego zagrożenia i nie potrafi przeciwstawić się nowemu niebezpieczeństwu. Zwłaszcza że to separatysty uzyskują znaczące wsparcie sił zewnętrznych, którym nie na rękę jest silna i podmiotowa Polska. Zamierzeń swoich raczej nie osiągną, ale będą czynnikiem destabilizującym państwo.

Dominująca ideologia wymierzona jest we wszelkie tożsamości, w tym narodową. Dzieje się to pod hasłem praw człowieka, które oderwane od fundamentów prawa naturalnego arbitralnie definiowane są przez silniejszych. Nic dziwnego, że za językiem śląskim zdążyła się już wypowiedzieć Fundacja Helsińska.

Autorzy cytowanego listu mają rację, że wokół Polski narastają zagrożenia zewnętrzne. Tyle że wewnętrzne separatyzmy tylko je wzmacniają. Rosja próbuje generować je w całej Europie, a w przypadku Śląska przyklasną im także Niemcy, którym autonomia tego regionu jest bardzo na rękę i odwoływać się może do historii. Położenie Polski powoduje, że separatyzmy są dla niej znacznie groźniejsze niż dla Hiszpanii.

Władza Tuska, która oficjalnie głosi „płynięcie w głównym nurcie”, czyli podporządkowanie się dominującym w UE siłom, mniej lub bardziej świadomie spełniał będzie ich życzenia. Zwłaszcza, że wpisują się one w miło brzmiące hasła emancypacji mniejszości. A rządzący w Polsce dziś, każdym swoim posunięciem dowodzą, że zależy im wyłącznie na partyjnych i osobistych korzyściach. Ogłoszenie autonomii Śląska z pewnością przyniesie im aplauz znaczących środowisk opiniotwórczych w kraju i za granicą. Jakie będą tego konsekwencje dla Polski, nie wydaje się ich przejmować. 



Sygnalista nadaje

🔊 Minister klimatu i środowiska
Paulina Hennig-Kloska

znów błysnęła, tym razem w rozmowie z Radiem ZET. „Z Polski firmy uciekają dziś głównie dlatego, że mamy najbardziej emisyjną gospodarkę w Europie, a firmy chcą już przechodzić na czystą energię. Zmiana w energetyce jest potrzebna, by nasza gospodarka była konkurencyjna” – przekonywała. Internauci szybko zwrócili jej uwagę, że owe firmy uciekają do Chin i Indii, gdzie się dymi milion razy bardziej niż w Polsce, a także do Rumunii, która ma tańszą energię. Byłoby śmieszne, gdyby nie pachniało deindustrializacją, biedą, bezrobociem, emigracją. Po zmianie władzy te zapachy znów zaczęły być mocno wyczuwalne.

🔊 Hennig-Kloska czarno widzi przyszłość. „Gospodarka światowa będzie się kurczyć, jeśli nie powstrzymamy zmian klimatu. Są badania, które pokazują, że jeśli o 5 st. wzrośnie temperatura na świecie – dziś jesteśmy na poziomie 1,5 st. – to będziemy mieli falę upałów praktycznie obejmującą cały rok”. I dalej: Mamy 1,5 st. wyższą temperaturę w stosunku do czasów przedprzemysłowych. Jeśli dojdziemy do 5 st., a wzrost przyspieszył, to fale upałów nie do zniesienia wypełnią prawie cały roczny kalendarz”. Może byśmy uwierzyli, gdybyśmy nie wyczuwali, że to raczej operacja socjotechniczna niż rzetelna naukowa wiedza. Np. geolodzy są więcej niż sceptyczni, ale milczą. Zmutowany marksizm nie znosi krytyki i wszelką wątpliwość gasi przemocą.

🔊 Czy 14 maja 2024 r. przejdzie do historii jako czarny wtorek? Tego dnia Rada Unii Europejskiej (ministrowie finansów państw unijnych) ostatecznie zatwierdziła pakt migracyjny. Jednym z rozwiązań w ramach paktu jest mechanizm „obowiązkowej solidarności”, a *de facto* przymusowej relokacji. Tu jesteśmy: o sprawie fundamentalnej, która może przynieść naszemu państwu wymianę ludności, decydują nawet nie premierzy i prezydenci, ale ministrowie finansów, i to w głosowaniu większościowym. UE stała się własną parodią, przestrzenią, w której prawo nie obowiązuje, a rządzi naga przemoc. Dumne kiedyś narody kiwają głowami, tak jak demoludy kiwały w sowieckim obozie.

🔊 **Donald Tusk** przekonuje, że nic się nie stało. „Polska będzie beneficjentem paktu migracyjnego. Nie będziemy za nic płacić, nie będziemy musieli przyjmować żadnych migrantów z innych kierunków, UE nie narzuci nam żadnych kwot migrantów, natomiast Polska będzie skutecznie egzekwowała wsparcie finansowe ze strony UE w związku z tym, że stała się państwem goszczącym setki tysięcy migrantów głównie z Ukrainy” – przekonywał premier. Skoro tak, to dlaczego głosował przeciw paktowi migracyjnemu? To są zwody, nic więcej. Miną dwa, trzy lata i ruszą transporty „inżynierów i lekarzy” z Afryki i Azji.

🔊 Tuska celnie wypunktował politykę PSL **Marek Sawicki**. „Trzeba mówić o tym pakcie prawdę. [...] Teraz trzeba sobie powiedzieć, że jeśli chodzi o pakt migracyjny – on wejdzie w życie

*Solidarność
Walcząca
apeluje:
9 czerwca
na wybory
europejskie
wywieszamy
polskie flagi!
Oto uzasadnienie:
„Europie potrzebny
jest dzisiaj
reset i odwrót od
sprzecznych ze zdrowym
rozsądkiem lewicowych
pomysłów. Europie
potrzebny jest powrót do
korzeni! Polsce potrzeba
więcej samorządności,
a Polakom mniej kompleksów
i więcej dumy z własnej
ojczyzny, jej historii i osiągnięć!”.
Popieramy. A najlepiej, by biało-
czerwona flaga wisiała na naszych
domach i balkonach cały rok. Czasy
takie, że trzeba dawać świadectwo.*

za dwa lata. I kwestie historyczne nie będą brane pod uwagę, że my mamy swój wysiłek i te miliony Ukraińców przetrzuciliśmy przez Polskę, a ponad milion w Polsce pozostało” – przekonywał marszałek senior, podkreślając: „Nieprawdą jest, co mówi pan premier Donald Tusk, że nas nie będzie obowiązywała żadna relokacja”. Będzie, będzie. Plan zakłada wymianę ludności w całej Europie, żaden naród nie może ostać się w dotychczasowej formie.

W kontekście paktu migracyjnego publicysta Marek Formela użył ciekawego pojęcia: „Bruksela poluje dziś inaczej niż Karol Wielki, Napoleon, Hitler czy Stalin. To rodzaj imperializmu instytucjonalnego czy menedżerskiego. Łamanie suwerenności państw karami i niedostatkiem. Czy promotorem takiego podboju państwa jest obecny premier Polski? Bo lepsza od Polski jest ucieczka od Polski?”. I rzucił ważne pytania: „Polska bez własnego pieniądza, bez własnych podatków, bez własnej polityki zagranicznej i obronnej? Bez prawa weta, które jest prawem fundamentalnym wspólnoty równych państw! Albo »Europa ojczyzn« de Gaulle’a, albo giełdowa spółka akcyjna dla politycznych maklerów?”. Wybory, przed którymi stajemy, są na miarę tych z końca XVIII w. Oby koniec był inny.

Europoseł KO Magdalena Adamowicz postanowiła wykorzystać tragedię postrzelonego premiera Słowacji Roberta Ficy i wystosowała list otwarty do Jarosława Kaczyńskiego. „Z siania nienawiści między Polakami uczynił potwora do zdobywania i utrzymywania swojej władzy, myśląc, że da się go kontrolować i trzymać na smyczy” – oskarża Adamowicz. Ale fałszywie, bo przecież wiemy, kiedy to wszystko się zaczęło. Oto po przegranej w wyborach parlamentarnych i prezydenckich w 2005 r. PO rzuciła się do gardła PiS, z którym miała budować koalicję. Rzuciła się brutalnie i wściekle, całkowicie świadomie wywołując zimną wojnę domową. Wszystko, co wówczas i później robiło PiS, było jedynie samoobroną. Tych faktów nie da się zakrzyczeć.

W czasie, gdy Magdalena Adamowicz oskarżała opozycję, jej partia wypuściła diabelsko cyniczny spot, w którym za pomocą ordynarnych kłamstw szczerze na PiS jako na partię rzekomo prorosyjską. Czy to tylko kampanijna zagrywka? Jakub Maciejewski tak ujął problem na portalu wPolityce.pl: „Pomijając już groteskowość sytuacji, że oskarżenia wobec Tuska, oparte np. na wieloletniej kwerendzie prof. Sławomira Cenckiewicza w instytucjach państwowych, zrównało się tym samym z konfabulacjami Tomasza Piątka, przypię-

sującemu Kaczyńskiemu zerwanie rosyjsko-ukraińskich negocjacji pokojowych, dochodzi tu jeszcze jedno pytanie, które w obecnej debacie nie ma już szans się przebić. Czy aby tematu rosyjskich wpływów nie ośmieszono celowo?”. I dalej: „Nastąpiło więc zneutralizowanie ostrzeżeń, tak jakby ktoś przekonał teraz społeczeństwo, że syreny przeciwnicze to tylko polityczna zabawka i nie trzeba na ich dźwięk reagować zejściem do schronów”. Dobry trop. W końcu w Berlinie już myślą o kolejnym resecie.

Bartłomiej Sienkiewicz pożegnał się z Ministerstwem Kultury i Dziedzictwa Narodowego za pomocą zdjęcia, na którym siedząc na dziedzińcu MKiDN, pali. „Pożegnalny papieros przed MKiDN. Tradycję trzeba podtrzymywać” – napisał. Później został zapytany w Polsat News, czy „to był taki papieros żalu”, że opuszcza resort kultury, czy „szluga po rzeźnickiej robocie”. „Obydwie koncepcje są uprawnione” – odpowiedział, ale jest jasne, że to druga interpretacja jest prawdziwa. Minister jest z siebie bardzo zadowolony, ale gołym okiem widać, że za wszystkie swoje rzeźnickie czyny – i obecne, i przeszłe – zapłaci horrendalnie wysoką cenę.

Sienkiewicz tak opisuje swoje osiągnięcia: „Trudno o bardziej poważne rzeczy niż te, którymi zajmowałem się przez pięć miesięcy. To był absolutny przełom w polskiej polityce i jestem tego świadomy, że jestem jego współautorem. To było zatamowanie jednego z największych nieszczęść tak naprawdę polskiej debaty, czyli mediów publicznych, z których stworzono mechanizm nienawiści i dzielenia Polaków”. Minister w istocie poniósł klęskę. Nie znalazł kluczyka, więc zastosował metody godne junty w bananowej republice. Zniszczył bardzo wiele, ale paradoksalnie otworzył drzwi do budowy nowej demokracji. Bo starą uśmiercił.

Michał Karnowski tak komentował sprawę na portalu wPolityce.pl: „Dzieje polityczne wolnej Polski zostały w styczniu 2024 r. przełamane na pół. Jeśli dziś ktoś sądzi, że tak brutalne metody zostały użyte tylko raz i tylko przez Tuska, może się bardzo mylić. Od kiedy minister z petem wprowadził ograniczony stan wojenny, a minister z pogłosem podstawił mu bezprawnie policyjne pałki, Polska przestała być państwem konstytucji i to będzie miało bardzo poważne konsekwencje w przyszłości. Jest tylko jedna droga zawrócenia z tej ścieżki: przykładowe ukaranie ludzi, którzy dopuścili się zbrodni wobec prawa, demokracji i państwa”.



Czerwona linia



KRZYSZTOF FEUSETTE

- Halo, czy mogę mówić z panem prezydentem?
- Czego?
- Federacji Rosyjskiej?
- Czego dzwoni?
- No tak, oczywiście, izwinitie pa-
żalsta, dzwonię z Polszy, taki kraj
na zachód od wschodu, jestem pre-
mierem, mienia zawód premier, to
znaczy...
- Danałd? Nu kak eta, kak eta?
- Tak eta, że ja powiedziałem wszystko, co mi ludzie
od was, Władimirze Władimirowiczu, przekazali.
I to odniosło efekt odwrotny.
- Mówcie głośniej, bo się nagrywa.
- Aha. No więc, zrobiłem to!
- Szto?
- Powiedziałem w Sejmie, że PiS to są
Płatni Zdraycy, Pacholki Moskwy. Ale
się poprawiłem, że Rosji.
- Moskwy to wy jesteście człowiekiem
w Warszawie. I co dalsze?
- Dalsze było niefajno, bo się niektó-
rzy zainteresowali tematem.
- No i?
- No i wyszło, że z panem prezyden-
tem żółwki w błocie smoleńskim
przybijałem, że Radek otworzył
granice z Kaliningradem, cho-
ciaż Unia nie chciała, że kazał się
spotykać z Ławrowem naszym
ambasadorom, że kontrakt z Gazpromem żeśmy do 2037 r.
podpisali...
- I w czjom diela?
- Djela w tom, szto... będę mówił po polsku, bo myślę po nie-
miecku... Chodzi o to, że mnie się wydaje, iż cała ta strategia,
że PiS jest wasz, to się u nas nie sprawdzi.
- Coś żeście popsuli?
- Nic takiego. Twitta puściłem.
- Że co?
- Że Rosja to jest... no, jakby tu pana prezydenta nie obrazić...
- Nie przejmujcie się, przecież udajemy tylko.
- No tak. No więc puściłem, że Rosja to jest zło. Ale o wojnie
ani słowa.
- A pacziemu? Nie podoba wam się operacja specjalna?
- A co mnie może się podobać albo nie? Jak żeśmy samochód
z Kaczyńskim w Smoleńsku mijali, też mi się nie podobało.
Wiadomo, morda w kubel i stosunki międzynarodowe.
- Nie narzekajcie. Order Karola Wielkiego za to od Angeli
dostaliście.
- Ja nie narzekam. Ja tylko uprzedzam, że o Rosji trudno
dzisiaj mówić dobrze. Uff, ale się spościłem.
- Ja was rozumiem, każdy by się ze...rał. Ale przecież nikt
wam nie każe mówić dobrze. Wystarczy, że wasi ludzie
trochę przy białoruskiej granicy pobiegają.
- Oczywiście. Ja już teraz żałuję, że tego twitta popeliłem.
- Duma wam wybaczy.

- Czyja? Moja? Ojej, dziękuję bardzo,
bo niewiele to widzi. A ja dumę
mam. Sumienie też. Napisałem,
że Rosja jest zła, że łamanie praw
człowieka i te sprawy. Ursula mi
mówi: raus, bij w Putina, bo to się
teraz nosi w Brukseli, a ja jej na to:
Ursula, k..., a co z resetem?

- A ona co?

- Mądrość etapu - powiedziała. A twitt twój,
Dojcznałdzie..., bo ona mi „Dojcznałd” mówi,
mizerny.
- A czemu?
- Bo ludzie piszą, że Rosja to była taka już wtedy,
gdy chciałem dialogu, z taką, jaka ona jest. Po-
dobno są nagrania.
- I dlatego dzwonicie? A co z Zielonym
Ładem?
- Ojej, nie wiedziałem, że pan prezydent się
interesuje? No więc, część nie przejdzie,
część przejdzie, takie tam podchody.
- Lepiej, żeby wszystko przeszło. Nasze
rolnictwo nie może stać jak ten wasz
„chór natchniony” z hymnu Unii twojej
Europejskiej.
- Czyli że popierać?
- Nie rźnijcie głupa. Przecież już żeście
poparli jako szef Europejskiej Partii
Ludowej. Wy tak wszystko wypiera-
cie? To może i w Peru nigdy żeście nie
byli, słońce ty nasze nadwiślańskie,
co? Pakt migracyjny? Meldujcie.

- Oczywiście.
- Czyli?
- Czyli zgodnie z planem. Najpierw liczę głosy, bo w tym
jestem najlepszy, potem jestem przeciw, a na końcu mówię,
że będziemy beneficjentem.
- Łykneł?
- Niektórzy tak. Sini razem, działacze, członki, członkinie, ale
generalnie szalu nie ma. Boję się, że mogą ich nie przyjąć.
- To co, będziecie tyłu naszych na granicy trzymać? A Łu-
kaszenka tak wam kibicował, „To jest nowa szansa na po-
prawę stosunku” - mówił. Ilu on wam podeśle? Ci wasi
Żakowski z Lisem, to znaczy nasi, to znaczy ch... znajet,
skąd oni w ogóle są, mówili, że 100 tys. to nie problem. Czyli,
że jak wam np. Białoruś wyśle takie 100 tys., a skoro wy-
syła 600 gości dziennie, to jest to kwestia mniej więcej pół
roku, i wy ich nie przyjmiecie, a Unia uzna, że powinniście,
będziecie płacić 2 mld euro? To nie lepiej już mieć te pod-
palenia samochodów, getta, gwałty w Sylwestra czy nawet,
powiedzmy wprost, jakieś śmiertelne detonacje?
- Ojej, teraz to ja już się gubię w rachunkach...
- Nie rachujcie, bo to nie jest, nomen omen, wasze zadanie.
Pilnujcie, żeby nikt piachu w tryby nie sypał, Radka po-
zdrowcie, CPK wywalcie w kosmos, a reszta mailem. Aha,
i ta komisja do spraw rosyjskich wpływów tajna ma być.
Najlepiej, jakby Grodzki prowadził. Ale w gabinecie. 



Zweryfikowane ogłoszenia polityczne

Wspieranie rzetelnej
i uczciwej kampanii
wyborczej

Facebook pomaga zapewnić uczciwość kampanii wyborczej, weryfikując tożsamość osób zamieszczających ogłoszenia polityczne, odrzucając ogłoszenia wyborcze zawierające dezinformację oraz współpracując z liderami w branży nad eliminacją mylących treści AI.

[Więcej informacji na stronie fb.me/elections](https://fb.me/elections)

Rozczarowani Unią

71-letnia prawniczka Gordana Siljanovska-Dawkowa, nowo wybrana prezydent Macedonii Północnej, wywołała międzynarodowy skandal już w dniu zaprzysiężenia. Powtarzając rotę ślubowania, wielokrotnie używała terminu Macedonia, mimo że w 2018 r. oficjalnie dodano do nazwy kraju przyimek Północna.

Rządzący krajem socjaldemokraci podjęli wówczas tę kontrowersyjną decyzję, aby odblokować greckie weto w sprawie członkostwa w Unii Europejskiej. Porozumienie kontestowała prawicowa formacja VMRO-DPMNE, która wystawiła kandydaturę Siljanovskiej-Dawkowej i wygrała równoległe wybory parlamentarne. W toku kampanii wyborczej kandydaci tej partii odmawiali używania oficjalnej nazwy państwa i argumentowali, że porozumienie z Prespy, w którym zatwierdzono przemianowanie Macedonii, było niepotrzebnym

ustępstwem, które i tak nie przyniosło członkostwa we Wspólnocie. Obecna na zaprzysiężeniu ambasador Grecji demonstracyjnie opuściła budynek parlamentu po tym, jak prezydent-elekt użyła starej nazwy kraju. To nie jedyne pole konfliktu nowego rządu z sąsiadami. Zaostrzeniu ulegają również stosunki z Bułgarią, bo Skopje odrzuca żądania Sofii w kwestii ustanowienia specjalnego statusu dla bułgarskiej mniejszości. Bułgaria jest zresztą zdania, iż język macedoński jest odmianą bułgarskiego.

Po zawarciu w 2018 r. porozumienia z Prespy w Macedonii odbyło się referendum zatwierdzające nową nazwę państwa, jednak mimo że 91,5 proc. opowiedziało się za zmianą, to ówczesna opozycja akcentowała fakt, iż wzięło w nim udział jedynie 37 proc. uprawnionych. Hristijan Mickoski, lider VMRO-DPMNE, który najprawdopodobniej będzie tworzył przyszły rząd, zbudował swoją po-

pularność zarówno na kwestionowaniu celowości zmiany nazwy kraju, jak i na przekonywaniu, że ta bolesna decyzja nie doprowadzi do przyspieszenia akcesji. Po sześciu latach jego argumentacja w sposób oczywisty trafiła do przekonania wyborców, którzy przestali wierzyć w członkostwo w Unii Europejskiej. W efekcie Gordana Siljanovska-Dawkowa zdobyła 69 proc. głosów, w liczbach bezwzględnych ponaddwukrotnie więcej od swojego rywala, dotychczasowego prezydenta Stewo Pendarowskiego. Podobny sukces odniosła w wyborach parlamentarnych VMRO-DPMNE, która, uzyskując ponad 43 proc., będzie w stanie zbudować większość rządową. Dotychczasowy obóz władzy, prounijni socjaldemokraci, stracił 28 mandatów i ma ich obecnie jedynie 18. Te zmiany w najlepszy sposób ukazują skalę rozczarowania macedończyków.

Marek Budzisz

Nie będzie budowy nowego kanału, który miał połączyć Atlantyk z Pacyfikiem. Projekt będący bezpośrednią konkurencją dla przeżywającego problemy z niskim stanem wody Kanału Panamskiego został właśnie anulowany przez władze Nikaragui.

Międzyoceaniczny Wielki Kanał, nazywany również Kanałem Nikaragui, miał być gigantycznym projektem inżynierii lądowej. Nową drogę żegludową o długości 440 km wytyczono przez jezioro Nikaragua, będące największym jeziorem w Ameryce Środkowej i zarazem głównym zbiornikiem słodkiej wody w kraju. Budowa miała kosztować 50 mld dol. i chciała się jej podjąć chińska firma.

Powstanie kanału zapewniłoby Chinom znaczącą pozycję w Ameryce Środkowej. Ostatecznie jednak nic z tego nie wyszło. W 2013 r. reżim Daniela Ortegi wydał 50-letnią koncesję na budowę i obsługę kanału spółce należącej do chińskiego biznesmena Wang Jinga. Choć symboliczne wmurowanie kamienia węgielnego odbyło się w grudniu 2014 r., to od tego czasu na budowie nic się nie działo. Wang nie miał żadnego doświadczenia w inżynierii lądowej i zbliżał fortunę w branży telekomunikacyjnej, a niecały rok po ceremonii otwarcia budowy kanału stracił lwią część swojego majątku. W 2021 r. on i jego firma Beijing Xinwei Technology Group zostali wy-



rzuceni z giełdy w Szanghaju za „złe praktyki”. Według ostatnich doniesień chińskich mediów biznesmen wie, że dziś „szczęśliwe życie” w Stanach Zjednoczonych i nie myśli o żadnych wielkich inwestycjach.

Fiasco budowy kanału mocno uderzyło w ambicje nikaraguańskiego dyktatora Daniela Ortegi. Jego reżim twierdził, że kanał wygeneruje dzie-

siatki tysięcy miejsc pracy i pobudzi gospodarkę. Krytycy argumentowali z kolei, że gigantyczna budowa stworzy poważne ryzyko dla środowiska naturalnego i spowoduje przesiedlenie 120 tys. ludzi. Plany reżimu doprowadziły do wybuchu masowych protestów w 2018 r., które zakończyły się brutalnymi represjami ze strony władz. Trzej liderzy protestujących rolników zostali wtedy oskarżeni o próbę zamachu stanu. Dwóch z nich skazano na karę więzienia o łącznej długości ponad 200 lat, a ostatni otrzymał 159 lat. O warunkowe wyjście na wolność mogą się ubiegać najwcześniej za 30 lat.

Mimo uchylenia koncesji na budowę kanału, reżim Ortegi nie rezygnuje z wielkich planów. Eksperci zwracają uwagę, że dawny projekt pozostaje w mocy, tyle że zrealizuje go zapewne ktoś inny. Opozycja już teraz zapowiada, że będzie przeciwko temu ostro protestować.

Konrad Kołodziejcki

Plaga zombie

Wyczerpane wieloletnią wojną domową Sierra Leone trapi plaga narkomanii. Na początku kwietnia prezydent Julius Maada Bio ogłosił z tego powodu stan wyjątkowy, ostrzegając, że państwo stanęło przed „egzystencjalnym zagrożeniem”.

Choć posiadanie oraz handel narkotykami są w Sierra Leone ostro zwalczane, nie brakuje amatorów zażywania narkotyków taniach, łatwo dostępnych i syntetycznych jakich jak kush. Jest on powszechnie znany ze swoich długotrwałych efektów euforycznych, dlatego pałacy dotąd marihuanę przerzucają się na jej syntetyczny odpowiednik. Dostępna w formie jointów mikstura na bazie konopi może zawierać wszystko – od fentanylu, przeciwbólowego tramadolu poprzez środki dezynfekujące aż po formalinę używaną do balsamowania zwłok. To ona ma sprawiać, że kush jest niezwykle uzależniający.

Zdaniem Abdula Jalloha z miejscowego Stowarzyszenia Medyczno-Dentystycznego zanotowano skokowy wzrost uzależnień od kushu z 2 proc. do 40 proc. w ciągu dwóch lat, a liczba zgonów spowodowanych przedawkowaniem zbliża się już do skali epidemii wirusa ebola sprzed 10 lat, która ostatecznie zabiła 11 tys. osób. Mimo to ludzie chętnie sięgają po kush, aby uciec od codziennych problemów w Sierra Leone, takich jak bieda, bezrobocie i traumy wywołane przemocą. Kraj ten, oprócz nędzy, dręczy również plaga napadów, kradzieży i prostytucji.

Wszystko ma jednak wysoką cenę. Kush, znany jako „narkotyk zombie”, powoduje nagłą utratę świadomości, która powoduje wypadki na ulicy, bezwiedne uderzanie głową o ściany, spadanie z wysokości i inne obrażenia. Zdaniem lekarzy jego zażywanie może prowadzić do trwałego uszkodzenia mózgu i skłonności samobójczych.



Niedawno pojawiła się informacja, że do kushu są dodawane przemielone kości nieboszczyków wykopywanych z cmentarzy. To raczej apokryficzna legenda, która miała nadać jego zażywaniu pseudomistycznej otoczki, choć poraża swoją makabrycznością. Niektórzy twierdzą, że siarka obecna w kościach wzmacnia efekty euforyczne, a inni sugerują, że chodzi o obecność w nich samego narkotyku,

jeśli zmarły zażywał fentanyl lub tramadol. Była to zresztą jedna z przyczyn wprowadzenia stanu wyjątkowego, bo oprócz wzmożonej walki z handlarzami policja w stolicy kraju Freetown musi pilnować cmentarzy przed profanacjami grobów. Konopie są w Sierra Leone powszechnie uprawiane, ale już fentanyl, podobnie jak tramadol, pochodzi z laboratoriów w Chinach, gdzie jest produkowany i nielegalnie wysyłany do Afryki Zachodniej.

Maciej Walaszczyk



Bunt muzealników

Po raz pierwszy w historii pracownicy Muzeów Watykańskich rozpoczęli spór prawny z administracją papieską. Aż 49 zatrudnionych tam osób zamierza złożyć pozew sądowy przeciwko Gubernatorstwu Państwa Watykańskiego, skarżąc się m.in. na warunki pracy, ich zdaniem uwłaczające godności człowieka.

Powszechne niezadowolenie wśród muzealnego personelu wywołują zwłaszcza decyzje podjęte przez samego Franciszka. W 2015 r. wydał on dekret papieski, na podstawie którego zaczęli oni za nadgodziny otrzymywać wynagrodzenie niższe niż w normalnych godzinach pracy. Czara goryczy przełamała się jednak, gdy papież ogłosił rozporządzenie, że lata pandemii koronawirusa, gdy Muzea Watykańskie były zamknięte, nie będą się liczyły do stażu pracy przy obliczaniu świadczeń emerytalnych (dodajmy, że na taki pomysł, godzący w prawa pracowników, nie wpadł żaden rząd w Europie).

Muzealnicy nie kryją swego rozczarowania postawą Franciszka, który pub-

licznie nie przepuści żadnej okazji, aby krytykować krwiożerczy kapitalizm, a na swoim podwórku okazuje się bezwzględny pracodawcą. Ponieważ w Watykanie nie ma ani związków zawodowych, które broniłyby ich interesów, ani sądu pracy, przed którym mogliby dochodzić swoich praw, zdecydowali się złożyć pierwszy w historii pozew zbiorowy za murami Państwa Watykańskiego oraz nagłośnić swój protest medialnie.

Obrońcy papieskich decyzji zwracają uwagę, że Stolica Apostolska ma deficyt budżetowy, dlatego musi szukać oszczędności. Dzieje się to m.in. kosztem kadry muzealnej. Nie przekonuje to jednak zdeterminowanych pracowników, którzy przypominają, iż Muzea Watykańskie zarabiają rocznie ok. 100 mln euro, co czyni je najważniejszym źródłem dochodów państwa papieskiego. Ponieważ sprawa stała się głośna na całym świecie, rzucając cień na wiarygodność obecnego pontyfikatu, niewykluczone, że dojdzie do ugody i pracownicy wycofają pozew. Niesmak jednak pozostanie.

Grzegorz Górny

Jak Tusk sam na siebie donos złożył



**Samuel
Pereira**

Do ciągłej obsesji na punkcie PiS szef „uśmiechniętego” rządu zdążył nas już przyzwyczaić, jednak ostatnie zarzuty, jakie Donald Tusk postawił byłemu premierowi Mateuszowi Morawieckiemu, naprawdę robią wrażenie. Najpierw próbuje przyklejać mu łatkę pro-rosyjską, żeby za chwilę atakować go za... wielką kampanię #StopRussiaNow, którą wymyślił i pomógł sfinansować po wybuchu pełnoskalowej rosyjskiej agresji na Ukrainie.

Dzięki niej udało się dotrzeć z konkretnym, silnym – lecz zmiekczanym wówczas przez niektóre kraje UE z Niemcami na czele – przekazem i prawdą o Rosji Władimira Putina. „Zatrzymajmy Rosję teraz, natychmiast, bo każdego dnia, w każdej godzinie, każdej minucie, brutalni rosyjscy żołnierze mordują na rozkaz Kremla” – mówił na konferencji prasowej 23 kwietnia 2022 r. podczas inauguracji kampanii premier Morawiecki. Co ciekawe, tego dnia Donald Tusk zajęty był... bieganiem. „Wbiegam się albo wtaczam się w wiek emerytalny” – ogłosił w filmiku umieszczonym na platformie X (d. Twitter). Ciężko się dziwić, że nie był zajęty Ukrainą czy Rosją, w końcu Niemcy w tym czasie były w szoku i starały się na gorąco ułożyć odpo-

wiednią, bezpieczną dla swojego wizerunku i interesów narrację.

Dziś sam Tusk, przywołując międzynarodową kampanię #StopRussiaNow, w swoim stylu zarzuca jej twórcom i realizatorom interesowność, bo w końcu, jak się mówi – każdy najlepiej ocenia po sobie. Mówiąc jednak serio, to przekaz lidera obozu władzy staje się nie tylko histeryczny, lecz także głupi, a przynajmniej nie sprzedaje się w oczach obywateli. Większość ankietowanych w badaniu IBRiS nie zgadza się z nim, że Zjednoczona Prawica to „płatni zdrajcy, pacholki Rosji”. Te wyniki sondażu dla „Rzeczpospolitej” pokazują więcej, niż mogłoby się wydawać. Przede wszystkim Polakom trudno się dziwić, skoro od lat mają możliwość samodzielnie obserwować politykę braci Kaczyńskich (PC, PiS), a później Jarosława Kaczyńskiego, szczególnie w takich momentach, jak agresja na Gruzję, Smoleńsk, agresja na Ukrainę w 2014 r. i teraz. Jest jednak jeszcze jeden wniosek: jesteśmy coraz bardziej odporni na kłamstwa nowego-starego premiera.



Ty i tak byłaś królową

**Z Marią Oleksiewicz i Stanisławem Boberem,
królową i królem 6. edycji programu „Sanatorium miłości”,
rozmawia Jolanta Gajda-Zadzworna**

7.00, wszyscy byli już gotowi. Nikt się nie spóźnił.

Stanisław Bober: Mieliliśmy zapisane w umowie, że nie możemy zdradzać, co się wydarzyło w programie. I choć nieraz słyszałem: „No co ty, Staszek, mnie nie powiesz?”, wytrzymałem.

Jak już TVP pokazała finałowy odcinek, to rozdzwoniły się telefony? I kto pierwszy gratulował?

M.O.: Moi górale. Miałam hotel w Dolinie Kościeliskiej, w Zakopanem mieszka rodzina drugiego męża – góralka, która mnie kocha. Zbierali się i oglądali razem kolejne odcinki, a najmocniej przeżywali ten ostatni. Usłyszałam od nich: „Maryś, ty i tak byłaś królową Podhala”.

Czy królewski tytuł zmienił coś w waszym życiu?

M.O.: Najbardziej odczuwalną zmianę widzę na Facebooku. Mam już 5 tys. fanów. Musiałam zamknąć listę znajomych, bo ledwo się wyrabiałam z odpowiedziami.

S.B.: Ludzie mnie rozpoznają, gratulują. Przypominają się też starzy znajomi.

Co waszym zdaniem zadecydowało o tym, że to właśnie wy zostaliście wybrani?

M.O.: Szczerść i jak na tę grupę mało napięć w relacjach z pozostałymi uczestnikami.

S.B.: Brak presji. Dla mnie już samo dostanie się do „Sanatorium miłości” było spełnieniem marzenia, nie walczyłem o królewski tytuł, ale miło go było przyjąć.

Od nagrania ostatniego odcinka „Sanatorium miłości” do jego emisji minęło kilka miesięcy. Trudno było utrzymać w tajemnicy, że zostaliście królewską parą turnusu?

Maria Oleksiewicz: Czuliśmy odpowiedzialność za dane słowo. Ludzie starsi, tacy, którzy z niejednego pieca chleb jedli, mają w sobie dyscyplinę. To było widać na co dzień. Na śniadanie, które zaczynało się 15 min przed

Czytaj też „Moje szlaki” str. 70

Właściwie nie ma takiej wypowiedzi Donalda Tuska, której nie towarzyszyłaby wypowiedź przeciwna. Wszyscy pamiętamy, jak lider PO mówił, że jego rząd nie podniesie wieku emerytalnego, a potem stwierdził, że to konieczność i podniósł. Pamiętamy, jak mówił, że się cieszy, iż jego rząd nie wprowadził 500+, a gdy program już z powodzeniem funkcjonował, stwierdził, że Ewa Kopacz też miała przygotowany podobny projekt. Jak w kampanii zapowiadał paliwo po 5,19 zł, a po wyborach przyznał, że nie ma możliwości wpływać na ceny paliw. Długo by tak można wymieniać. Jedna z najświeższych wolt urzędującego premiera dotyczy zapor na granicy z Białorusią.

W październiku 2021 r., gdy przygotowano projekt ustawy o budowie zabezpieczenia na granicy, ówczesny lider opozycji mówił: „Ten mur nie powstanie ani w ciągu roku, ani w ciągu trzech lat, bo nie jest wcale intencją zbudowanie dobrych, skutecznych zapór. Ich intencją jest robienie emocjonalnych spektakli i wydanie blisko 2 mld zł bez żadnej kontroli”. Jednak gdy zapora powstała i znacząco poprawiła bezpieczeństwo na polsko-białoruskiej granicy, Tusk zmienił zdanie i stwierdził: „Ja nigdy nie mówiłem, że mur nie powstanie”. A co dziś w tej sprawie ma do powiedzenia premier? Po weekendowej wizycie na granicy stwierdził, że zapora nie spełnia oczekiwań, a jej wzmocnienie to plan minimum. Dodał, że każdej doby dochodzi do kilkuset prób pokonania tej granicy.

O tym, że tak właśnie jest, iż nie mamy do czynienia z uchodźcami, a z hybrydowym atakiem na granicę napędzanym przez reżim Łukaszenki, który miał zdestabilizować sytuację w Polsce i UE, tak by uniemożliwić napływ prawdziwych uchodźców z Ukrainy po napaści Rosji na ten kraj, od początku mówili politycy Zjednoczonej Prawicy. Gdy ta operacja się rozpoczęła, a służby walczyły o zapewnienie Polsce bezpieczeństwa na granicy, pojawili się Dariusz Jorński i Michał Szczerba ze śpiworami i czymś, co wyglądało, jak pizza. Swoje goinitwy ze Strażą Graniczną urządził

Zawiedziona miłość Janiny Ochojskiej

Z tego przychytywu rozsądku po stronie PO akurat trzeba się cieszyć. Nie wszyscy jednak dzielają tę emocję

Dziś rząd, który wreszcie zrozumiał skalę zagrożenia, chce zainwestować więcej środków w tę graniczną zaporę.

Premier zapowiada wsparcie logistyczne, finansowe i organizacyjne zarówno dla Straży Granicznej, jak i dla wojska na granicy. Jak podkreślił, sytuacja jest trudna, a każdej doby dochodzi do kilkuset prób przekroczenia granicy. „To nie są uchodźcy, to coraz rzadziej są migranci, rodziny biedne szukające pomocy. W 80 przypadkach na 100 mamy do czynienia ze zorganizowanymi grupami młodych mężczyzn – 18–30 lat, takie kategorie wiekowe – bardzo agresywnych” – oświadczył Tusk. I akurat w tej sprawie niewiele się zmieniło, bo tak było od początku. Wiceszef MSWiA Czesław Mroczek zapowiedział nawet, że rozważana jest budowa drugiej linii zapor.

I z tego przychytywu rozsądku po stronie PO akurat trzeba się cieszyć. Nie cieszy się chyba tylko Janina Ochojska, która stwierdziła: „Trudno spodziewać się innego traktowania przez Straż Graniczną, skoro jest przyzwolenie ze strony ekipy Donalda Tuska. Szczególnie ciężko o tym pisać. Zwolennicy PiS będą się cieszyć z krytyki Tuska. Bardzo szanuję Donalda Tuska i jego działania na rzecz wolnej, demokratycznej Polski. Ale nie wolno nam zapominać o praworządności, czyli przestrzeganiu prawa, do czego mają prawo również migranci. Ciężkie czasy dla nas nastały”. Ot, zawiedziona miłość.

Dorota Losiewicz





Walizka ks. Bogusława Kowalskiego

*legionisty, proboszcza parafii
Nawrócenia św. Pawła w Warszawie*



Nigdy nie byłem zapalonym podróżnikiem, a ponieważ w domu było raczej biednie, nie wyjeżdżaliśmy na żadne wczasy. Z braćmi na koloniach głównie pracowaliśmy, pełniłem nawet funkcję KO-wca w nadmorskiej miejscowości Jantar w ośrodku, który organizował mój śp. Tata. Ale potem w kapłaństwie, gdy otworzyły się granice, było łatwiej podróżować. Jako młody proboszcz wyjeżdżałem na pielgrzymki zagraniczne: do Fatimy, Lourdes, trzykrotnie do Ziemi Świętej czy innych sanktuariów. Pierwszy raz na klasyczne wakacje wyjechałem 20 lat temu – do Turcji, potem do Egiptu. Po kilku takich wyjazdach mi to przeszło. Bardziej wolę polskie miejsca, np. Mazury, które uwielbialiśmy z ks. Piotrem. Warto też wspomnieć o wyjazdach z ministrantami na Legię. Grałem na stadionie tej drużyny w reprezentacji księży z RAP, czyli Reprezentacją Artystów Polskich, brałem udział w meczach pokazowych w Watykanie z Gwardią Szwajcarską. Z księżmi przez 15–20 lat graliśmy wiele pokazowych meczy, czasami nawet przy wielotysięcznej widowni.

RÓŻANIEC

Dla mnie to taka drabina ku niebu
i bez różańca nie wyobrażam
sobie życia duchowego.



BREWIARZ

Jest jak moja żona,
bo ksiądz nie

może się rozstać z brewiarzem.

W wyjątkowych sytuacjach mogę nie odprawić mszy, ale brewiarz zawsze, bo to jest na bazie przyrzeczenia przysięgi zwyczajnej, że będę się zawsze modlił za Kościół.

STUŁA

Znak, że to Chrystus działa przeze mnie, kiedy odprawiam mszę św., kiedy rozgrzeszam, kiedy pełnię wszelkie posługi kapłańskie. Stuła zawsze mi przypomina, kim jestem, że zostałem wzięty z ludzi i do ludzi zostałem posłany.





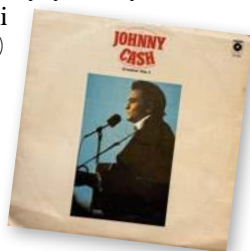
PLYTA JOHNNY'EGO CASHA

To jest wypadkowa westernowego ducha. Piosenkarz country Johnny Cash przypomina mi klasyczny symbol syna marnotrawnego, który wrócił prawie z otchłani i śmierci, był chrześcijaninem (baptystą) i zawsze przyznawał się do Chrystusa. Dla niego wiara była fundamentem.



„CZARNY HUMOR”

Ja i ks. Piotr byliśmy jak bracia. Przyjaźniliśmy się 40 lat do momentu jego odejścia na tamten świat. 10 lat temu nagraliśmy płytę, potem powstała ta książka, która cieszy się dużym powodzeniem. Uważam, że doskonale ilustruje obraz kapłaństwa w radości.



„CHŁOPAK Z PRAGI”

Nigdy nie miałem odwagi, żeby pisać o sobie, bo kogo może obchodzić życie jakiegoś księdza Kowalskiego? Wydawca mocno naciskał i w końcu przekonał mnie, że w kazaniach i katechezach często czerpię z życia w moim rodzinnym domu, a był on wspaniały dla mnie i moich trzech braci. Zasluga kochających, ciepłych i oddanych Rodziców. Dodam tylko, że nie byłem aniołkiem.



PAMIĄTKA OD KS. PAWLUKIEWICZA

Piotrek otrzymał wyjątkowy zegar od związkowców Solidarności. Jego oryginalność polega na tym, że cyfry zostały zastąpione literami z nazwiska

Pawlukiewicz, których jest dokładnie 12. Zegar zawsze mi się podobał i pewnego dnia Piotrek sprezentował mi go, mówiąc: „Boguś, ja czuję, że chyba cię wyprzedzę w drodze do nieba, dlatego chcę, żebyś miał po mnie pamiątkę”.



BUTY

Pamiątka z ostatnich lat mojego pielgrzymowania na Jasną Górę, które było dla mnie jak wypłynięcie na głębię i przebywanie sam na sam z Bogiem. Jako dzieciak, później jako chłopak obserwowałem posługiwanie księży i to był mój najpiękniejszy obraz kapłaństwa – Chrystusa Dobrego Pasterza.



ZEGAREK

Pamiątka po moim Tacie, który zawsze marzył o zegarku marki Atlantic, ale nie było go na niego stać. Rok przed śmiercią sprezentował mi mechaniczny zegarek właśnie tej marki z wygrawerowaną dedykacją „Bogusiowi Tatus”. Chciał, żebym o nim pamiętał, także w czasie modlitwy.



LEGIA

Gdy przeżywałem trudny okres buntu i wszystko było na nie, Rodzice, znając moją piłkarską pasję, postanowili mnie zapisać do Legii. Dostałem się do trampkarzy, czyli juniorów. Jestem przekonany, że miłość do tej drużyny, w której grałem, a także bezpośredni kontakt z takimi piłkarzami, jak Deyna, Gadocha, Ćmikiewicz i wielu innych zmobilizowała mnie i z pewnością uratowała przed bardzo złym towarzystwem... gitowców.



SZALIKI

Legia to moja miłość na rynku krajowym, poza naszymi granicami – Barcelona. Barca zdobyła moje serce, gdy w latach 70. pokonała niemiecki Wuppertal SV 4:3, wygrywając Puchar Zdobywców Pucharów.



BOŁO I KAPELUSZ

„Krawat” i kapelusz, atrybuty kowbojskiego image'u. Jestem wychowany na westernach, zwłaszcza na „Bonanzie”, w której dobro zawsze wygrywało. Tęsknota za sprawiedliwością pozostała we mnie do dziś, a elementy kowbojskiego stroju przypominają mi o walce ze złem.



Wysłuchał i zapisał Michał Korsun



I ŚMIESZNO, I STRASZNO

Ruski mir, pruski dryl i wolność słowa

Jeżeli przyjmijemy, że lata 1939–1945 były czwartym rozbiorem Polski, już niebawem możemy uczestniczyć w rozbiórce piątym. Kiedy w wyniku wyborów do PE Niemcy przejmą dominującą władzę w UE, nie będzie łatwo. Germanizacja, wyzysk i 100 innych nieszczęść przerabianych przez polskie pokolenia w ciągu 250 lat agresji sąsiadów ze wschodu i zachodu.

A w pewnym momencie wyglądało, że się od nas odczepią. Po buncie Solidarności, upadku imperium zła, zjednoczeniu Niemiec, rozszerzeniu UE jakaś nowa stabilizacja miała zapanować na starym, umęczonym kontynencie, oparta na życzliwości i dobrej woli. Krótko trwało to złudzenie. Ruski mir i pruski dryl słabo sobie radzą z niepodległością Polski. Nie wyciągają wniosków z przeszłości. Nie znoszą polskiej wolności, w tym wolności słowa.

Przekonałem się o tym osobiście, kiedy podczas dyskusji o imigrantach w TV Republika wtrąciłem zdanie o barakach zbudowanych na polskiej ziemi podczas II wojny światowej. Co za wrzask się podniósł w medialnej bańce, ile epitetów, bluźgów spadło na moją starą głowę. Szef Gabinetu Prezydenta Mastale-

rek nazwał mnie bezdennym głupcem, a premier antysemitą. Przyjaciele radzili, bym przeprosił, ale nie wiedziałem kogo i za co. „Życzliwi” wróżyli, na ile lat mnie posadzą, mniej życzliwi obliczali, jaką mi przywalał grzywnę. Kilka dni temu z mediów dowiedziałem się o „umorzeniu śledztwa wobec braku znamion czynu zabronionego [...]”. Wypowiedzi Jana Pietrzaka nie zawierały gróźb bezprawnych, nie zawierały nawoływania do popełnienia przestępstwa na szkodę kogokolwiek”. Mogę odsapnąć, jakiś rozsądek jednak przetrwał w pancernych szafach prokuratury. Ale problem pozostał. Nie mój. Tych biedaków, którzy mnie ochoczo potępiali. Ciekawe, czy któryś przeprosi?!

Pamiętam z PRL mechanizm „odcinania się” od stygmatyzowanego osobnika, który podpadł władzy ludowej. Ustroje minęły, nawet tysiąclecie inne, a oportunist, tchórzostwo jak za dawnych lat. Wolność słowa to piękna sprawa, ale ruski mir i pruski dryl mają swoje wymagania.

Będę o tym śpiewać 24 maja o godz. 18.00 w Społecznym Domu Kultury, ul. Słowackiego 19. Bądźcie ze mną...



**Jan
Pietrzak**

PRAWDA NIGDY NIE LEŻY POŚRODKU

Posłuchajcie Krzysztofa

Nie znam Krzysia blisko. Właściwie to w ogóle go nie znam. Nie znam jego otoczenia, przyjaciół, rodziny, bliskich. Wiem o nim to, co wyczytałem w internecie i gazetach oraz co opowiadali wspólni, zazwyczaj dalecy, znajomi. Widywaliśmy się z rzadka, od czasu do czasu, zawsze ciepło się do siebie odnosząc. No dobrze, przyznam, kilka z tych okazji było dzięki naszym – moich i jego – kościelnym powiązaniom. Wybacz, Krzysztofie, że to ujawniam. Nigdy się blisko nie poznaliśmy. Czego trochę żałuję.

Krzysio jest ofiarą własnej poczciwości i uczciwości. Stał za plecami Kurskiego, kiedy jeszcze była nadzieja, że Jacek wymiecie wszystkie nieczystości z telewizyjnej stajni Augiasza. Został jedną z twarzy „Wiadomości TVP”. Sytuacja rozwinęła się nieco inaczej, niż wszyscy liczyliśmy. Krzysio – niszczonej hejtem, niekoniecznie usprawiedliwionym, ale morderczym, są tacy polityczni bandyci, którzy potrafią to realizować – odszedł, przyjął gorzej płatną i mniej prestiżową funkcję w „Teleexpressie”.

Ale po wejściu do TVP dzikich hunwejbiniów Tuska i Sienkiewicza to go nie uratowało. Podobnie jak wielu innych przyzwoitych ludzi. Bez słowa wyjaśnienia, bez rozmowy nawet, rozwiązano z nim umowę, jak się zdaje, łamiąc, a przynajmniej naciągając, przepisy. Taka typowa dla ostatnich miesięcy ban-

dyterka rządu utworzonego 13 grudnia, mająca na celu „zapanowanie porządku w Warszawie”.

W mojej szkole podstawowej – w czasach komuny – nauczyciele postanowili ukarać całą naszą klasę za jakąś przewinę, której dokonali niektórzy. Mój kolega Piotrek N. zaprotestował: „Odpowiedzialność zbiorowa to są faszystowskie metody” – mówił.

Rzecz jasna opinii smarkacza nikt nie wziął pod uwagę. Ale dziś obecna władza stosuje te same metody wobec ludzi dorosłych, świadomych, także tak wybitnych i zasłużonych dziennikarzy, jak Krzysztof. Ci, którzy to czynią, będą to mieli na sumieniu. Gdyby kiedyś zechcieli się nawrócić, będą się musieli z tego grzechu wypowiadać, a jeśli dostaną rozgrzeszenie i pokutę, to oby nie była ona dla nich łatwa i lekka, bo wielkie czynią zło.

Krzysio rusza ze swoim niezależnym kanałem na YouTube. To ma się nazwać „Otwarta Konserwa”. Nie mam z nim nic wspólnego, nawet z Krzysztofem nie miałem okazji rozmawiać o jego pomysłach. Wiem tyle, że to porządny i uczciwy facet, wart wysłuchania.

Krzysztof Ziemięć. Z góry polecam, warto posłuchać.

*Autor jest senior research fellow w projekcie
Ordo Iuris Cywilizacja*



**Dominik
Zdort**

Konsekwencje paktu migracyjnego



**Marta
Kaczyńska-
Zielińska**

W połowie maja br. pakt legalizujący nielegalną dotychczas migrację został zatwierdzony przez Radę Unii Europejskiej większością kwalifikowaną. Polski rząd mógł podjąć próbę wycofania go z porządku obrad, ale nie skorzystał z tej możliwości. Pozostaje jeszcze zaskarżenie do TSUE, ale premier Donald Tusk twierdzi, że Polska będzie beneficjentem nowych rozwiązań. Mimo to minister reprezentujący RP zagłosował przeciwko paktowi, co skądinąd miało iluzoryczne znaczenie, bo wiadomo było, że większość państw członkowskich opowie się za jego przyjęciem. W 2018 r. rząd Zjednoczonej Prawicy skutecznie oparł się rozwiązaniom zmuszającym państwo polskie do przyjmowania migrantów, a ówczesny szef Rady Europejskiej ostrzegał Polskę przed grozącymi jej za to karami.

Według mechanizmu tzw. dobrowolnej (czytaj: przymusowej) solidarności co roku rozlokowanych ma być co najmniej 30 tys. osób albo więcej w razie uznania przez Komisję, że sytuacja tego wymaga. Górnej granicy liczby przyjmowanych migrantów nie ma. O zaangażowaniu państw w mechanizm solidarności będzie arbitralnie decydować Komisja, biorąc pod uwagę m.in. liczbę mieszkańców i PKB poszczególnych krajów członkowskich. W razie nieprzyjęcia migranta kraj będzie musiał zapłacić 20 tys. euro lub wziąć udział w operacjach na granicach zewnętrznych UE.

Zgodnie z założeniami paktu każdy imigrant ma otrzymać kwotę w wysokości 8 tys. euro na początek swojego pobytu. Ma też mieć ułatwioną możliwość zatrudnienia, edukacji i zakwaterowania.

Migranci, głównie muzułmanie, zazwyczaj nie są zainteresowani pracą, ale otrzymywaniem świadczeń socjalnych. Doświadczenia wskazują, że z reguły nie chcą się asymilować. Konsekwencje wymuszonego multilateralizmu jaskrawo widać w państwach, które masowo przyjmują migrantów, tworzących własne hermetyczne społeczności. Brak spójności społeczeństwa jest widoczny zarówno we Francji, w Niemczech, Wielkiej Brytanii czy w Szwecji, w których często kolejne pokolenia migrantów wychowywanych już na terenie wymienionych państw pozostają niezasymlowane i wrogo nastawione do rodowitych Europejczyków.

Unijni decydenci zdają sobie zapewne sprawę z tego, że relokacja kłopotliwych przybyszów z państw zachodnich np. do Polski nie zakończy ich problemów, bo migranci kierują się przede wszystkim do tych państw, w których mają zapewnione najlepsze warunki socjalne. Powstrzymywanie tych ludzi przed opuszczaniem państw, do których zostali relokowani i w których nie utrzymują oczekiwanych świadczeń będzie trudne.

Migranci pozostający w Polsce będą otrzymywać świadczenia socjalne, zajmą lokale mieszkalne, będą korzystać z opieki zdrowotnej i posyłać swoje dzieci do polskich szkół. Gdzie ich zakwaterować? W Polsce aktualnie brakuje od 2 do 3 mln mieszkań, a przyjęliśmy już setki tysięcy uchodźców z Ukrainy. Z doświadczeń amerykańskich wynika, że nielegalni imigranci w szerokim zakresie korzystają z opieki społecznej. Większość migrantów jest

słabo wykształcona, więc o ile podejmuje pracę, to tylko te najprostsze i nisko opłacane, z których nie są w stanie samodzielnie utrzymywać siebie i swoich rodzin. Część płaci podatki, ale wpływy z nich w żadnym stopniu nie kompensują kosztów, które generuje masowa migracja.

Aby znaleźć pieniądze na pokrycie nowych kosztów, państwa będą zmuszone do cięcia budżetu w zakresie wielu usług, w tym sanitarnych, edukacji i usług publicznych lub podniesienia podatków. Podwyższone daniny uderzą przede wszystkim w przedsiębiorców, którzy są ich głównymi płatnikami. O tym, że nasza gospodarka stoi małymi i średnimi przedsiębiorstwami,

nie trzeba nikomu tłumaczyć. To przede wszystkim oni odczuwają w swoich kieszeniach koszt przyjęcia przez Polskę paktu migracyjnego. Gros wielkich międzynarodowych korporacji zapewne nie będzie płacić u nas podatków, o ile ich przedstawicielstwa tu pozostaną, bo ostatnie tygodnie wskazują raczej na exodus zagranicznych inwestorów z Polski, którzy z pewnością obawiają się skutków niepewnej sytuacji prawnej w RP i nie chcą ponosić zwiększonych kosztów utrzymania swoich przedsiębiorstw przez daniny narzucane w ramach Zielonego Ładu.

REKLAMA



Radio 106.2
Warszawa
dobrze słuchać

Poranek z Radiem Warszawa
"Budzimy stolicę i okolice"

Ewa Pietrzak, Jarosław Wydra,
Weronika Ostrowska i Janusz Zalewski
poniedziałek - piątek,
godz. 7.00-10.00

Wywłaszczanie

W mej baladzie „Pożegnanie z wolnością” śpiewam: „Człowiek to już nie brzmi dumnie, być brojlerem – to jest coś! / Każdy problem się wyskrobie, każdej prawdzie powie: Dość!”. Ostatnio gwałtownie przyspieszyło materialne i tożsamościowe wywłaszczanie Polaków. Hordowla „nowych Europejczyków” obfituje mnogością ograniczeń narzucanych nam odgórnie przez UE. Z braku miejsca skupię się na zamordyzmie wynikającym z wprowadzenia budowlanego Zielonego Ładu.



Według najnowszych dyrektyw unijnych wizjonerów od 2030 r. nowe budownictwo musi być zeroemisyjne! Do 2050 r. wszystkie stare mieszkania i domy powinny osiągnąć tzw. neutralność klimatyczną. W 2040 r. mają zniknąć piece na paliwa kopalne (węgiel, gaz itp.). A to oznacza drastyczne podwyżki cen energii, znaczący wzrost kosztów budowy nowych budynków i horrendalne koszty remontów starych.

Jeśli sądzisz, biedny emerycie lub żyjący od wypłaty do wypłaty niezamożny pracownik, że w najgorszym wypadku zrezygnujesz z ogrzewania i odziany w pięć swetrów, filce, czapkę uszankę oraz kożuch jakoś przetrwasz zimą, to się grubo mylisz. Nie o taką zeroemisyjność tu chodzi. Ty masz wziąć kredyt i ocieplić swoje lokum według wyśrubowanych norm unijnych. A jeśli nie masz zdolności kredytowej, grozi ci eksmisja i wyburzenie zagrażającej planecie nieruchomości! Albo twoją własność wykupi bogatszy inwestor. Współczesne rugi pruskie?

Kto na tym zyskuje? Międzynarodowe korporacje, banki, deweloperzy i cała armia urzędników powołanych do obsługi tego „biznesu”. Co ci to przypomina? Rozbój w biały dzień. Czy jest na to jakaś rada? Jest. Należy znowu stać się suwerenem w swoim kraju!

PS Według definicji słowo „wolność” oznacza brak zewnętrznego przymusu, sytuację, w której człowiek może dokonywać wyborów spośród wszystkich opcji. Ale, jak pisał Cyprian Kamil Norwid, „nie-wolnicy wszędzie i zawsze niewolnikami będą – daj im skrzydła u ramion, a zamiatać pójda ulice skrzydłami...”

Lech Makowiecki

POWOLNE MEDIA WEDŁUG MICHAŁA KORSUNA

PRL BIS! RAFAŁ TRZASKOWSKI ŚCIAGA KRZYŻE W STOŁECZNYCH URZĘDACH.



SIECI

ISSN 2544-2694
www.SIECIprawdy.pl

REDAKTOR NACZELNY: JACEK KARŃSKI
ZASTĘPCY REDAKTORA NACZELNEGO: DOROTA ŁOSIEWICZ,
TOMASZ OZDOWY, MAREK PYZA, MARGIN WIKŁO

E-MAIL: REDAKCJA@FRATRIA.PL; TEL. (22) 255 93 32, (22) 255 93 33; UL. FINLANDZKA 10, 03-903 WARSZAWA

AUTORZY: GORAN ANDRIJANIĆ, PRZEMYSŁAW BARSZCZ,
MAREK BUDZIŚ, LESZEK DEJGOSZ,
KRZYSZTOF FEUSETTE, JOLANTA GAJDA-ZADWORNA,
GRZEGORZ GÓRNY, STANISŁAW JANECKI, MARTA KACZYŃSKA-
ZIELIŃSKA, MICHAŁ KARŃSKI, KONRAD KOŁODZIEJSKI,
CEZARY KOWALSKI, JAROMIR KWIATKOWSKI, JAKUB
MACIEJEWSKI, LECH MAKOWIECKI, RYSZARD MAKOWSKI,

DARIUSZ MATUSZAK, ALEKSANDER NAŁASKOWSKI,
MARZENA NYKIEL, SAMUEL PEREIRA, JAN PIETRZAK,
ANDRZEJ RAFAŁ POTOCKI, WOJCIECH RESZCZYŃSKI,
JAN ROKITA, ALEKSANDRA RYBIŃSKA, PIOTR SŁABEK, ROBERT
TEKIELI, MACIEJ WALASZCZYK, BRONISŁAW WILDSTEIN,
MAŁGORZATA WÓŁCZYK, PIOTR ZAREMBA, DOMINIK ZDORT,
ANDRZEJ ZYBERTOWICZ

WYDAWCA: FRATRIA SP. Z O.O.
PREZES: ROMUALD ORZEŁ
UL. LEGIONÓW 126-128,
81-472 GDYNIA
REDAKCJA@FRATRIA.PL, WWW.FRATRIA.PL



DYREKTOR WYDAWNICZY: MACIEJ WOŚKO
PRODUKCJA I DYSTRYBUCJA: MARIOLA BARCIKOWSKA,
MARIOLA.BARCIKOWSKA@FRATRIA.PL

DYREKTOR ARTYSTYCZNY:
MICHAŁ KORSUN, MICHAŁ.KORSUN@FRATRIA.PL

STUDIO GRAFICZNE: ANDRZEJ SKWARCZYŃSKI (KIEROWNIK),
ANDRZEJ.SKWARCZYŃSKI@FRATRIA.PL,
LIDIA SŁOWIKOWSKA-SMOLIŃSKA, KATARZYNA ŁASKOWSKA
PROJEKT GRAFICZNY: MICHAŁ KORSUN
FOTOTEJKA: ANNA ŁABĘCKA, ANIA.ŁABĘCKA@FRATRIA.PL

PRENUMERATA WYDANIA PAPIEROWEGO:
TEL. (22) 616 36 00 (GODZ. 14.00 – 16.00)
PRENUMERATA@FRATRIA.PL
REGULAMIN ORAZ WARUNKI PRENUMERATY NA STRONIE
WWW.SIECI.PRAWDY.PL

WPLAT ZA PRENUMERATĘ PROSIMY DOKONYWAĆ NA KONTO:
91 1240 5354 1111 0010 7713 6290
FRATRIA SP. Z O.O., UL. LEGIONÓW 126-128, 81-472 GDYNIA,
W TYTULE WPLATY WPISUJĄC PEŁNE DANE ADRESOWE DO
WYSYŁKI ORAZ RODZAJ PRENUMERATY

DRUK: WALSTEAD KRAKÓW SP. Z O.O.

DYREKTOR DS. ROZWOJU BIZNESU:
KATARZYNA MARCHEWKA – KATARZYNA.MARCHEWKA@FRATRIA.PL

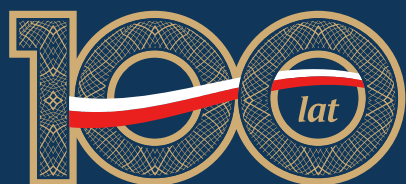
BIURO REKLAMY:
REKLAMA@FRATRIA.PL, TEL. (22) 463 49 93

KOLPORTAŻ: KOLPORTAZ@FRATRIA.PL

REDAKCJA ZASTRZEGA SOBIE PRAWO DO REDAGOWANIA
I SKRACANIA TEKSTÓW. COPYRIGHT © FRATRIA SP. Z O.O.
WSZYSTKIE PRAWA ZASTRZEŻONE
(WŁĄCZNIE Z TŁUMACZENIEM NA JĘZYKI OBCE).
REDAKCJA NIE ZWRACA MATERIAŁÓW NIEZAMÓWIONYCH.
OGŁOSZENIA I REKLAMY NIE STANOWIĄ MATERIAŁU
POCHODZĄCEGO OD WYDAWCY.
BEZUMOWNA SPRZEDAŻ NUMERÓW BIEŻĄCYCH I ARCHIWALNYCH
PO CENIE NIŻSZEJ OD USTALONEJ PRZEZ WYDAWCĘ JEST
ZABRONIONA, NIELEGALNA I GROZI ODPOWIEDZIALNOŚCIĄ KARNĄ.



FOT. NA OKŁADCE: A. IWANCZUK/REPORTER, PAPIER/C.CUMMING/REBU, PANU KARŁ,
SHUTTERSTOCK



STULECIE UTWORZENIA
BANKU POLSKIEGO SA
I WPROWADZENIA
ZŁOTEGO DO OBIEGU

NBP INFORMUJE

”

NARODOWY BANK POLSKI
NIEZALEŻNY OD RZĄDU I PARLAMENTU
ORAZ STABILNA WŁASNA WALUTA
SĄ FINANSOWĄ PODSTAWĄ
ROZWOJU GOSPODARCZEGO POLSKI
I WZROSTU DOBROBYTU JEJ OBYWATELI.

”

Prof. Adam Glapiński
Prezes Narodowego Banku Polskiego



Dbamy o wartość polskiego pieniądza



Cynik, kłamca, premier



MAREK PYZA

Co ma na celu? Czy chce na nowo napisać pamięć Polaków? Czy dąży do tego, by nas zmasakrować moralnie? Sprawić, byśmy zatracili poczucie różnicy między rzeczywistością a kłamstwem? Czy na pewno zdaje sobie sprawę z tego, co mówi, czy też jest większym cynikiem, niż dotychczas powszechnie było wiadomo?

Wydawało się, że w polskiej polityce można sięgać po wszelkie brudne chwyt, ale nie ten. Bo przecież nikt o zdrowych zmysłach nie zdecydowałby się na próbę sklejenia partii Jarosława Kaczyńskiego z Putinem. Oskarżyć najbardziej antyrosyjskie środowisko o prorosyjskość mógłby tylko polityczny samobójca. A jednak Donald Tusk wszedł na tę drogę

KŁAMCA Z PROBLEMAMI

Posiedzenie Sejmu ze środy 9 maja przejdzie do historii polskiego parlamentaryzmu. Przede wszystkim dlatego, że wreszcie na własne oczy mogliśmy zobaczyć Donalda Tuska w pełnej krasie – czyli w furii, w którą wpadanie tak często deklaruje i którą lubią podkreślać dziennikarze w nagłówkach zaczynających się od sformułowania: „Tusk się wściekł”.

9 maja, w dniu, w którym jego niedawny znajomy z Kremla szykował się do żalosnej parady na pl. Czerwonym, Tusk wściekł się publicznie. Stracił panowanie nad nerwami i zaczął krzyczeć na posłów opozycji, którym próbował przypisywać prorosyjskość.

Czy nie powinniśmy na wstępie pochylić się nad kwestią kondycji psychicznej pana premiera? Przecież człowiek, który regularnie się wścieka – a media co i rusz o tym donoszą – ma jakieś problemy, które dają się zdiagnozować. Czego wyrazem mogą być takie zachowania? Co on tłumi, jakiego typu presje?

Rozmawiamy z dwoma specjalistami od kreowania wizerunku politycznego. Deklarują szczerą analizę, ale pod warunkiem zachowania anonimowości. Jeden – nazwijmy go doktorem X – często występuje w mediach i nie chciałby tracić tej możliwości. Drugi – na potrzeby tej publikacji będzie profesorem Y – jest szanowanym wykładowcą akademickim z bogatym dorobkiem i wolałby uniknąć ryzyka dla swojej działalności naukowej.

– Teoretycznie jest możliwe, że ktoś go trenuje na postać agresywną, chce tę impulsywność w nim wyćwiczyć. Czasem tak się robi z politykami, którzy są „zbyt miękcy”«, brakuje im ikry. Ale moim zdaniem to nie ten przypadek. Przemówienie z 9 maja było efektem jakiegoś nadnaturalnego pobudzenia emocjonal-

nego, niekoniecznie wspartego farmakologicznie. Widać tam ewidentny problem z kontrolą emocji, kontrolą agresji. To nie było wystąpienie człowieka pewnego siebie, mającego poczucie swojej słuszności i mówiącego z pozycji siły. Sprawiał raczej wrażenie balansowania na krawędzi jakiegoś rozpadu. Utracił samokontrolę, którą zawsze miał. To przecież człowiek raczej wyrachowany niż przesadnie spontaniczny – mówi nam dr X.

Nie wiemy, co go tak wyprowadziło z równowagi w czasie debaty nad odwołaniem ministra klimatu, ale warto zapamiętać późniejszy wpis europosła Witolda Waszczykowskiego, który zawiera ciekawą diagnozę premierowskiego stanu emocjonalnego. „W czasie wizyty Ursuli von der Leyen Tusk dowiedział się, że ona zamierza ubiegać się o reelekcję na stanowisko szefa Komisji Europejskiej. Chyba tym należy tłumaczyć jego wybuch wściekłości w Sejmie. Też chciałby uciec z rządu i Sejmu, a tu straszna perspektywa pozostania w nieulubianym kraju”.

Jednak ważniejsza od tego, jak mówił, wydaje się treść jego wystąpienia.

„Z panem Putinem spotykałem się równie często jak Lech Kaczyński” – wypalił w pewnym momencie. Do protestującej wobec tych kłamstw opozycji krzyczał: „Proszę milczeć!”, dodając: „Skończyła się bezradność polskiego państwa i skończyła się bezkarność także tych, którzy tu siedzą”. Po chwili dodał, odwołując się do słynnego wystąpienia tajnego współpracownika Służby Bezpieczeństwa: „Pamiętam, dobrze ponad 30 lat temu z tej mównicy weteran polskiej polityki Leszek Moczulski patrzył co prawda w tamtą stronę, tam byli zupełnie inni ludzie i rozczytywał akronim PZPR: płatni zdrajcy, pacholki Rosji. Skrót »Partia Zjednoczonej Prawicy« może być dokładnie tak samo rozczytany. Gdyby

dzisiaj tutaj pan Moczulski stał na tej mównicy, toby patrzył w tę stronę i mówiłby: płatni zdrajcy, pacholki Rosji”.

W internetowych komentarzach nie od dziś można znaleźć dywagacje, czy premier nie cierpi przypadkiem na zespół Delbrücka, szerzej znany jako mitomania, czyli patologiczną skłonność do kłamania. Lecz to nie ten przypadek, bo mitoman sięga po kłamstwa nieświadomie. Nasz premier jest zatem raczej zdrowy na umyśle, choć w tym przypadku dyskusyjny pozostaje wniosek, że to pozytywna diagnoza. Oznacza bowiem, że szef rządu patologicznie kłamie z rozmysłem, w konkretnym celu.

Prof. Andrzej Nowak, komentując na antenie Radia Wnet szarżę Tuska, stwierdził: „Pamiętam czasy gomul-kowskie, czasy gierkowskie i czasy Jerzego Urbana i nie mam najmniejszych wątpliwości, że Jerzy Urban, patrząc na stopień zakłamania rzeczywistości, jakiego dokonuje władza Donalda Tuska i posłuszne jej media, to zgrzyta gdzieś w zaświatach zębami czy sztuczną szczęką z zazdrości, że on tak nie potrafił i było ileś długości do tyłu w stosunku do kłamstwa, które jest w tej chwili uprawiane i które jest osłaniane – owszem, nie więzienną katownią, jak w czasach stalinowskich, ale bardzo skutecznym płaszczem ochrony i manipulacji, rozbudowanym na bardzo wiele rozgłośni i telewizji, a przede wszystkim najpotężniejsze portale dezinformacyjne”.

KŁAMCA STRASZĄCY

Uprawnione jest uogólnienie, że politycy mają w zwyczaju mijać się z prawdą, podkreślać rzeczywistość, manipulować, oszczędnie dysponować faktami itd. Ale obecny premier chyba za punkt honoru postawił sobie dowiedzenie, że nie ma na polskiej scenie drugiej postaci tak lubiącej się w kłamstwie, która z tej mało chwalebnej sztuki uczyniła swój zasadniczy oręż.

Polacy skonstatowali to już w 2008 r., gdy w sondażu przeprowadzonym przez Pentor na zlecenie tygodnika „Wprost” właśnie Tuska wskazali jako „polityka, który ich zdaniem najczęściej kłamie, przedstawia wyborcom obietnice bez pokrycia i nieprawdziwe informacje”. Można by się cofnąć o kolejne trzy lata, do 2005 r., by dostrzec, że właśnie od fundamental-

nego kłamstwa rozpoczął on swój marsz po władzę. Gdy bowiem przegrał wówczas podwójne wybory (prezydenckie z Lechem Kaczyńskim i parlamentarne z PiS), zerwał negocjacje koalicyjne z partią Jarosława Kaczyńskiego i uniemożliwił powstanie niemal pewnego, a wyczekiwanego przez blisko dwie trzecie społeczeństwa rządu, obwiniając o to zwycięzców wyborów. Wkroczył wtedy na wojenną ścieżkę z PiS, na której do dziś sięga po coraz brutalniejsze metody.

Podjmując narrację
o rzekomej prorosyjskości
Prawa i Sprawiedliwości,
premier następuje na
grabie i dostaje nimi
w czoło. To samobój!
– mówi nam szanowany
wykładowca akademicki

Pocopolitycy kłamią? Jakimi mechanizmami próbują w ten sposób uruchomić? Jedną z najciekawszych interpretacji (a w tym przypadku może nawet najtrafniejszą) znajdujemy w myślach filozofa bliskiego premierowi. Czytajmy więc uważnie:

„[...] przez kłamstwo polityczne rozumiem kłamstwo, które wynika z potrzeby władzy i służy potrzebom władzy. Przy jego to pomocy władza pragnie potwierdzić siebie, czyli poszerzyć swe panowanie, umocnić się, usprawiedliwić we własnych i cudzych oczach. Władza jest nie tylko źródłem tego kłamstwa, ale i jego rozgrzeszeniem, najczęściej również jest jego bezpośrednim lub pośrednim tematem. Nie wyklucza to oczywiście udziału poddanych w kłamstwie. W przypadkach kłamstwa politycznego najbardziej zastanawiające nie jest bowiem to, że ten i ów polityk je formuluje i do wierzenia podaje, ale to, że ono samo wykazuje zdumiewającą żywotność i pełni się jak chwasty, rozsiewane równie dobrze przez władców, jak poddanych”.

I dalej: „Pierwszym warunkiem usprawiedliwienia kłamstwa politycznego jest wspólnota lęków między politykiem a poddanymi. [...] Trzeba dokonać trwałej asocjacji między określonym obrazem świata a określonym lękiem – tak aby obraz wywoływał lęk, a lęk wywoływał obraz. [...] To, że ów lęk może się niekiedy okazać irracjonalny i bezpodstawny, nie ma większego znaczenia. Ważna jest siła skojarzeń. W pewnym momencie okazuje się ona tak wielka, że rozsądek traci nad nią wszelkie panowanie”.

To słowa ks. Józefa Tischnera, którego Tusk bardzo cenił. W 2022 r. uczestniczył nawet w konferencji „Myślenie według Tischnera” w podhalańskiej Łopusznej. Najwyraźniej dobrze zapamiętał również esej „Kłamstwo polityczne”, z którego pochodzą powyższe cytaty i inspirował się nim do dziś. Jedną z najszerzej upowszechnionych myśli dawnego kapłana „S” jest ta, iż w Polsce istnieją trzy rodzaje prawdy: „świnto prawda, tys prawda i g... prawda”. Czytelnikom pozostawiamy ocenę, który rodzaj najlepiej opisuje retorykę Tuska.

Wydaje się natomiast oczywiste, że Tischnerowska korelacja kłamstwa z lękiem trafia w samo sedno obecnych manipulacji szefa rządu.

Antypisowska gra na wywołanie społecznego strachu jest przez Tuska prowadzona konsekwentnie od dłuższego czasu. Szef PO zaraz po objęciu rządów 13 grudnia rozpoczął straszenie Polaków Rosją. Co ciekawe, gdy należało się jej bać już półtorej dekady temu, wskazujących na to nazywał rusofobami, ale do tego jeszcze dojdziemy.

Dziś, a to przestrzega, że Moskwa będzie wpływać na wybory do Parlamentu Europejskiego (a najbardziej – jego zdaniem – w Polsce), a to zapowiada, że w ciągu kilku lat nastąpi rosyjski atak na państwa europejskie, a to zapowiedź budowę okopów na granicy, a w Berlinie stwierdzi, że „kwestia zagrożenia nuklearnego ze strony Rosji nie jest abstrakcją”. Na warszawskiej konferencji z greckim premierem zmarszczył czoło i powie: „Nie jest moją rolą nikogo straszyć. W każdym miejscu w Europie i świecie, tam, gdzie spotykam się z szefami rządów [...], wszyscy mówią tylko

o jednym, jak przygotować Europę na agresję. Dzisiaj nie ma innego tematu”.

Jeśli więc odpowiednio wtłoczy do głów odbiorcom, że Rosjanie już niemal stoją na granicy pod Gołdapią, a partię Jarosława Kaczyńskiego skutecznie przedstawi jako sojusznika Putina, uzyska pożądany efekt mrozący. Wszak strach przed wojną, a więc wspomniany przez ks. Tischnera lęk o życie, to jedna z najsilniejszych emocji. One zaś mają odegrać kluczową rolę w zbliżających się wyborach. Mniej ważne będzie, że wywoływane są tezami skrajnie idiotycznymi. Ludzie mają się bać i głosić sparatyzowani strachem.

Tusk obawia się o niską frekwencję i słabą mobilizację swojego żelaznego elektoratu, która będzie kluczowa dla ostatecznego wyniku. Dlatego postanowił zamknąć oczy, a oczy odbiorców zasłonić bielmem, które ma ich zmusić do pójsia do urn 9 czerwca.

KŁAMCA POSŁUSZNY

Taką hipotezę potwierdza sondaż IBRiS dla „Rzeczpospolitej” opublikowany 15 maja. Wynika z niego, że 60 proc. badanych nie zgadza się ze słowami, iż PiS to „płatni zdrajcy, pacholki Rosji”. Opinię szefa rządu podziela zaś 29,8 proc. ankietowanych, czyli mniej więcej tyle, ile wynosi dzisiejsze poparcie Platformy (choć jeśli wczytamy się w wyniki badania dokładnie, okaże się, że nawet 18 proc. wyborców PO nie kupuje narracji premiera).

Pytamy Jacka Saryusza-Wolskiego, byłego współpracownika Donalda Tuska, a dziś europosła PiS, czy premier nie zatracił instynktu do wybierania strategii politycznych, również tych najbardziej brutalnych, skoro prawie dwie trzecie badanych myśli inaczej niż on w fundamentalnej sprawie?

– Nie, on liczy na te pozostałe 40 proc. I wie, że kłamstwo się w jego przypadku sprawdza. Jest konsekwentny w swoim postępowaniu. Działa tu po pierwsze syndrom złodzieja, który krzyczy: „Łapać złodzieja”, chcąc odwrócić uwagę od własnych grzechów. Po drugie, w narracji PO i Tuska nie raz sprawdziło się, że każde kłamstwo jest dobre. Dziś obserwujemy zwrot w jego wypowie-

dziach w sprawie nielegalnej migracji czy granicy z Białorusią. Ale przecież w niemal każdej dziedzinie znaleźlibyśmy dowód na to, że raz premier mówi jedno, a raz drugie i te wypowiedzi sobie przeczą. Liczy na krótką pamięć, jej zupełny brak albo zaślepienie swoich zwolenników – puentuje kandydat PiS na komisarza KE.

Dochodzi tu do sytuacji kuriozalnych, gdy w zasadniczych sprawach kłamstwo zarzuca premierowi nawet własny koalicjant. Tak było w przypadku paktu migracyjnego, o którym Marek Sawicki z PSL tak mówił w Polsat News: „Trzeba mówić o tym pakcie prawdę. [...] On wejdzie w życie za dwa lata i kwestie historyczne nie będą brane pod uwagę, że my mamy swój

Dochodzi tu do sytuacji kuriozalnych, gdy w zasadniczych sprawach kłamstwo zarzuca premierowi nawet jego własny koalicjant. Tak było w przypadku paktu migracyjnego

wysiłek i te miliony Ukraińców przetruciliśmy przez Polskę, a ponad milion w Polsce pozostało. [...] Nieprawdą jest, co mówi pan premier Donald Tusk, że nas nie będzie obowiązywała żadna relokacja”. Zaskoczona dziennikarce Sawicki tłumaczył, że „Donald Tusk jest premierem”, a on sam „politykiem i moim obowiązkiem jest uczciwie informować obywateli o tym, co niesie pakt migracyjny”.

To znamienne, że w dyskusji nad opartą na kłamstwie obecną narracją Tuska nie padają argumenty etyczne. Lider PO dotarł do momentu, w którym nikt się nie zastanawia, jak to jest możliwe. Słyszeliśmy wszak już niejednokrotnie z ust przedstawicieli jego obozu wprost formułowane postulaty, by poprzez kłamstwa szukać w polityce skuteczności.

W styczniu 2021 r. Janusz Palikot, dawny sponsor Tuska i jego żołnierz do zadań najbardziej haniebnych, ogłosił, że „jeżeli opozycja chce wygrać wybory, musi kłamać”. Podał nawet sześć fake newsów, które warto rozprzestrzeniać, m.in. „Po następnym zwycięstwie PiS zwiększy inflację, aby obniżyć emerytury?”, „Powstaje szpital tylko dla działaczy PiS?” czy „Trwają rozmowy Macierewicza z ludźmi Putina ws. polexitu?”.

W listopadzie 2022 r. były premier Marek Belka, który dostał się do Parlamentu Europejskiego z list Koalicji Europejskiej, stwierdził w rozmowie z Onetem, że aby być skutecznym w polityce, trzeba kłamać, a ponieważ „kłamstwo ma szybkie nogi”, trzeba je szybko przykrywać kolejnym kłamstwem.

Przed rokiem Bogusław Grabowski, przed laty członek Rady Gospodarczej przy premierze Tusku, zaskoczył w Radiu ZET, odpowiadając na pytanie, czy politycy muszą kłamać, by wygrać wybory: „Tak. [...] Niestety tak wygląda teraz świat. Bardzo mi przykro, że tak jest. Tak kilkadziesiąt lat temu nie było. Można było mówić prawdę. Mamy bałki informacyjne, fenomenologię kanałów komunikacji. Posługując się Twitterem, sloganami, bardzo prostym przekazem, zrozumiałym dla wszystkich, politycy muszą się mijać z prawdą”.

Przed tygodniem zaś Bronisław Komorowski podzielił się ze słuchaczami Zetki taką refleksją o niespełnionych przez Platformę obietnicach wyborczych: „Wyborcy w Polsce, nie tylko w Polsce, lubią, jak im się obiecuje. Nawet jeśli wiadomo od początku, że tych obietnic się w pełni nie zrealizuje. Ludzie lubią mieć nadzieję”. W uproszczeniu: były prezydent uważa, że wyborcy lubią być oszukiwani.

Tusk idzie więc drogą wskazaną przez te postacie. A w zasadzie on nią biegnie. Lecz, jak wskazują nasi rozmówcy, za chwilę może się przewrócić.

KŁAMCA ŚLEPY

– Podejmując narrację o rzekomej prorosyjskości PiS, premier następuje na grabie i dostaje nimi w czoło. To samobój! – mówi nam prof. Y. Według niego

konsekwencją kłamstw Tuska w tej materii będzie ponowny internetowy wysyp wszystkich jego zdjęć z Putinem i kompromitujących wypowiedzi czapujących Moskwie. – Wydawało mi się, że będzie unikał takiego efektu, bo to przecież klasyczne wyciąganie trupa z szafy. Na finiszu kampanii czeka nas zatem resumé wszystkich wypowiedzi Tuska o konieczności rozmów z Rosją taką, jaka ona jest czy dbaniu wspólnie z Putinem, by nikt nie sypał piachu w tryby współpracy polsko-rosyjskiej. Nastąpi wielki remanent jego prorosyjskości. Tusk robi sobie potworną krzywdę. I nie pomoże mu w tym fakt, że ukradł Polakom dokumentalny serial „Reset”. Usunięcie tej produkcji nawet z internetowych archiwów to ordynarna kradzież własności wszystkich Polaków, którzy zapłacili za nią swoimi podatkami. Lecz to wszystko do niego wróci – dodaje naukowiec.

Jak jednak wytłumaczyć, że tak doświadczony polityk, sięgając po haniebne metody, popełnia tak fatalny w skutkach błąd? – Ludzie, którzy go trenują, przeceniają swoje możliwości. Wydaje im się, że mogą całkowicie sterować dyskursem, że mają totalną kontrolę nad mediami i mogą wmówić nam każdą piramidalną bzdurę. Udało się w przypadku katastrofy smoleńskiej, to myślą, że i teraz się powiedzie. Ale nie biorą pod uwagę istotnej okoliczności. Tusk miał kilkuletnią lukę w obecności na polskiej scenie. Będąc w Brukseli, obserwował Polskę, czytał media, ale fizycznie go tu nie było, nie rozmawiał z ludźmi. A w tym czasie Polska i Polacy się bardzo zmienili. Zmieniły się też media. Internet, media społecznościowe są dużo potężniejsze, więc Tusk nie jest już w stanie dywanowymi nalotami medialnymi zapewnić sobie osłony – diagnozuje prof. Y.

W normalnej rzeczywistości medialnej poswoim sejmowym wystąpieniu z 9 maja Tusk zostałby rozjechany. Media zakrzyknęłyby, że premier przekracza granice absurdu i się kompromituje. Tego nie było. Dlatego tydzień później Platforma poszła jeszcze dalej. I to było za daleko.

Kilkanaście godzin po zamachu na Roberta Ficę wypuściła wyborczy spot,

który wszędzie poza samą PO został zmiażdżony jako paliwo, które może doprowadzić do podobnej tragedii jak na Słowacji. Trupie czaszki, złowieszczą muzyka, migające naprzemiennie zdjęcia Putina i Jarosława Kaczyńskiego, chore tezy o PiS jako największym sukcesie Rosji w Polsce. Oburzyły się nawet media na co dzień sprzyjające partii władzy, podobnie jak przedstawiciele koalicjantów Platformy.

Można na to wszystko odpowiadać merytorycznie. Przypominać, że wy-

„Obserwowałem Tuska jako polityka do bólu pragmatycznego, interesownego, transakcyjnego i cynicznego. Żadnych idei czy imponderabiliów. Liczył się tylko własny interes polityczny” – wspomina Witold Waszczykowski

ssanym z brudnego palca kłamstwem jest np. teza, iż Lech Kaczyński spotykał się tak często z Putinem jak Tusk. Pytać: gdzie ukryto zdjęcia z tych rzekomych rozmów? Przywoływać ich jedyne spotkanie – 1 września 2009 r. na Westerplatte, gdy wkurzony Putin musiał słuchać publicznego wykładu polskiego prezydenta o rosyjskim neoimperializmie. Cytować liczne wypowiedzi samego Tuska nazywającego Jarosława Kaczyńskiego rusofobem. Wyliczać, kiedy Kaczyński z Mateuszem Morawieckim jeździli do Kijowa pod ruskimi bombami (a byli tam pierwsi), ile broni rząd Zjednoczonej Prawicy przekazał Ukrainie i jak ta ekipa zerwała z rosyjskim gazem (na długo przed agresją z 24 lutego 2022 r.), od którego uzależnił nas rząd PO-PSL czy kto budował zaporę na granicy z Białorusią, a ilu posłów PO głosowało przeciw tym umocnieniom (dokładnie 121).

I być może do znudzenia warto pokazywać, kto pchał nas w łapy kremlofskiego zbrodniarza, a kto konsekwentnie przed tym przestrzegał. Ale warto odpowiedzieć też pytanie, co kieruje stosującym takie plugawe zagrywki premierem.

– Moja przygoda z Tuskiem trwała ok. 10 miesięcy. Parę razy zastępowałem Sikorskiego na posiedzeniu rządu. Kilka razy uczestniczyłem w naradach w mniejszym gronie w sprawie tarczy antyrakietowej, ale nigdy nie zostałem dopuszczony do bliższej komitywy, w której pilo się wisko, paliło cygara czy harało w gałę. Obserwowałem Tuska jako polityka do bólu pragmatycznego, interesownego, transakcyjnego i cynicznego – wspomina w rozmowie z tygodnikiem „Sieci” Witold Waszczykowski, były wiceminister spraw zagranicznych w rządzie PO-PSL, a później szef dyplomacji w gabinecie Beaty Szydło. – Żadnych idei czy imponderabiliów. Liczył się tylko własny interes polityczny. Był przeciwny tarczy antyrakietowej, bo domagał się od Amerykanów sowitego wkładu finansowego, jakby okupu. Nie docierały do niego żadne argumenty o wzmocnieniu bezpieczeństwa Polski. To miała być czysta transakcja: chcą tarczy u nas, niech się okupią.

Co więcej, bał się, że to będzie przypisane jako sukces polityczny Lecha Kaczyńskiego. To była jego zmoza.

Były szef MSZ dodaje: – To skrajny cynik. Dziś bardziej nerwowi i krzykliwi, bo propaganda o „przywracaniu normalności” mu nie idzie. Ale on realizuje schemat taktyki przyjętej w Brukseli: kto waha się wobec obecnych rozwiązań europejskich, ten jest za Putinem i polexitem. Prymitywne to, ale stosowane na skalę krajową i międzynarodową dociera do jego sympatyków.

W wielkim europejskim (czyt. niemieckim) projekcie Polska ma być zredukowana do poziomu biednego landu, w którym nie zapadają żadne poważne decyzje. Od powodzenia tej operacji zależą losy szerokiej elity eurokratów, której ekspozyturą w Polsce jest Donald Tusk. To on ma zapewnić, że kraj nad Wisłą zrezygnuje ze swoich ambicji i należytego miejsca na kontynencie. I aby to osiągnąć, chwytą się najpodlejszych metod. 

Pół roku po grudniowej zmianie rządu rzuca się w oczy jedna z najbardziej charakterystycznych cech nowej władzy: polityczna niekonsekwencja. A ściślej mówiąc, ta niekonsekwencja staje się czymś na kształt znaku wyróżniającego polityczny styl Donalda Tuska jako premiera trzeciego kierowanego przezeń rządu



JAN ROKITA



Polityka niekonsekwencji

Ów styl trzeciego premierostwa Tuska jest odmienny od tego, co pamiętamy z lat 2007–2011 oraz 2012–2014. Główna różnica tkwi w tym, iż w tamtym czasie Tusk dochodził do władzy praktycznie bez poważnych obietnic czy zobowiązań, zaś w kampaniach wyborczych jak ognia unikał twardych deklaracji ideowych czy programowych. W takich okolicznościach właściwie nie było ani spełnionych, ani niespełnionych obietnic (z rzadkimi wyjątkami, jak sławna sprawa wieku emerytalnego) i trudno było się doszukiwać konsekwencji bądź jej braku w prowadzeniu polityki. Tusk

jako premier robił wtedy co chciał, lepiąc na nowo oblicze ideowe i polityczne Platformy Obywatelskiej w niczym nie przypominającej tego, czym ta partia była, nim po raz pierwszy udało się jej zdobyć władzę.

Przed wyborami 2023 r. było już jednak inaczej. Co prawda i tym razem Tusk, zgodnie ze swoim znanym poglądem na politykę, usiłował w toku kampanii wyborczej rozmywać wszelkie cele i zamiary, tak by nie wiązać sobie rąk żadnymi konkretnymi i nie dawać nikomu pretekstu do przyszłych rozliczeń. Ale w trzech kluczowych materiach został zmuszony do odejścia

od tej maksymy. Po pierwsze, musiał roztoczyć długą i dość konkretną listę działań, które niezwłocznie podejmie po zdobyciu władzy, aby dać satysfakcję rewanżystowskim grupom interesu, dyszącym pragnieniem ostatecznego unicestwienia PiS i zajęcia uwolnionych w ten sposób niezliczonych posad.

Po drugie, musiał przedłożyć zobowiązania do obalenia całości ośmioletniego dorobku rządów prawicy, aby w ten sposób uwiarygodnić jedyną istotną tezę całej swojej kampanii wyborczej – że PiS stanowi zło absolutne. A to właśnie ta teza miała

być (i faktycznie była) czynnikiem mobilizującym wyborców w październikowych wyborach.

No i po trzecie, Tusk nie bez racji uznał za konieczne jest wejście w przedwyborczą rywalizację z PiS na polu podwyżek, świadczeń i przywilejów finansowych dla najrozmaitszych grup elektoratu. Ta praktyka, zmonopolizowana dotąd przez PiS i skutecznie użyta zarówno w wyborach 2015, jak i 2019 r., była szczególnym obiektem zazdrości platformerskiego aktywu, który właśnie ją traktował jako źródło wszystkich swoich nieszczęść i porażek wyborczych.

UNICESTWIĆ PiS

Jeśli spojrzymy na listę tych najbardziej oczywistych niekonsekwencji, w które uwiłkła się Tusk w ciągu półroczu swoich rządów, widać, że wszystkie one biorą się z owych trzech rodzajów obietnic i zobowiązań. Ostatecznemu unicestwieniu PiS miały służyć aresztowania i procesy czołowych polityków oraz działaczy gospodarczych prawicy, do czego wstępem miały się stać komisje śledcze odsłaniające historie, jakich świat dotąd nie widział. Tymczasem kompromitujący dla obozu rządzącego spektakl komisji śledczych kończy się właśnie ewakuacją do Brukseli jego czołowych aktorów, gdyż Tusk nie ma konceptu na zakończenie nieudanego i nieproduktywnego z jego punktu widzenia spektaklu. Zaś aresztowania, po poważnie wyglądającym uwięzieniu dwóch polityków PiS, skończyły się farsą w wydaniu ministra Bodnara, który ze strachu umożliwił ulaskawienie „kryminalistów” już po dwóch tygodniach więzienia. No i doszło nawet do tego, że niektórzy rozczarowani brakiem konsekwencji członkowie ekipy Tuska publicznie domagają się aresztowań wskazywanych z nazwiska polityków PiS, np. byłego szefa MON Macierewicza, którego aresztować chciałby obecny szef MSZ Sikorski. Niekonsekwencja Tuska prowadzi więc czasem do prawdziwych kuriozów.

Tysiące „neosędziów” mianowanych przez prezydenta Dudę miało być wyrzuconych z zawodu, gdyż – jak tłumaczył sławny sędzia Żurek – są pisowskimi janczarami. Oczyszczona

z „janczarów” miała być KRS, tzw. trybunał Przylębskiej – rozpędzony na mocy uchwał parlamentu. Wszystko to miały być szandarowe przedsięwzięcia nowej władzy, dowodzące jej siły. A przy zastosowaniu wypraktykowanej przez ministra Sienkiewicza metody ograniczonego stanu wyjątkowego (czyli czasowego zawieszania poszczególnych ustaw) realizacja tych zamiarów nie powinna stworzyć większych kłopotów niż te, które pojawiły się przy rozpędzaniu telewizji.

Ale jednak w ciągu pół roku nic z tych planów, ogłaszanych tyle razy przez samego Tuska, się nie ziściło. No i teraz co bardziej zawzięci prawnicy – rewanżyści, rozczarowani niekonsekwencją

Tusk zawsze był mało profesjonalny. Dlatego zwykł buńczucznie obwieszczać różne plany, ale z czasem często spełzały one na niczym

premiera, wysyłają w tej sprawie listy z protestami skierowane pod adresem nowej władzy.

Już grubo po wyborach premier zaklinał się, że procedura „wyprowadzenia Glapińskiego z NBP” ruszy lada dzień – i ani widu, ani słychu. Coś się zaczęło, był jakiś wniosek grupy posłów, ale konsekwencji jakoś nie widać.

ZAMKNAĆ PROJEKT CPK, ZBURZYĆ MUR

W gruncie rzeczy podobnie rzeczy się mają z obalaniem dorobku politycznego rządów prawicy. W najbardziej spektakularnych materiałach, w których platformerski lud wyekiwał szybkich i stanowczych działań, z determinacją zapowiadanych niegdyś przez Tuska, panuje zamieszanie i niejasność, a w niektórych przypadkach nastąpił

widowiskowy odwrót od wcześniej złożonych obietnic.

Szczyt niekonsekwencji i zamętu osiągnęła sprawa budowy wielkiego lotniska w Baranowie, przedstawiana przecież w ciągu ubiegłych lat przez Tuska jako koronny przykład „manialnej gigantomanii” i ekonomicznej patologii rządów prawicy. Nie bez powodu co bardziej napaleni zwolennicy nowej władzy spodziewali się szybkich i jasnych decyzji likwidujących cały projekt. Tymczasem premier swoim kunktatorstwem, odkładaniem decyzji, sugerowaniem przez jego ludzi jednego dnia, że likwidacja jest już przesądzona, a drugiego, że lotnisko jest koniecznością, doprowadził do narodowej debaty na ten temat, w której ewidentnie – wraz z upływem czasu – górę zaczęły brać argumenty ekonomiczne przedkładane przez polityków i ekspertów PiS.

Drugi spośród spektakularnych projektów prawicy, czyli mur na wschodniej granicy, przed wyborami stał się społecznym symbolem nieuludzkiej, niehumanitarnej czy wręcz zbrodniczej polityki PiS. Tłumy widzów oklaskiwały w kinach głośny film Holland, który przygotowywał grunt na otwarcie się nowej władzy na „dobrych ludzi” (jak mówił Tusk), pragnących dostać się przez Polskę do Europy. Tutaj niekonsekwencja Tuska nabrała wymiaru propagandowego purnonsensu, gdy obecny premier zaczął oskarżać rząd Morawieckiego o ukrywane intencje masowego ściągania imigrantów z Azji i Afryki, nakazując na granicy budowę muru mocniejszego od tego, który postawił PiS. Podobnie rzecz się miała przy europejskich głosowaniach nad unijną dyrektywą wprowadzającą przymusową relokację imigrantów w całej Europie. Zupełnie jakby władza w Polsce się nie zmieniła, wysłannik Tuska minister Domański głosował w Radzie UE przeciw tej dyrektywie w towarzystwie wysłanników dwóch innych znienawidzonych w Brukseli przywódców – węgierskiego Orbána i słowackiego Fico. Europejski tercet Tusk–Orbán–Fico, idący w sprawie imigracji przeciw całej liberalnej Europie, musi wprowadzać spory zamęt w umysłach platformerskiego twardego elektoratu. A wszystko

to działo się raptem kilka dni przed tym, jak słowacki premier został postrzelony przez aktywistę tamtejszego komitetu obrony demokracji.

Wreszcie niekonsekwencja, której tu akurat należało się spodziewać, dotknęła co najmniej część spośród głoszonych przez Tuska programów społecznych, mających pełnić rolę rywalizacyjną wobec programów PiS. Zamiast socjalnego rozdawnictwa, charakterystycznego dla prawicy, nowa władza miała przede wszystkim obniżać ciężary podatkowe. Zapowiedziane przez premiera duże ulgi podatkowe nigdy nie wyglądały realistycznie, ale chybotliwe sygnały polityków centrolewicowej koalicji na ten temat dały tylko okazję opozycji do przeciwstawiania wiarygodności programów społecznych rządu Morawieckiego i braku wiarygodności rządu Tuska. W tym sensie z perspektywy politycznego interesu premiera lepszą rzeczą było nie formułować obietnic finansowo nierealnych, niżli potem musieć mętnie się z nich wycofywać albo odkładać na przyszłość. Przez osiem lat rządów prawicy ludzie zdążyli się bowiem przyzwyczaić do tego, że każde kolejne wybory wiąza się z jakimiś korzyściami materialnymi. I teraz właśnie przypomnieli sobie, że pod władzą Tuska korzyści te mogą pozostać w sferze obietnic.

CHCIAŁBYM, ALE SIĘ BOJĘ

Co ważne, nie ma jakiejś jednej przyczyny albo politycznej reguły, która tłumaczyłaby ów brak konsekwencji Tuska na tak licznych i różnorodnych polach. Tym bardziej że niekonsekwencja ta przybiera w praktyce dość rozmaite kształty. W kilku kluczowych przypadkach premier najwyraźniej jest wystraszony ryzyka zbyt daleko idących skutków konsekwentnie prowadzonej polityki.

Dotyczy to zwłaszcza planów politycznego unicestwienia PiS raz na zawsze za pomocą represji karnych i praktyki ograniczonego stanu wyjątkowego. Po pół roku rządów Tuska wygląda na to, że mamy do czynienia z sytuacją opisywaną często głupawym, ale pasującym tu powiedzonkiem: „Chciałabym, ale się boję”. Tusk nie porzucił

zamiaru stosowania represji, tym bardziej że ma na to zagraniczne przyzwolenie. Ale ciągle nie może się zdecydować na podjęcie ryzyka zwiększonego społecznego oporu. Tusk zawsze był i pozostaje do dziś typowym politykiem oportunistycznym. A to znaczy, że aż skręca go wewnętrznie na myśl, że mógłby sam zrobić coś, za co lud przestałby go lubić.

W każdym razie na prawicy przedwczesną rzeczą byłoby się cieszyć, iż brak konsekwencji Tuska oznacza, że zamiast faktycznych represji opozycja będzie zalewana „tylko” nieustanną falą gróźb, obelg i często wulgarnych wyzwisk. Taki scenariusz stałby się co prawda destrukcyjny dla jakości debaty publicznej i polskiej polityki, ale nie prowadziłby do ciągle możliwego przekształcenia władzy w reżim otwarcie represyjny.

Co najmniej w niektórych przypadkach brak konsekwencji Tuska jest powodowany nie przez jego strach, lecz raczej przez nieudolność. Tak jest choćby w przypadku fiaska komisji śledczych, do których nie potrafił przygotować odpowiednich ludzi ani postawić im właściwych zadań. Tak samo rzecz się ma z chęcią rozpędzenia „trybunału Przyłębskiej”: Tusk coś próbował, zaczął zuchwałami sejmowymi, ale nie potrafił dokończyć, gdyż ewidentnie nie miał opracowanego planu. Warto pamiętać, że cały niezaprzeczalny talent polityczny szefa rządu polega na nadzwyczajnej umiejętności i bezwzględności w uruchamianiu oraz prowadzeniu intrygi personalnej. Ale już za czasów jego poprzedniego premierostwa nietrudno było się przekonać, iż trochę bardziej skomplikowane przedsięwzięcia państwowe, wymagające wiedzy, strategii i profesjonalizmu w zarządzaniu są jego piętą achillesową. Swego czasu sławny był z hukiem obwieszczany przez Tuska plan ograniczenia administracji. Wiadomo, jak się skończył: jej inercyjnym rozrostem. W państwowym sensie premier zawsze był mało profesjonalny. Dlatego różne plany zwykły buńczucznie obwieszczać, ale z czasem często spełzały one na niczym.

W jeszcze innych przypadkach Tusk jest po prostu bezsilny. W sytuacji, gdy oficjalnie ogłoszona przez Domań-

skiego „dziura budżetowa” sięgnęła 40 mld zł, musiał wybierać pomiędzy obiecanymi podwyżkami dla nauczycieli i ulgą podatkową. Wybrał racjonalnie nauczycieli, uznając, iż w tej silnie „uzwiązkowionej” branży zignorowanie obiecanych podwyżek grozi kłopotliwym dla rządu strajkiem. Z kolei w sprawie lotniska w Baranowie Tusk jest po prostu niezdecydowany. Dość wiarogodnie wygląda hipoteza formułowana przez polityków prawicy, iż premier znajduje się tu pod silną presją oczekiwań rządu w Berlinie, aby plan CPK został odłożony *ad acta* z powodu walki konkurencyjnej. Tusk chciałby rozbić sztandarowy program PiS, a przy okazji zrobić gest w stronę Berlina. Ale waha się, więc dojutrukuje, świadom tego, że takie przedsięwzięcie ma sens z polskiej perspektywy, a na dodatek teraz wspiera je już większość opinii publicznej. Z każdym kolejnym dniem wahań i dojutrkowania decyzja jest dla niego coraz trudniejsza.

Niekonsekwencja Tuska ma więc różne przyczyny i rozmaite skutki. W niektórych przypadkach chroni – przynajmniej do tej pory – państwo przed ześlizgnięciem się w system politycznych represji. W innych daje opozycji pole do wykazywania hipokryzji premiera przez zestawianie jego sprzecznych oświadczeń z czasu kampanii wyborczej i obecnie jak to się dzieje w przypadku muru na granicy. Czasem jest tak, że brak konsekwencji Tuska jest koniecznością, jak choćby przy wycofaniu się z obietnicy obniżki podatków, ale mimo to stwarza opozycji możliwość dyskredytowania szefa rządu.

Ale jedna prawidłowość w tym wszystkim jest pewna. Tusk jest dziś bardziej niezborny i bardziej niekonsekwentny niżli w czasach dwóch swoich poprzednich rządów. I im bardziej okoliczności i jego oportunistyczny styl prowadzenia polityki będą go popychać do większych niekonsekwencji, tym bardziej będzie starał się to maskować agresją języka, buńczucznością zachowań, udawaną pewnością siebie. A to znaczy, że polska polityka podczas jego trzeciego premierostwa będzie jeszcze bardziej nerwowa i jeszcze bardziej chaotyczna.

Kim jest nowa minister kultury?



JAKUB AUGUSTYN
MACIEJEWSKI

Mianowanie nieznanej w polityce Hanny Wróblewskiej na ministra kultury w miejsce Tuskowego herszta Bartłomieja Sienkiewicza to drastyczna zmiana. Co to oznacza dla narodowej kultury?

Patrząc powierzchownie na życiorys Haliny Wróblewskiej, można poprzestać na opinii, że to sprawną menedżerkę kultury, która z wykształcenia jest historykiem sztuki, a w swoim zawodowym CV ma organizację wielu wystaw artystycznych, zwłaszcza w Zachęcie – Narodowej Galerii Sztuki. Jej nominacja z 10 maja była jednak niespodzianką, bo nowa pani minister ma zerowe doświadczenie polityczne i zerową pozycję w hierarchii władzy, a więc w podziale funduszy między resortami obszar kultury przestanie być traktowana priorytetowo.

Wróblewska była dyrektorem Zachęty przez 11 lat, w tym 6 lat w czasach rządów Prawa i Sprawiedliwości. Ówczesny minister kultury Piotr Gliński nie przerwał jej kadencji, a później pozwolił jej zostać na stanowisku na kolejne lata. – Z całego lewicowego środowiska wydaje się być ona najbardziej otwarta i prezentująca zdrowy rozsądek – mówi tygodnikowi „Sieci” jeden z dyrektorów instytucji kulturalnej, która dobrze prosperowała w czasach rządów Zjednoczonej Prawicy. Jest on wręcz zaskoczony, że po fanatyzmie Sienkiewicza przychodzi ktoś względnie umiarkowany. Przynajmniej takie sprawia wrażenie, choć jeśli sprawdzimy dokładniej, to natura nowej minister pokazuje swoje drugie, mniej sympatyczne oblicze.



FRAKCJA RADYKALNA

Halina Wróblewska już po powołaniu rządu Donalda Tuska otrzymała stanowisko w resorcie kultury – została dyrektorem Departamentu Narodowych Instytucji Kultury. I choć wszystkie demolki w ministerstwie obciążają konto Sienkiewicza, to za niektórymi decyzjami stała właśnie Wróblewska. Jedną z nich były gwałtowne zmiany w Pawilonie Polskim na tegorocznym Biennale w Wenecji. Mowa o corocznej prestiżowej, międzynarodowej wystawie, w której nasz kraj uczestniczy od 1932 r.

W ub.r. jury konkursu wybrało twórczość Ignacego Czwartosa do reprezentowania Polski w Wenecji. Malarz wpisał się w tegoroczny motyw przewodni międzynarodowego wydarzenia, którym był temat „Obcokrajowcy są wszędzie”, bo w jego malarstwie pojawiają się polskie dramaty najeźdźców, okupacji i cierpienia wojennego. Dla salonu II RP jest to

jednak zbyt prawicowe i sam Czwartosi był potępiany w lewicowo-liberalnych kręgach, zwłaszcza ze swoją tożsamością „nowoczesnego Sarmaty”. Choć sprawa jego wystawy była już zatwierdzona, to Sienkiewicz zmienił tę decyzję, wywracając wielomiesięczne przygotowania i prace wielu ludzi. Jednak to nie sam minister, zajęty wówczas demolowaniem

mediów publicznych, był jakimś szczególnym przeciwnikiem obrazów przedstawiających historię Polski. Jak się dowiadujemy w Ministerstwie Kultury i Dziedzictwa Narodowego, to ówczesna dyrektorka Wróblewska gorliwie namawiała do zniszczenia pozycji Czwartosa.

– Sienkiewicz zbierał od podwładnych sugestie, co zmieniać i co usuwać. Wróblewska od razu wypaliła z Pawilonem Polskim na Biennale – opowiada tygodnikowi „Sieci” człowiek, który nadal pracuje w resorcie. Czy dzisiejsza minister jest jakoś uprzedzona do malarstwa Czwartosa? – Ona wbrew tej zewnętrznej ogładzie jest niezwykle radykalna. Wróblewska jest częścią rewolucyjnej frakcji w sztuce polskiej, przez 11 lat nie zrobiła jako dyrektor Zachęty ani jednej dużej wystawy polskich artystów – mówi nam z kolei jedna z osób znająca Wróblewską z różnych instytucji kultury. Faktycznie była ona kuratorem wystawy dotyczącej rewolucji 1968 r. czy promowała w Zachęcie skandalistkę Katarzynę Kozyrę, a już dla nieprogresywnej sztuki w jej placówce nie było miejsca.

Nie tylko Czwartos był celem jej wewnątrzministerialnych nacisków. To ona miała również stać za bezprawnym usunięciem dyrektora Zachęty Janusza Janowskiego w trakcie trwania jego kadencji. – Prawnicy w ministerstwie odradzali ten krok, bo ma wątpliwe podstawy prawne, ale Wróblewska, widząc, że dało się siłą rozwalić TVP, bagatelizowała ten argument, bo czymże byłoby dla resortu usunięcie dyrektora ledwie jednej z placówek kulturalnych – słyszymy w opowieści o zakulisowych działaniach w resorcie Sienkiewicza.

PANI NADMINISTER

Jednak wszystkie kontrowersyjne działania Wróblewskiej – wystawa w Wenecji, usunięcie Janowskiego i jej dawniejsze dyrektorskie decyzje – są związane z głównie z Zachętą i osobą, która tę Narodową Galerię Sztuki uczyniła niegdyś swoim folwarkiem. Wróblewska jest przyjaciółką, współpracowniczką i wychowaną szarą eminencją polskiej sztuki współczesnej – Andy Rottenberg. Przez zwolenników nazywana „żelazną damą polskiej sztuki” Rottenberg pasuje do najbardziej stereotypowych wyobrażeń polskiej prawicy o polakożercach. Córką polskiego Żyda i Rosjanki, wieloletnia pracownica w imperium Georga Sorosa, wyrobiła sobie pozycję zdecydowanie mocniejszą, niż by jej dawała epizodyczna praca w resorcie kultury (1991) w rządzie Jana Krzysztofa Bieleckiego czy dyrektorowanie w Zachęcie.

Przejawszy wszystkie rodzinne żale do polskości, zaznawszy wiele osobistych dramatów w swoim późniejszym życiu rodzinnym, Rottenberg jawi się jako fanatyczka tocząca wieczną krucjatę z polskim konserwatyzmem. Jej wypowiedzi o bieżącej polityce zapowiadały „krew, pot i łzy” w niszczeniu dorobku rządów PiS, zapowiadała też zemstę na prawicy.

Kilka dni po zaprzysiężeniu rządu Tuska udzieliła wywiadu „Gazecie Wyborczej”, sugerując Ministerstwu Kultury, co powinno zniszczyć i co zmienić. Wkrótce to się właśnie stało, a część tych decyzji forsowała u Sienkiewicza właśnie Wróblewska. Wszystko więc wskazuje na to, że oprócz formalnej szefowej resortu mamy jeszcze nieformalną nadminister z najgłębszego salonu III RP – Andę Rottenberg.

DEGRADACJA KULTURY

Problem ze zmianami w resorcie kultury nie polega jednak tylko na poglądach i autorytetach nowej minister. Przez ostatnie osiem lat minister kultury był bowiem jednocześnie wicepremierem, profesorem akademickim i bliskim współpracownikiem partyjnych decydentów, mając ich zaufanie. Gliński po prostu był w rządzie postacią wpływową i stanowczą – wyszarpywał z budżetu państwa bezprecedensowo wielkie fundusze na otwieranie kolejnych muzeów, kupowanie dzieł sztuki do polskich zbiorów i zakładanie nowych

instytucji kulturalnych. Uparty, zdeterminowany i nieznoszący sprzeciwu minister podniósł rangę resortu do poziomu nieznanego w historii Polski. Teraz zwykła historia sztuki pozostanie jedynie petentem w kolejce po środki na rozwój polskiej kultury.

– Sienkiewicz zdążył już wstrzymać wielkie, apolityczne projekty – komentuje dla tygodnika „Sieci” prof. Piotr Gliński. – Najbardziej żał mi Polskiej Opery Królewskiej, która była już po konkursie architektonicznym, i Muzeum

Historii Naturalnej czy Muzeum Techniki. – W przypadku Muzeum Historii mielibyśmy naprawdę duży hit o randze europejskiej. Mamy największą kolekcję zoologiczną, która leży w magazynie na wsi za Puszczą Kampinoską, a instytuty zoologii czy paleontologii były już gotowe współpracować. Chodziłyby tam tłumy, to w ogóle jest niesłychane, że taki kraj jak Polska nie ma do tej pory swojego Muzeum Historii Naturalnej, co w każdym kraju przyciąga zwiedzających. Chciałbym, żeby minister Wróblewskiej wystarczyło woli i sił, by jednak te projekty kontynuować – mówi prof. Gliński. Dla byłego wicepremiera mniej liczą się tutaj potyczki personalne i ciągle wraca do kwestii rozpoczętych projektów, jakby żywił cichą nadzieję, że nie wszystko zostanie zaprzepaszczone.

Jednak nawet jeśli Wróblewska jakimś cudem uwolniłaby się z macek Andy Rottenberg, okazała się otwarta na wizje i plany poprzedniej ekipy, to jak tu ze swoją nijaką pozycją polityczną miałaby przekonać do wielkich projektów rząd, dla którego szczytem aspiracji jest dwugwiazdkowy hotel na lotnisku w Modlinie i okienko do rejestracji dla bezrobotnych po spalnięciu hali targowej przy Marywilskiej w Warszawie? Sama kultura narodowa jest przecież dla ludzi Tuska z definicji gigantomania.

Uśmiechnięta Polska wierzy w cuda



Jeszcze rok temu mieliśmy zmierzać ku katastrofie. Wystarczyła jednak zmiana władzy i wszystko jak za dotknięciem magicznej różdżki zmieniło się na lepsze. Wyznawcy Tuska uważają, że jesteśmy szczęśliwym, kwitnącym krajem, a ludzie na ulicy uśmiechają się do siebie



KONRAD KOŁODZIEJSKI

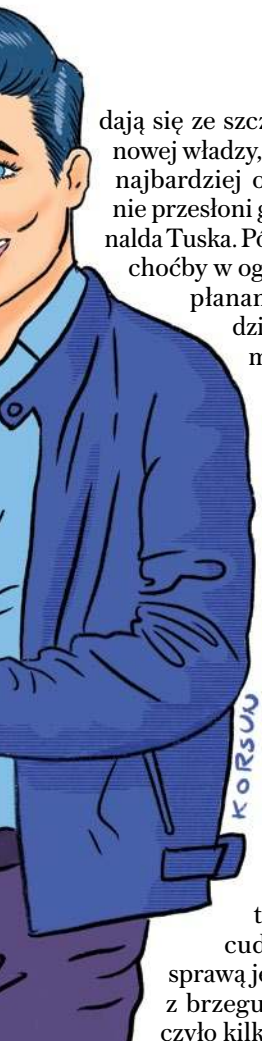
Od pół roku widzę więcej uśmiechniętych ludzi na ulicy. Ludzie nie są zastraszeni” – przekonywała w Polsacie była premier Ewa Kopacz. Jej zdaniem coraz więcej ludzi dostrzega różnicę między tym, jak żyło się w Polsce sześć miesięcy temu i jak żyje się dzisiaj. Społeczeństwo docenia nową władzę i przyjmuje rząd Platformy z wielkim entuzjazmem. „Bo czy nieszczęśliwy człowiek się uśmiecha? No proszę mi odpowiedzieć. Nie uśmiecha się” – skwitowała wątpliwości swojego rozmówcy Ewa Kopacz.

Nic dziwnego, że prowadzący program Marcin Fijołek był nieco zdziwiony spostrzeżeniami byłej pani premier. Żadne dane ich nie potwierdzają – ani sondaże popularności partii politycznych, w których Koalicja Obywatelska – mimo rzekomych sukcesów – nadal nie może wyjść na prowadzenie, ani badania optymizmu Polaków. Z kwietniowego sondażu CBOS wynika, że

45 proc. ankieterów uważa, iż sytuacja w kraju zmierza w złym kierunku, podczas gdy przeciwnego zdania jest 37 proc. Gdzie więc są ci uśmiechnięci ludzie?

Owszem, zdarzają się tacy. Ja przykładowo widziałem – wkrótce po październikowych wyborach – Tomasza Lisa krążącego po jednej z mokatowskich galerii handlowych z grymasem uśmiechu na twarzy. Nie zauważyłem jednak, żeby ktokolwiek rzucił mu się na szyję czy choćby odpowiadał uśmiechem. Ludzie biegli naprzód, pochłonięci swoimi sprawami i nie w głowie im było świętować „zwycięstwo demokracji”, nawet jeżeli sami przyczynili się do niego swoim głosem.

Do tej pory niewiele się zmieniło w tej kwestii. Co najwyżej do niektórych pozwoli zaczęło docierać, że dopiero teraz mogą nadejść naprawdę ciężkie czasy. Z pewnością są jednak i tacy, którzy tak jak Tomasz Lis i Ewa Kopacz nie posia-



dają się ze szczęścia. To wyznawcy nowej władzy, którym żaden, nawet najbardziej oczywisty fakt nigdy nie przesłoni głębokiej wiary w Donalda Tuska. Pójdą za swoim wodzem choćby w ogień piekielny. Ich kapłanami i autorytetami są dziennikarze liberalnych mediów, celebryci oraz internetowi trolle.

Wiara w Tuska zwalnia z wysiłku samodzielnego myślenia, który dla wielu z nich byłby nie do udźwignięcia. Zamiast myśleć, wolą wierzyć w cuda. To właśnie oni – impregnowani na rzeczywistość fajnopolacy – tworzą uśmiechniętą Polskę.

Cud pierwszy: inflacja

Kto wierzy w Tuska, ten dostrzeże rozliczne cuda, które nastąpiły za sprawą jego rządów. Pierwszy z brzegu to inflacja. Wystarczyło kilka tygodni rządów nowej ekipy, aby spadła do poziomu 2 proc., a jeszcze rok wcześniej zbliżała się do 20 proc. 10 magicznych zaklęć Tuska i inflacja poleciała w dół 10 razy!

To oczywiście bujda, ale przeciętny leming w nią wierzy. Naprawdę uważa, że spadek inflacji nastąpił za sprawą decyzji Tuska. O jakich decyzjach mowa, tego ani on, ani nikt inny nie wie, bo przecież żadnych decyzji premier nie podejmował. Nie tylko dlatego, że był zajęty „rozliczaniem” PiS, lecz także z tego powodu, że – o czym najwyraźniej leming nie wie – inflacji nie tłumi się rozporządzeniem rządu.

Skoro jednak leming sądzi, że do zwalczenia inflacji wystarczy zapisana na papierze wola premiera, to nic dziwnego, że uwierzy także w to, iż wywołuje się ją w ten sam sposób. W jego oczach Adam Glapiński wraz z Mateuszem Morawieckim wyrastają więc na groźnych złoczyńców, którzy nadrukowali pustego pieniądza, aby celowo pogrążyć Polskę w ubóstwie. Nie dostrzega

związku przyczynowo-skutkowego pomiędzy pandemią, kryzysem energetycznym i wojną na Ukrainie a sytuacją finansową Polski. Nie dociera do niego, że gospodarka światowa to naczynia powiązane i inflacja w Polsce była częścią szerszego zjawiska. I choćby podsuwać mu pod oczy tabele ze wskaźnikami inflacji za ostatnie miesiące, które jasno wskazują, że jej spadek nastąpił rok temu, to nadal będzie obstawał przy swoim, że wszystko zawdzięczamy Tuskowi, a Glapińskiego trzeba natychmiast odsunąć i postawić przed Trybunałem Stanu. Nie rozumie, że to właśnie prezes NBP uratował przed inflacją sporą część jego majątku.

Przeciętny leming nie ufa polskiej walucie. On woli euro. No bo gdybyśmy mieli euro, to taki Glapiński z Morawieckim nie mogliby nadrukować pustego pieniądza. Pisowcom nie wolno ufać, zresztą ogólnie Polacy nie znają się na walucie. Co innego zagraniczni bankierzy i finansisci – oni pochodzą z krajów naprawdę rozwiniętych i cywilizowanych, należy więc oddać nasz majątek i naszą przyszłość w ich ręce. Na pewno go pomnożą i sprawią, że już wkrótce Polska będzie bezpieczna i tak bogata, jak Niemcy czy Holandia. Tak przynajmniej uważa znany ekonomista Ryszard Petru. Nie ma powodu, aby mu nie wierzyć. On się przecież zna.

Znani ekonomiści mówią też, że pozostając poza strefą euro, Polska nie ma żadnego wpływu na europejski pieniądź. To prawda, ale za to ma wpływ na własną walutę i własną gospodarkę. Jednak dla leminga to żadna wartość.

Wyznawca Tuska często bywa na wakacjach w Grecji, ale nie widzi tam niczego poza plażą i hotelowym basenem. Bo gdyby cokolwiek widział i umiał łączyć kropki, to szybko by się dowiedziałby, że Grecja jest przykładem kraju, dla którego przyjęcie euro skończyło się gospodarczą katastrofą. Ale przecież to niemożliwe – słońce tam świeci, ludzie są opaleni, morze jest ciepłe. Jaka znowu katastrofa?

Gdy Tusk z Petru wprowadzą w Polsce euro, też będzie u nas słońce, a Bałtyk się ociepli. Już dziś przyroda oddycha z ulgą. Wystarczyło odsunąć PiS od władzy i od razu z Odry wyparowała rćć wlna tam przez Kaczyńskiego.

Dziś ryby elegancko zdychają z powodu rozkwitu alg. Znowu jest tak samo jak w całej Europie. To także jest cud Tuska. Każdy leming wam to powie.

Po przyjęciu euro będzie też bezpieczniej. Tak jak w krajach bałtyckich, które przyjęły euro i dzięki temu dzisiaj nie muszą obawiać się rosyjskiej inwazji. Bo Putin bardzo się boi siły euro.

Cud drugi: ceny

Nie da się ukryć, że od chwili objęcia władzy przez Tuska życie z dnia na dzień stało się łatwiejsze. W ostatniej chwili premierowi udało się powstrzymać szalony wzrost cen chleba, który – gdyby dalej rządził PiS – kosztowałby już 30 zł. Benzyna nie kosztuje wprawdzie 5,19 zł za 1 l, ale przecież premier wyjaśnił, że rząd nie ma wpływu na ceny towarów.

Logika leminga (czy raczej jej brak) polega na tym, że nie widzi on sprzeczności w dwóch powyższych zdaniach. Bo z jednej strony wierzy, że premier powstrzymał wzrost cen chleba, ale z drugiej – uważa, że nie może on korygować cen na rynku. Nic więc dziwnego, że wyznawca Tuska jest uśmiechnięty i szczęśliwy. Brak rozumu oznacza zwykle brak zmartwień.

Pełne radości lemingi wybrały się na majówkę. Była to pierwsza od wielu lat prawdziwie wolna i demokratyczna majówka nad polskim morzem. Nie było rozwrzeszczanej tłuszczy popijającej wódkę za parawanem, więc na plaży można było spokojnie uprawiać jogę i napawać się swobodą. Jak donosiła 5 maja „Gazeta Wyborcza”, na Półwyspie Helskim królowały tłumy na rowerach i nikt nie mówił o paragonach grozy. „Ceny są zbliżone do tego, co w ostatnich latach. Nie narzekamy” – mówi Damian. Razem z Anią przyjechali z Małopolski. Wszystko im się podoba. „Ale może na coś jednak ponarzekacie?” – dopytuje. „Nie ma na co” – odpowiadają. Takich szczęśliwych osób jest w tym roku na półwyspie więcej” – czytamy w „Wyborczej”.

A jeszcze rok temu (23 sierpnia 2023 r.) ta sama „Wyborcza” pisała inaczej. Dzielni korespondenci z Czerskiej wybrali się wtedy na ponurą wyprawę do Krynicy Morskiej. Jeden z tamtejszych restauratorów wyjawiał im smutną prawdę: „Ludzie składają najczęściej takie zamówienie

– poproszę butelkę wody mineralnej i cztery słomki, a tę zapiekanekę proszę podzielić na cztery. Ciemność, widzę ciemność. I to na lata. To, co się dzieje, to dopiero pierwszy objaw tego, czego można się spodziewać po rządach nierządnych dyktatorów, miernot, nieudaczników i złodziei”.

Powrót Tuska odmienił wszystko. Koszmar głodu na wakacjach ulotnił się. W br. każdego stać na wodę i zapiekanekę. A i restauratorzy są zadowoleni, bo przecież nie musieli obniżać cen. Po prostu teraz, w nowej, demokratycznej rzeczywistości, nikomu one nie przeszkadzają. Gdyby tylko jeszcze były liczone w euro. Ale to dopiero przyszłość.

Nikomu nie powinny też przeszkadzać ceny energii. Muszą być przecież wyższe, bo planeta płonie. Ostatnio w ciągu zaledwie jednej doby spaliło się kilka miejsc. Leming nie chce oczywiście płacić więcej za prąd, wodę i ścieki, ale rozumie, że nie jest to wina obecnego premiera. Rząd PiS obiecał przecież elektrownię atomową, ale przez osiem lat jej nie zbudował (tego, że obecny rząd potrzebuje na jej budowę kolejnych 11 lat, leming w ogóle nie dostrzega). Zupełnie też niepotrzebnie pisowcy mrozili ceny energii, bo z tego powodu ludzie odczuwają teraz szok cenowy. Nowy rząd nie popełni takich błędów i żadnego mrożenia cen nie będzie. Po prostu nauczymy się oszczędzać, zwłaszcza ta roszczeniowa hołota, której się wydawało, że będzie wiecznie utrzymywana z cudzych podatków.

Gdy pisowski reżim dogadzał zapijanej patologii, zamożni, przedsiębiorczy ludzie – prawdziwa sól tej ziemi – byli okradani przez państwo pod pozorem walki z mafią VAT-owską. Dlatego teraz trzeba im wszystko zwrócić. Najlepiej z odsetkami. Na tym polega uśmiechnięta praworządność. Oczywiście leming sam nie jest bardzo bogaty, ale chce za takiego uchodzić, zwłaszcza w rodzinie i wśród znajomych, więc czuje się solidarny z tymi, którzy mają grube miliony na koncie. „Jestem jednym z nich” – daje do zrozumienia, spoglądając z pogardą na biedotę.

Jeżeli już trzeba do czegoś dopłacać z budżetu, to wyłącznie do nowych tech-

nologii, np. niemieckich aut elektrycznych i wiatraków Siemens. To przecież zwróci się przyszłym pokoleniom i wzmocni Europę. A jej dobro jest dla każdego leminga wartością nadrzędną.

Cud trzeci: imigranci

Dla dobra Europy bronimy też wschodniej granicy przed napływem imigrantów. Dzisiejszy rząd w odróżnieniu od poprzedniego robi to w pełni legalnie i z demokratycznym mandatem w ręku. Poza tym za rządów PiS naszą granicę szturmowali – według Tuska – wyłącznie „biedni ludzie, którzy szukali swojego miejsca na ziemi”, a dziś są to „zorganizowane grupy młodych mężczyzn, 18–30 lat, bardzo agresywnych”.

Wystarczyło odsunąć PiS od władzy i od razu z Odry wyparowała rtęć wlana tam przez Kaczyńskiego. Dziś ryby elegancko zdychają z powodu rozkwitu alg

Dlatego leming, który przed październikowymi wyborami ustawiał się w kolejce do kina na projekcję „Zielonej Granicy” Agnieszki Holland, nie odczuwa dziś żadnego dysonansu poznawczego. Po prostu pisowski reżim walczył na granicy z próbującymi ją przekroczyć zagubionymi kobietami z dziećmi, podczas gdy obecny demokratyczny rząd musi zmagać się z agresywnymi, uzbrojonymi dżihadystami nasłanymi przez Łukaszenkę. Chyba każdy potrafi dostrzec różnicę między obydwoma sytuacjami, prawda?

Ogólnie dopóki rządzi Tusk, nic nam nie zagraża. Niedawno premier powiedział przecież, że „nie ma limitów, jeśli chodzi o bezpieczeństwo Polski”. Dlatego każdą złotówkę trzeba wydawać odpowiedzialnie. Nie będzie nieprzemyślanych zakupów uzbrojenia,

którymi mamił oczy ludziom pisowski reżim. W obliczu rosyjskiego zagrożenia trzeba się trzymać razem z Europą. Schronić się pod wspólną tarczą rakiętową i kupować broń wyłącznie u sprawdzonych przyjaciół, np. Niemców.

Trzeba też walczyć z rosyjską agenturą w PiS, którą ujawnił Tomasz Piątek. To dlatego leming stał się gorącym zwolennikiem powołania komisji ds. badania wpływów rosyjskich, którą jeszcze pół roku temu była dla niego pisowskim sądem kapturowym. Jednym z kluczowych przejawów działania rosyjskiej agentury jest budowa CPK. Każdy leming wie, że to osłabianie Polski i marnotrawstwo publicznych pieniędzy, które mogłyby przecież pójść na coś bardziej pożytecznego. Np. na pakt migracyjny – warto mieć w zanadrzu pieniądze za nieprzyjmowanie imigrantów z Azji i Afryki, bo za każdego z nich trzeba będzie zapłacić 20 tys. euro.

Wyznawcy Tuska powątpiewają jednak, że do tego dojdzie. „Nie będziemy za nic płacić. Nie będziemy musieli przyjmować żadnych imigrantów z innych kierunków. Unia Europejska nie narzuci nam żadnych kwot migrantów” – zapewnił premier po przyjęciu paktu migracyjnego. A skoro tak, to nie trzeba się niczym przejmować. Tusk jest przecież królem Europy, przekona, kogo trzeba i sprawi, że Unia zaliczy nam na poczet imigrantów wszystkich uchodźców z Ukrainy. A jeśli nawet przyjdzie nam przyjąć kilkadziesiąt tysięcy osób z Afryki, to cóż to za liczba? Pośle się ich gdzieś na prowincję, a jeżeli wjadą do miasta, to przecież nie sforsują zamkniętych osiedli. Poza tym PiS wpuszczałby znacznie więcej imigrantów i jeszcze przy tym zarobił – afera wizowa nie wzięła się przecież znikąd. Jedyne cud Tuska sprawił, że imigranci nie zalali całej Polski.

Leming znajdzie odpowiedź na wszystko, każdego dnia podsuwają mu ją przecież jego medialni kapłani. Sam nie posiada żadnej wiedzy, która pozwoliłaby mu zweryfikować fakty. Zresztą za tą wiedzą wcale nie tęskni, bo gdyby rozumiał świat, to nagle przestałby się uśmiechać. I uśmiechniętą Polskę trafiłby szlag. A do tego Tusk nie może dopuścić.

Więcej oświaty w polityce!

To jest taki moment, że planowanym zmianom w edukacji rodzice znów głośno powinni powiedzieć: „Nie!”. Obawiam się jednak, że w tej sytuacji nie jest możliwe, by ich zdecydowana większość zaprotestowała. Z różnych powodów. Choćby dlatego, że rodzice oceniają zachodzące zmiany z punktu widzenia swoich przekonań i sympatii politycznych, a nie troski o przyszłość swoich dzieci

Z Wojciechem Starzyńskim, prezesem zarządu Fundacji „Rodzice Szkole”, członkiem Narodowej Rady Rozwoju przy Prezydencie RP, rozmawia Dorota Łosiewicz

Za nami 18-lecie Fundacji „Rodzice Szkole”. Czy rodzice faktycznie są potrzebni szkole?

Wojciech Starzyński: Są bardzo potrzebni. To również oni od początku demokratycznych przemian w Polsce byli kreatorami i twórcami szkolnictwa niepublicznego. W 1987 r. powstał pomysł na przełamanie komunistycznego monopolu w oświacie. Wtedy też zrodziła się idea stworzenia stowarzyszenia mającego na celu zakładanie i prowadzenie szkół niepublicznych. 30 listopada 1987 r. zostało powołane do życia przez 23 odważnych ludzi (w większości „zwykłych rodziców”) pierwsze w Polsce powojennej niezależne stowarzyszenie edukacyjne – STO, mające na celu doprowadzenie do uspołecznienia polskiej oświaty. Batalia o oficjalne uznanie i zarejestrowanie stowarzyszenia zgodnie z obowiązującym prawem



trwała ponad rok i mimo sprzeciwu komunistycznych władz zakończyła się w grudniu 1988 r. sukcesem. Zaowocowało to założeniem w latach 1989/1990 kilkunastu szkół niepublicznych, a w okresie późniejszym ok. 150 szkół i przedszkoli na terenie całego kraju. To rodzice stali za przygotowaniem projektów rozwiązań prawnych osadzających szkolnictwo niepubliczne w polskim systemie edukacji i wprowadzeniem ich do prawa oświatowego. Przyjęte przez Sejm zapisy regulowały tryb zakładania szkół niepublicznych, zasady uzyskiwania przez nie uprawnień szkół publicznych i otrzymywania przez te szkoły dofinansowania z budżetu państwa. Doprowadzenie do powyższego trwało kilka lat i odbywało się w kilku etapach, ale zakończyło pełnym sukcesem.

A jaka była rola i działania Fundacji „Rodzice Szkole” na rzecz zapewnienia rodzicom wpływu na szkoły ich dzieci?

Nasze środowisko doprowadziło m.in. do wprowadzenia do prawa oświatowego w 2007 r. (po kilkunastoletniej batalii) zapisów wyposażających rodziców i ich reprezentantów, czyli rady rodziców, w możliwość oddziaływania na szkoły własnych dzieci. Zainicjowaliśmy również kilkakrotną nowelizację prawa oświatowego (w latach 2015–2019), poszerzającą uprawnienia rad rodziców. Obowiązujące rozwiązania nadal nie do końca odpowiadają propozycjom Fundacji „Rodzice Szkole”, ale zdecydowanie przybliżają do określonego celu. Mamy na swoim koncie kilkadziesiąt konferencji, szkoleń i seminariów o zasięgu lokalnym, regionalnym i ogólnokrajowym, wyposażających rodziców (również zainteresowanych tą tematyką dyrektorów szkół, nauczycieli i pracowników administracji oświatowej) w szeroką wiedzę prawną dotyczącą miejsca i roli rodziców w polskim systemie oświaty oraz umiejętności zastosowania tej wiedzy w praktyce. W latach 2006–2024 udzieliliśmy kilkunastu tysięcy porad (drogą telefoniczną i pisemną) rodzicom i radom rodziców w sprawach dotyczących ich praw i obowiązków na te-

renie szkoły. Opracowaliśmy poradnik Rodzice Partnerzy i Sprzymierzeńcy, będący kompendium wiedzy dotyczącej działalności rad rodziców. Jest on na bieżąco nowelizowany (uwzględniając zmiany w prawie oświatowym). Jest także dostępny w formie elektronicznej.

Środowiska rodziców miały też moc przeciwstawienia się niektórym zmianom w systemie edukacji.

Tak, bo to rodzice zorganizowali sze-roką kampanię sprzeciwiającą się obli-gatoryjnemu wprowadzeniu do prawa

Ja też uważam, że pomysł europejskiego obszaru edukacyjnego to szaleństwo. Jeśli ktoś zdecyduje się to przeprowadzić, będzie to oznaczało początek końca Unii Europejskiej

oświatowego obowiązku szkolnego od sześciu lat. Sprzeciwili się także wprowadzeniu do ustawy o systemie informacji oświatowej zapisów umożliwiających gromadzenie przez szkoły i system oświaty danych wrażliwych swoich dzieci. Sprzeciwili się „wykorzystywaniu” bez zgody rodziców niepełnoletnich dzieci jako świadków w postępowaniach dyscyplinarnych dotyczących nauczycieli.

Czy środowiska rodziców znajdują siłę, by sprzeciwić się reformom edukacji wprowadzanym przez obecną ekipę rządzącą?

To jest taki moment, że rodzice znów głośno powinni powiedzieć: „Nie”. Obawiam się jednak, że w tej sytuacji nie jest możliwe, by ich zdecydowana większość zaprotestowała. Z różnych powodów. Choćby dlatego, że rodzice oceniają zachodzące zmiany z punktu widzenia swoich przekonań i sympatii politycznych, a nie troski o przyszłość

swoich dzieci. Zresztą różnie widzą tę przyszłość. Jednak moment, w którym się znajdujemy, to duża szansa na zbudowanie przestrzeni bardzo realnej współpracy między rodzicami a nauczycielami. W wielu szkołach są nauczyciele, którym nie podoba się ta proponowana przez Barbarę Nowacką reforma i są jej przeciwni. W wielu miejscach są rodzice, którym ona też się nie podoba. Jedna i druga strona zdaje sobie sprawę, że własnymi siłami tego nie wygra. To stwarza szanse i nadzieję na współpracę. Rozmawiałem nawet na ten temat z przewodniczącym oświatowej Solidarności Waldemarem Jakubowskim, który stwierdził, że dzisiejsza trudna sytuacja stwarza szansę na bardziej trwałe i bliskie sojusze czy współpracę między rodzicami i nauczycielami. Mimo szaleństw obecnej ekipy z MEN, da się je częściowo ograniczyć na poziomie lokalnym: w szkołach, gminach. Trzeba do tego dobrej woli i aktywności samorządowców, rodziców i nauczycieli. Wbrew pozorom ta sytuacja stwarza szansę na współpracę wszystkich stron. Jednak trudno mi sobie teraz wyobrazić tak masowy i szeroki sprzeciw rodziców, jak to miało miejsce w przypadku sześciolatków.

Jakie pan widzi przyszłe skutki dzisiejszych reform? Mam na myśli ograniczenie prac domowych, redukcję podstaw programowych czy cięcia w liście lektur?

Ta reforma prowadzi do tego, że młodzi będzie znacznie gorzej wykształceni. To jest etap w drodze do tego, by doprowadzić do unifikacji edukacji na poziomie europejskim. Takie są przecież zakusy. Nie chodzi tylko o podporządkowanie niektórych dziedzin życia brukselskim urzędnikom, lecz także o podporządkowanie im edukacji. Unifikacja edukacji w całej Europie grozi nam wykorzeniem z polskiej tradycji, historii, kultury. Przy okazji toczącej się dyskusji wróciłem do przedmiotu i podrecznika „Historia i teraźniejszość” prof. Wojciecha Roszkowskiego, przejrzałem obie jego części i po raz kolejny uświadomiło mi to, jak nikłą wiedzę mam w sprawie tego, co

się działo na świecie w okresie powojennym nie tylko w Polsce i w bloku komunistycznym. Mam na myśli m.in. Chinę, Kambodżę, Wietnam, Afrykę itd. A skoro ta wiedza umyka osobom (że tak nieskromnie powiem) wszechstronnie wykształconym, to co dopiero mówić o młodych ludziach. Ta wiedza jest im niezbędna. W przeciwnym razie nie będą rozumieli, w jakim świecie żyją, a co za tym idzie, będą łatwym celem wszelkich manipulacji. A o to chodzi w tej reformie. Żeby łatwiej manipulować społeczeństwem.

Europejski obszar edukacyjny wydaje się zupełnym szaleństwem. Ten pomysł jest według pana możliwy do przeprowadzenia?

Ja też uważam, że to szaleństwo, ale taki plan jest. Nie wyobrażam sobie, jak miałyby to być przeprowadzone, bo to oznacza unikanie pewnych wątków związanych z dziejami Europy, a to oznaczałoby całkowite zafalszowanie tej historii. Jeśli ktoś zdecyduje się to przeprowadzić, będzie to oznaczało początek końca Unii Europejskiej. Forsowanie tak szalonych pomysłów doprowadzi do jej rozpadu, czego ani Polsce, ani Europie nie życzę. Część polityków najwyraźniej nie rozumie, że takiego sztucznego tworu nie da się zbudować, bo on jest sprzeczny z logiką funkcjonowania społeczeństw i ludzką naturą, a projekt próbuje się realizować dla doraźnych zysków politycznych. Oby ktoś to powstrzymał, póki jest jeszcze na to czas. Już teraz z podstawy programowej ma zniknąć nazwisko Eugeniusza Kwiatkowskiego, Centralny Okręg Przemysłowy i rozbudowa Gdyni. I nagle się okazuje, że w dwudziestolecie międzywojennym było samo zło, nic dobrego się nie wydarzyło, a miejsce miał tylko wyzysk robotników przez burżuazję i chłopów przez ziemian

przemilczane. Zyskiwaliśmy tę wiedzę w rodzinnych domach, ale często także po kryjomu przekazywali ją nauczyciele. Dziś raczej nie można na to liczyć, więc zagrożenie utraty tożsamości narodowej jest olbrzymie, a to już pierwszy krok do likwidacji Polski i polskości.

Często słyszymy od pań minister odpowiedzialnych za edukację, że lektury są nudne, więc trzeba je ograniczyć, żeby nie zniechęcały do czytania i zastąpić literaturą współczesną. Słuszna to droga?

Być może można dyskutować nad pewnymi zmianami, być może niektóre lektury są już trudne do zrozumienia dla dzisiejszej młodzieży. Pewnie jest też współczesna literatura, która jest czytana chętniej. Kiedyś jeden ze znanych mi nauczycieli zapytał uczniów, kto czy-

Już teraz z podstawy programowej ma zniknąć nazwisko Eugeniusza Kwiatkowskiego, Centralny Okręg Przemysłowy i rozbudowa Gdyni. I nagle się okazuje, że w 20-lecie międzywojennym było samo zło, nic dobrego się nie wydarzyło, a miejsce miał tylko wyzysk robotników przez burżuazję i chłopów przez ziemian

tał Trylogię i cała klasa podniosła rękę. Potem okazało się, że czytali Tolkiena, a nie Sienkiewicza. To są fakty i pewnie trzeba im wyjść naprzeciw. Możliwe, że lista lektur powinna podlegać pewnym modyfikacjom. Problem polega na tym, że pomysły pań minister dotyczące lektur są ostro krytykowane przez większość nauczycieli języka polskiego. Warto więc wziąć pod uwagę ich opi-

nie. Zmiana podstaw programowych będzie także prowadziła do znacznego obniżenia poziomu nauczania fizyki i matematyki. To jest kolejna pułapka i zagrożenie.

Często słyszymy, że oświata powinna być apolityczna. To możliwe?

To jedno z najbezsensowniejszych twierdzeń w polskim życiu publicznym. Oświata w każdym ustroju zawsze była, jest i będzie jednym z najważniejszych wyzwań politycznych. Cieszę się, że jedną z nielicznych grup społecznych, która to rozumiała, byli i nadal są rodzice. Dzięki temu potrafili oni nie tylko zgłaszać piękne idee, lecz także przygotowywać konkretne propozycje rozwiązań prawnych, lobbować w świecie polityki na rzecz ich wprowadzenia do polskiego prawa i osiągać w tych działaniach sukcesy. Proponuję więc zastąpienie często propagowanego hasła: „Mniej polityki w oświacie” hasłem: „Więcej oświaty w polityce”. Jestem przekonany, że taka filozofia znacznie lepiej będzie służyła Polsce i polskiemu systemowi edukacji. Przed pięcioma wiekami kanclerz Zamoyski powiedział: „Takie będą Rzeczypospolite, jakie ich młodzieży chowanie”. Ja uważam, że taka będzie polska oświata, jaka współpraca wszystkich uczestników życia szkolnego (uczniów, nauczycieli, rodziców, polityków i pracowników administracji).

Na zakończenie chciałbym powiedzieć, że w związku z zaczynającą się w styczniu przyszłego roku polską prezydenturą w Unii Europejskiej tematykę ujednolicenia wszystkich państwowych systemów oświaty będziemy próbowali wprowadzić do debaty publicznej na gruncie Parlamentu Europejskiego. Tą sprawą bardzo interesuje się pan prezydent Andrzej Duda. Na jego prośbę Narodowa Rada Rozwoju ds. Rodziny, Edukacji i Wychowania przygotowuje propozycje rozwiązań mających zapobiec procesowi, który nie tylko polską, lecz także całą europejską oświatę doprowadzi na manowce i utrudni młodemu pokoleniu konkurowanie na światowych rynkach pracy.

10/04 – element światowej wojny Putina

Fińska dziennikarka opowiada światu, w jaki sposób Kreml niemilitarnymi sposobami atakuje państwa zachodnie. Jako najbardziej jaskrawy dowód takich działań wskazuje katastrofę smoleńską. Jessikka Aro walczy o to, by międzynarodowa opinia publiczna otworzyła oczy i przestała być manipulowana przez rosyjską propagandę. Sama przeszła przez ten trudny proces, do czego publicznie się przyznaje



MAREK PYZA

W książce „Światowa wojna Putina. Tajne operacje Rosji mające na celu zniszczenie Zachodu” Jessikka Aro najwięcej miejsca poświęca katastrofie smoleńskiej.

Wiele lat przyglądała się tej sprawie, studiowała niezliczone materiały – oficjalne raporty, wypowiedzi, publikacje prasowe, rozmawiała z wieloma osobami zajmującymi się tragedią z 10 kwietnia. Miałem zaszczyt gościć w Helsinkach na zaproszenie największego fińskiego wydawnictwa WSOY, uczestniczyć w spotkaniach promocyjnych książki i wygłosić przemówienie o katastrofie z perspektywy 14 lat.

Opowiadałem więc m.in. o „biznesowym” tle naszej narodowej tragedii, czyli polsko-rosyjskich rządowych rozmowach gospodarczych i podpisaniu umowy gazo-

wej, gdy „nieprzeszkadzał” już w tym Lech Kaczyński. O chorej chęci polskiego premiera i szefa MSZ udowodnienia światu, że Rosję da się „ucywilizować”. O pełnej gotowości rosyjskich służb 10 kwietnia. O fałszywych wrzutkach ruskiej propagandy odnośnie do rzekomych czterech podejść do lądowania i nieznajomości przez polską załogę języka rosyjskiego. O narzuceniu przez Rosję badania tragedii według nieadekwatnej w tym przypadku – bo dotyczącej cywilnych, a nie wojskowych samolotów – konwencji chicagowskiej. O złamaniu procedur przez rosyjskich kontrolerów, fałszywym naprowadzaniu przez nich polskiej maszyny i późniejszym uniemożliwieniu przez rosyjskie władze postawienia im zarzutów. O upokorzeniu naszych prokuratorów w Smoleńsku w 2018 r. i uniemożliwieniu przesłuchania świadków (jak tłumaczyli Rosjanie, spośród pięciu wskazanych przez polską stronę dwóch zmieniło miejsce zamieszkania i nie było już z nimi kontaktu, kolejnych dwóch już nie żyło, a piąty uległ wypadkowi i... stracił pamięć). Wreszcie o odna-

lezeniu na wraku tupolewa śladów materiałów wybuchowych, spacyfikowaniu redakcji, która to ujawniła, i późniejszych manipulacjach wojskowej prokuratury oraz Centralnego Laboratorium Kryminalistycznego Policji.

„W 2010 r., gdy samolot prezydenta zbliżał się do lotniska w Smoleńsku, rozbił się. Wszyscy na pokładzie zginęli. Kreml był na to przygotowany. Ówczesny rosyjski premier Władimir Putin przejął tzw. śledztwo, a jego ówczesny polski odpowiednik wraz ze swoim rządem poszli jego śladami. Kreml zamienił media w broń. Rozpoczął wielowymiarową międzynarodową kampanię prania mózgu, by przekonać opinię publiczną, że przyczyna katastrofy leżała po polskiej stronie – piloci rzekomo wykonywali rozkazy dowódcy Sił Powietrznych, który według sfalszowanego rosyjskiego śledztwa miał być pod wpływem alkoholu. Jak suflowała kremłowska narracja, rozprzestrzeniona przez zachodnie media, to Lech Kaczyński miał ostatecznie doprowadzić do tragedii, naciskając na załogę, by lądowała przy złej



Fińska dziennikarka Jessikka Aro w książce „Światowa wojna Putina. Tajne operacje Rosji mające na celu zniszczenie Zachodu” najwięcej miejsca poświęca katastrofie smoleńskiej

pogodzie. Te kłamstwa oraz niekończący się ciąg innych fake newsów wciąż jest mocno zakorzeniony w świadomości międzynarodowych odbiorców” – mówiła w Helsinkach Jessikka Aro. Wskazywała, że rosyjskie kłamstwa na temat okoliczności katastrofy znajdziemy zarówno w Wikipedii, jak i poświęconym tej tragedii odcinku popularnej serii National Geographic „Katastrofy w przestworzach”.

Przyznała też, że latami sama wierzyła w tę dezinformację.

„Gdy doszło do katastrofy, zajmowałam się tematyką międzynarodową w największej fińskiej gazecie. Byłam przekonana, że jestem dobrze poinformowana. Ale siedem lat później zaczęłam bliżej przyglądać się tej sprawie. Odkryłam, że niezależnego i uczciwego śledztwa nigdy nie przeprowadzono, choć dowody wskazywały na wszechobecne odciski palców kremlowskich służb. Okazało się również, że niezależni polscy dziennikarze i badacze, którzy wskazywali na związki Kremla z katastrofą, byli zwalniani z pracy i wyzywani od zwolenników teorii spiskowych oraz propagandystów prawicowej partii PiS. [...] Naprawdę potrzebowałam terapii po tym, jak zobaczyłam, że polskie władze nie zaopiekowały się ani rodzinami ofiar, ani śledztwem. Byłam zszokowana, że ani społeczność Unii Europejskiej, ani NATO nie chciały zrozumieć, kto zabił przywódcę jednego z ich państw członkowskich.”

Aro dodała, że do dziś ma wątpliwości, czy zachodnia architektura bezpieczeństwa jest przygotowana do obrony swoich obywateli przed terrorystycznymi atakami z Kremla.

Mateusz Kochanowski, syn śp. Janusza Kochanowskiego, w niezwykle wzruszających słowach wspominał swojego ojca: „Był dla mnie postacią o wyjątkowym autorytecie i imponującej mądrości. Kochałem go, szanowałem i podziwiałem. Do dziś rzadko się zdarza, żeby ktoś zrobił na mnie tak duże wrażenie jak on. Polska potrzebowała takich ludzi”.

Wskazał, że w tamtym czasie państwa Zachodu prowadziły politykę resetu z Rosją, a przodował w niej polski rząd Platformy Obywatelskiej, zaś prezydent Lech Kaczyński był tym, który wielokrotnie ostrzegał przed Moskwą i jej imperialnymi ambicjami, za co często był atakowany.

„Warto sobie uświadomić, kim byli pasażerowie samolotu 10 kwietnia, jaką Polskę reprezentowali. Uosabiali ideę silnej i niezależnej Polski w przeciwieństwie do sił politycznych chcących bliższych relacji z Niemcami i resetu z Rosją. Ludzie Platformy Obywatelskiej reprezentowali inną mentalność, jeśli chodzi o politykę zagraniczną. Można tu wskazać na obecnego ministra kultury, który powiedział w wywiadzie – tu cytat – »Polska zawsze będzie krajem peryferyjnym. W naszym interesie jest rezygnacja ze snów o podmiotowości. Tylko wówczas w spokoju bę-

dziemy mogli korzystać z dobrodziejstw naszego peryferyjnego położenia. Jesteśmy wewnętrzną gospodarką Niemiec, wywijanie szabelką to samobójstwo«. Takiego sposobu myślenia nigdy nie podzielali ci, którzy zginęli w Smoleńsku.”

Kochanowski przypomniał, że w Rosji na porządku dziennym są polityczne morderstwa – Anny Politkowskiej, Aleksandra Litwinienki, Borisa Niemcowa czy Siergieja Magnickiego. A jej władze uciekały się nawet do ataków terrorystycznych na własnych obywateli, by mieć pretekst do inwazji na Czeczenię. „Śmiało możemy stwierdzić, że Rosja jest państwem terrorystycznym. Czy jest zatem absurdem myśleć o katastrofie w Smoleńsku nie jak o zwykłym wypadku, lecz zaplanowanym działaniu?” – pytał retorycznie.

Grzegorz Januszko, ojciec najmłodszej ofiary katastrofy, Natalii Januszko, opowiadał, jak poniewierane przez polskie władze przed 2015 r. i jej akolitów były rodziny ofiar katastrofy, jak beczeszczono ciała ofiar. Zwrócił uwagę zebranych na skandaliczne wydarzenia w Moskwie przy procesie identyfikacji ciał i kłamstwa kierowane do rodzin przez ówczesną polską minister zdrowia Ewę Kopacz.

„Kłamała, jakoby sekcje zwłok były prowadzone »ramię w ramię« przez rosyjskich i polskich medyków. Na spotkaniu z rodzinami, które przyleciały do Moskwy, już w niedzielny wieczór twierdziła, że wszystkie badania DNA zostały przeprowadzone.

To fizycznie niemożliwe, co potwierdzi każdy student pierwszego roku medycyny. [...] Rodziny zostały poddane »terapii szokowej«. W czasie procesu identyfikacji osobiste rozpoznawanie przez bliskich jest ostatnim etapem – po badaniu odcisków palców, DNA, dentystrycznym, oględzinach znaków szczególnych, takich jak blizny czy tatuaże. [...] Uczuliła nas też, byśmy »przyglądali się uważnie, bo nie będzie drugiej okazji, gdyż trumny nie będą ponownie otwierane«.

Ojciec Natalii Januszko opowiadał o uruchomionej przez rząd kampanii mającej na celu obrócenie opinii publicznej przeciwko rodzinom, m.in. suflując dziennikarzom, jakie odszkodowania otrzymają bliscy zmarłych. »Intencją tych działań było, jak sądzę, pokazanie rodzin jako chciwych, a nie wdzięcznych» – konstatował. Wspominał o spotkaniu z Donaldem Tuskiem, na które premier przyprowadził nawet księdza, zapewniającego zrozpaczonych ludzi, że ich bliscy zostali złożeni do trumien z pełnym szacunkiem, że ich szczątki umyto i mogą spać spokojnie. Dopiero po latach okazało się, jakim kłamstwem były te słowa – wiele ofiar zostało bowiem umieszczonych w niewłaściwych trumnach. Ciała były brudne, ubłocone, a w workach odnajdywano śmieci, gałęzie, szmaty z rosyjskiego prosektorium, a nawet niedopałki papierosów.

Grzegorz Januszko opowiedział zebranym o makabrycznych odkryciach w wyniku zarządzonej przez Prokuraturę Krajową w 2017 r. ekshumacji: »W jednym z grobów znajdowały się dwie głowy i cztery miednice. W grobie naszej córki znajdowały się szczątki sześciu innych ofiar. Szczątki 69 ofiar zostały błędnie złożone do 26 grobów. [...] Do trumny naszej córki wrzucano trzy pary butów».

Jak stwierdził, po 14 latach wciąż wielu nie wyciągnęło wniosków: »Jest wiele znanych cytatów na temat historii, która lubi się powtarzać. Ten, który zapamiętałem najlepiej, brzmi: »Jeśli historia się powtarza, za każdym razem placimy za to wyższą cenę«. Ta tragedia stanowi ostrzeżenie dla wszystkich ludzi i krajów stawiających opór Rosji, które nie chcą stać się kolejną cegłą w murze Kremla [»Another brick in the Kremlin wall«].»

Po spotkaniach promocyjnych usłyszałem wiele entuzjastycznych słów z ust fińskich dziennikarzy, przedstawicieli organizacji pozarządowych czy rezydujących w Finlandii wysokich rangą dyplomatów państw trzecich.

Finowie otwierają oczy w sprawie tragedii z 2010 r. i wiele wskazuje, że to z ich kraju pójdzie impuls, który przełamie fałszywe postrzeganie katastrofy smoleńskiej w oczach międzynarodowej opinii publicznej. Większość liczących się fińskich mediów obszernie zrelacjonowała spotkania promocyjne książki, która już stała się tam hitem wydawniczym. Choć

Naprawdę potrzebowałam terapii po tym, jak zobaczyłam, że polskie władze nie zaopiekowały się ani rodzinami ofiar, ani śledztwem. Byłam zszokowana, że ani społeczność Unii Europejskiej, ani NATO nie chciały zrozumieć, kto zabił przywódcę jednego z ich państw członkowskich – mówi o katastrofie smoleńskiej fińska dziennikarka

– co było do przewidzenia – już uruchomiono operację postępującą publikację, w którą angażują się pracownicy »Gazety Wyborczej« czy polskiego »Newsweeka».

Książka ukaże się co najmniej w pięciu krajach – poza ojczyzną Aro będą to Szwecja, Czechy, Węgry i Niemcy. Trwają rozmowy z wydawcami w kolejnych państwach, m.in. w Wielkiej Brytanii i Polsce.

»Światowa wojna Putina« to jednak nie tylko Smoleńsk. W kolejnych rozdziałach Aro opisuje też inne rosyjskie operacje wymierzone w państwa Zachodu – działalność niemieckiej redakcji należącej do Rosjan agencji Ruptly, farmę trolli w Ghanie próbującą poprzez media społecznościowe grać na rasowe podziały w USA,

wykorzystywanie protestów społecznych do destabilizowania sytuacji w różnych krajach, hybrydowe ataki na Estonię czy działalność patriarchy Cyryla.

Nie powinno być dla nas zaskoczeniem, że Jessikka Aro już bywa nazywana propagandystką PiS, choć kategorycznie odcina się od polskiej polityki i nie ma z nią jakichkolwiek związków.

Co więcej, w wielu obszarach, zwłaszcza światopoglądowych, uznalibyśmy ją za osobę o sympatiach lewicowych. Cieszyła się ze zwycięstwa Joe Bidena w wyborach prezydenckich w USA, a Donalda Trumpa uważa za zagrożenie dla demokracji.

W 2019 r. miała otrzymać Międzynarodową Nagrodę dla Kobiet Niezwykłej Odwagi, przyznaną przez amerykański Departament Stanu. Została zaproszona do Waszyngtonu na ceremonię, lecz amerykański rząd w ostatniej chwili zrezygnował z jej uhonorowania, gdy okazało się, że w mediach społecznościowych krytykowała Trumpa.

Po swojej pierwszej książce – która ukazała się w 15 językach, a w samej Finlandii sprzedała się w 40 tys. egzemplarzy (pamiętajmy, że to sześćoipółmilionowy kraj) i była wielokrotnie nagradzana – padła ofiarą kampanii nienawiści, zwłaszcza w mediach społecznościowych i wysłanymi z palca oskarżeniami, m.in. o handel narkotykami. Grożono jej również śmiercią. Mimo że wygrywała procesy o prześladowania, z powodu realnego zagrożenia wyprowadziła się nawet na dwa lata ze swojej ojczyzny. To cena, którą

zapłaciła za bezprecedensowe śledztwo obnażające dezinformacyjną maszynę Kremla. Ale nie zatrzymało jej to.

Dziś znów mieszka w Finlandii. Nie wróciła do zawodu, ale podjęła się napisania kolejnej książki odsłaniającej rosyjską hybrydową maszynę wojenną.

W rozmowie z telewizją w Polsce.pl przyznała, że liczy się z tym, iż teraz spotka ją jeszcze większy hejt: »Myślę, że będzie to już część mojej rzeczywistości i nigdy nie wrócę do miejsca, w którym byłam przed napisaniem tej książki. Jednak opowiedzenie prawdy o tej sprawie jest o wiele ważniejsze od tego, że ktoś mnie będzie wyzywał. [...] Akceptuję wszystkie tego konsekwencje. Nawet te najgorsze».

Poraniona Słowacja

Po upadku komunizmu nigdzie w Europie Środkowej nie doszło do zamachu na urzędującego premiera. Do ubiegłego tygodnia, gdy cztery kule przeszły ciało Roberta Ficy



GRZEGORZ GÓRNY

15 maja Słowacją wstrząsnęła wiadomość o zamachu na premiera Roberta Ficę. Ciężko ranny przeszedł w szpitalu skomplikowaną operację, która uratowała mu życie. Publicyści i politycy za naszą południową granicą powtarzają, że próba zabicia szefa rządu to wynik atmosfery społecznej panującej w kraju. Na ogromną skalę rozhuśtano bowiem negatywne emocje, nad którymi nikt nie jest w stanie zapanować.

ZABÓJSTWO W BRATYSŁAWIE

Premier Słowacji mógł zostać zamordowany już 12 października 2022 r. Celem zamachowcy był ówczesny szef rządu Eduard Heger. Zabójca chciał go zastrzelić na jednej ze stołecznych ulic, jednak nieświadomy zagrożenia polityk zdążył odjechać samochodem. Wcześniej zamachowiec zrobił sobie pamiątkowe zdjęcie przed mieszkaniem premiera. Nie mogąc dopaść Hegera, 19-lletni Juraj Krajčík skierował się w stronę gejowskiego baru Tepláreň przy ul. Zámockej, gdzie strzelami z pistoletu zabił dwóch klientów (członków społeczności LGBT+) i ranił w nogę kelnerkę. Sprawca zbiegł z miejsca zbrodni, by popęlić później samobójstwo.

W polskiej Wikipedii pod hasłem „Strzelanina w Bratysławie (2022)” można przeczytać: „Zbrodnia była motywowana nienawiścią wobec osób ze



Choć Fico deklaruje się jako człowiek lewicy, świetnie znajduje wspólny język z premierem Węgier. Obaj są powszechnie zaliczani do najbardziej prorosyjskich przywódców w Unii Europejskiej

społeczności LGBT, ponadto odkryto, że sprawca planował także dokonać wcześniej zamachów na ważnych słowackich polityków kojarzonych z lewicą”. To nie do końca odpowiada prawdzie, ponieważ premier Heger należał do konserwatywnej partii OĽANO, a na dodatek był znany ze swej działalności w Odnowie w Duchu Świętym. Wspomnienie o katolickim polityku jako niedosłej ofierze prawicowego zamachowca burzy jednak narrację o tym, że

morderca szukał celów dla swych ataków jedynie na lewicy.

Rację miała publicystka Eva Čobejová, gdy pisała: „Fakt, że Krajčík obrał za swój pierwszy cel premiera Hegera, który nie jest ani Żydem, ani LGBTI+, nie do końca wpisuje się w tę wersję wydarzeń. [...] Jego przede wszystkim interesowali wpływowi ludzie, politycy, ale także artyści, bankierzy, dziennikarze. Paradoksalnie osoby ze społeczności LGBTI+ nie należały do najważniejszego kręgu jego zainteresowań. Ale do nich najłatwiej było dotrzeć, dlatego stali się ofiarami. [...] Ci dwaj młodzi ludzie z Zámockej stali się ofiarami człowieka zainspirowanego konspiracyjnymi, zdeprawowanymi ideologiami Zachodu, dla których prawie wszyscy jesteśmy wrogami”.

Wbrew sugestiom części komentatorów prawicowy ekstremizm Krajčíka nie miał nic wspólnego z chrześcijaństwem. Świadczy o tym upubliczniony przez



Fot. APPTVA/EFE/Est News

niego manifest ideowy, w którym jako wzór do naśladowania stawiał m.in. Adolfa Eichmanna i Andersa Breivika. Dla słowackiego radykała celem do zniszczenia był cały system świata zachodniego.

MORD POD TRNAWĄ

Zabójstwo przy ul. Zámockiej w Bratysławie nie było pierwszą zbrodnią polityczną, która wstrząsnęła krajem. Jeszcze większy szok wywołało zabicie reportera śledczego Jána Kuciaka i jego narzeczonej Martiny Kušnírovej. Egzekucji dokonał 21 lutego 2018 r. płatny morderca w prywatnym domu zamieszkiwanym przez wspomnianą parę we wsi pod Trnavą. Do tamtej pory – jak zauważa Martin Hanus, redaktor naczelny portalu postoj.sk – Słowacja była dość nudnym w porównaniu z Polską czy Węgarami środkowoeuropejskim krajem, który nie budził większego zainteresowania zagranicznych mediów, jednak „od czasu zamordowania Jána i Martiny zaczął się liczyć nowy kalendarz. Słowacja stała się niezwykle okrutna, poszczególne obozy nie toczą już między sobą konfliktów politycznych, lecz wojny nienawiści, w których stawką jest wszystko”.

Zabójstwo dziennikarza, który tropił afery korupcyjne na styku wielkiego biznesu, polityki i przestępczego pół-

W kwietniu Fico przestrzegł, że atmosfera w kraju jest tak napięta, iż może doprowadzić do zabójstwa któregoś z czołowych polityków rządu. „I nie przesadzam ani o milimetr”, dodał premier

światka wywołało masowe protesty w całym kraju. Pod wpływem wielotysięcznych demonstracji w wielu miastach 15 marca 2018 r. do dymisji zmuszony był podać się ówczesny premier Robert Fico (choć nadal przezornie pozostał na czele swej partii SMER). W oczach opinii publicznej to właśnie on ponosił główną odpowiedzialność polityczną za to, co się stało. Kuciak został bowiem zamordowany, ponieważ rzucił wyzwanie potężnym grupom interesów, które rozkwitły za rządów Ficy. Wydawało się wtedy, że kariera polityka załamała się raz na zawsze. Panowała powszechna opinia, że nigdy już nie wróci do władzy.

A jednak przedterminowe wybory parlamentarne we wrześniu 2023 r. przyniosły mu kolejne zwycięstwo. Robert Fico po raz czwarty został premie-

rem. Okazało się, że wyborcy mieli dość nieustannych konfliktów wewnątrz skłóconej koalicji centroprawicowej. Na dodatek śledztwo w sprawie zabójstwa Kuciaka i Kušnírovej udowodniło, iż lider SMER nie miał nic wspólnego z tą zbrodnią. Ostatecznie zostały skazane cztery osoby: dwójce zlecniodawców mordu (po 25 lat więzienia), płatny kiler (23 lata) oraz pośrednik między nimi (15 lat). Tropcy zawiodły śledczych także do biznesowego oligarchy Mariana Kočnera, jednak sąd dwukrotnie uniewinnił go od stawianych zarzutów. Nie oznacza to jednak, że przebywa on na wolności, gdyż odsiaduje wyrok za oszustwa finansowe.

Za poprzednich rządów służby specjalne interesowały się też samym Fico. W jego domku myśliwskim zamontowano nawet ukrytą kamerę, a materiały operacyjne z tej akcji, czyli nagrania rozmów byłego premiera z najbliższymi współpracownikami, dziwnym trafem wyciekły do mediów. Nie znalazło się tam jednak nic, co obciążałoby polityka wizerunkowo. W rezultacie stopniowo odzyskał on wiarygodność wśród dużej części elektoratu.

ZAMACH W HANDLOVEJ

Poglądy Roberta Ficy wymykają się łatwej klasyfikacji. Z jednej strony był

w przeszłości członkiem Komunistycznej Partii Czechosłowacji, a założony przez niego SMER należy do Międzynarodówki Socjalistycznej oraz Postępowego Sojuszu Socjalistów i Demokratów. Z drugiej jednak strony (w odróżnieniu np. od polskich postkomunistów) premier Słowacji publicznie broni wartości chrześcijańskich, sprzeciwia się imigracyjnej polityce Brukseli oraz krytykuje ideologię gender. Do ostatnich wyborów szedł z hasłem, by zaprzestać pomocy wojskowej dla Ukrainy, w czym przypomina Viktora Orbána. Choć deklaruje się jako człowiek lewicy, świetnie znajduje wspólny język z premierem Węgier. Obaj są powszechnie zaliczani do najbardziej prorosyjskich przywódców w Unii Europejskiej.

Fico od dawna pozostaje obiektem ataków ze strony liberalnych mediów, które zarzucają mu autorytaryzm i ciągoty dyktatorskie. Skierowane przeciw niemu kampanie nasiliły się po ostatnich wyborach, a szczególnie po proponowanych przez rząd zmianach w systemie sądownictwa i mediach pub-

licznych. Zwłaszcza przez polityków i sympatyków partii Postępowa Słowacja był przedstawiany jako największe zagrożenie dla demokracji i praworządności. Postponowano także jego elektorat, załamując ręce nad poziomem intelektualnym starszych wiekiem i niewykształconych mieszkańców małych miasteczek i wsi.

W kwietniu Fico przestrzegł, że atmosfera w kraju jest tak napięta, iż może doprowadzić do zabójstwa któregoś z czołowych polityków rządu. „I nie przesadzam ani o milimetr”, dodał premier. Rzeczywiście, nie przesadzał. Zaledwie milimetry dzieliły, by 35 dni później zginął na miejscu po strzałach oddanych z bliskiej odległości przez zamachowca. Atak nastąpił po wyjazdowym posiedzeniu rządu, które odbyło się w domu kultury w miasteczku Handlová.

Sprawcą okazał się 71-letni Juraj Cintula, były pracownik firmy ochroniarzkiej, autor tomików poezji i członek Stowarzyszenia Pisarzy Słowackich. Jego poglądy, zrekonstruowane przez media, stanowią amalgamat różnych wzajemnie

wykluczających się stanowisk. Osiem lat temu przerażony agresją w życiu publicznym zakładał nawet Ruch Przeciwko Przemocy, by zapobiec szerzeniu się nienawiści. W ostatnich latach nieustannie krytykował politykę Ficy.

Wszystko wskazuje na to, że Cintula doszedł do wniosku, iż przywracanie praworządności wymaga niepraworządnych metod, a zapobiec szerzeniu agresji można tylko przemocą. Już po zamachu do mediów wyciekło nagranie z policyjnego korytarza, gdzie sprawca tłumaczył swój czyn tym, iż nie podobala mu się polityka rządu, a zwłaszcza reforma sądownictwa i mediów publicznych. Ponieważ liberalne media wyolbrzymiały te zmiany, przedstawiając je jako śmierć demokracji i początek totalitaryzmu, zdesperowany mężczyzna uznał, iż musi zapobiec najgorszemu. Uwierzył w alarmistyczną propagandę i postanowił działać.

Jak podsumowała ustępująca prezydent Zuzana Čaputová: „Nienawistna retoryka, której jesteśmy świadkami, prowadzi do nienawistnych czynów”.

SALTUS
UBEZPIECZENIA
saltus.pl



SALTUS - Mój DOM
UBEZPIECZENIE MIESZKAŃ
I DOMÓW JEDNORODZINNYCH



Ubezpiecz to,
co się liczy!

Typowe wydatki domowe w ciągu roku:

Rachunek za telefon - 1300 zł

Abonament za serwisy filmowe - 780 zł

Siłownia, joga - 1400 zł

Internet i kablówka - 1320 zł

Ubezpieczenie mieszkania - 557 zł

Od wszystkich ryzyk dla mieszkania wartego 410 000 zł
i ruchomości domowych wartych 30 000 zł, także od kradzieży.



ALEKSANDRA RYBIŃSKA

Wola do Irlandii niż do Rwandy

Lewicowo-liberalni irlandzcy politycy zaprosili do siebie cały świat, a teraz są zdziwieni, że koczuje on na progu ich domów. Winę zrzucają na Wielką Brytanię, z której nielegalni imigranci zaczynają uciekać ze strachu przed deportacją do Rwandy

Zaczął się od obietnicy. W 2021 r. rząd w Dublinie ogłosił, że zapewni zakwaterowanie każdej osobie ubiegającej się o azyl. Roderic O’Gorman, irlandzki minister ds. równości i integracji oraz działacz Partii Zielonych, reklamował wówczas swój kraj na platformie X (d. Twitter) jako „bezpieczną przystań” dla migrantów. W ośmiu językach, takich jak arabski, albański, somalijski, urdu czy francuski, aby przekaz dotarł do jak najszerszej rzeszy odbiorców. W następnym roku liczba wniosków o azyl – jak pisze „The Daily Telegraph” – wzrosła o 400 proc. W ciągu kolejnych dwóch lat ponad 26 tys. osób złożyło takie wnioski – trzykrotnie więcej niż w ostatnim roku przed pandemią. I to w kraju liczącym zaledwie 5 mln mieszkańców.

Państwo irlandzkie, już stojące w obliczu kryzysu mieszkaniowego z powodu przybycia do kraju ponad 100 tys. ukraińskich uchodźców, nie było w stanie spełnić złożonej przez O’Gormana obietnicy i zaczęło rekwirować na rzecz imigrantów hotele i hostele, uderzając tym samym w sektor turystyczny. A i tak większość przybyszów wylądowała na ulicy, w Dublinie. Powstało tam miasto namiotowe ciągnące się od Biura Ochrony Międzynarodowej aż pod siedzibę przedstawicielstwa Komisji Europejskiej i rządzącej partii Fianna Fáil. Na domiar złego brytyjski rząd Rishiego Sunaka rozpoczął realizację planu wyhamowania nielegalnej imigracji. Zamiast do Londynu przybysze zmierzający na Wyspy Brytyjskie mogą trafić do Kigali, bo w brytyjski parlament przyjął ustawę umożliwiającą ich deportację do Rwandy.

ŚMIERDZĄCY OBÓZ

Umowa z Rwandą (brytyjski rząd już zapłacił władzom w Kigali 220 mln funtów), która ma zniechęcić nielegalnych przybyszów do pokonywania kanału La Manche w tzw. małych łodziach, spowodował poważny kryzys w szeregach rządzących torysów – przeciwna umowie grupa posłów należąca do umiarkowanego skrzydła partii przeszła do opozycyjnych laburzystów. Konserwatywny burmistrz Tees Valley Lord Houchen nazwał to „walką szczurów w worku”. Ale na tym nie koniec. Obawiający się deportacji imigranci zaczęli uciekać do Irlandii, mimo że jeszcze nikt realnie nie trafił do Rwandy i jest mało prawdopodobne, z powodu m.in. obiekcji Sądu Najwyższego, że pierwsze deportacje nastąpią szybko. W końcu jednak nastąpią.

Fot. Shutterstock

Od stycznia do końca kwietnia aż 7167 nielegalnych imigrantów z sukcesem pokonało kanał La Manche. Dlatego należy się spodziewać, że Sunak ostatecznie zignoruje zastrzeżenia sędziów i deportacje ruszą. Tego w każdym razie spodziewają się imigranci, którzy czekają na Wyspach na rozstrzygnięcie wniosków o azyl. Setki, nawet tysiące z nich szukają schronienia w irlandzkim sanktuarium, co wywołało poważny kryzys między Londynem a Dublinem. Centrum irlandzkiej stolicy – jak pisze portal Politico – zamieniło się w „śmierdzący obóz dla uchodźców”. I mają władze go zlikwidowały. Dzień później obozowisko jednak wróciło – tym razem wzdłuż Wielkiego Kanału (An Chanáil Mhór) – drodze wodnej łączącej wschodnie wybrzeże Irlandii z Oceanem Atlantyckim. Namioty zostały ponownie usunięte 9 maja, a imigranci relokowani do byłego szpitala psychiatrycznego w Dundrum oraz byłego domu opieki w Crooksling, godzinę jazdy od stolicy. Wielu jednak dalej koczuje w parkach, alejkach i wzdłuż rzeki Liffey, która przecina miasto na dwie części. Według „Irish Examiner” to prawie 1,7 tys. mężczyzn w namiotach, czekających na przydzielenie im lokali mieszkalnych. A tych brakuje.

W ciągu ostatniego roku irlandzki departament integracji i Biuro Ochrony Międzynarodowej miały trudności ze znalezieniem schronienia dla ukraińskich uchodźców, dla co najmniej 30 tys. osób ubiegających się o azyl. Wiele opuszczonych nieruchomości przeznaczonych dla azylantów zostało spalonych przez oburzonych obywateli.

Według irlandzkich mediów usuwanie dzikich obozowisk będzie się więc zapewne powtarzać, tym bardziej że rząd szacuje, iż tygodniowo na ulicach Dublina pojawi się nawet 250 imigrantów, których trzeba będzie relokować. Dokąd? Nie wiadomo.

UCIECZKA DO RAJU

Usunięcie i niszczenie namiotów rozstawionych wzdłuż Wielkiego Kanału wywołało zresztą społeczne oburzenie. Rząd finansuje bowiem z pieniędzy podatników organizacje charytatywne, które te namioty rozdają imigrantom tylko po to, by je następnie niszczyć. Ponadto w oczach Irlandczyków ostrzejszy sygnał Wielkiej Brytanii skierowany do osób ubiegają-

cych się o azyl po brexicie wygląda jak: „Do Rwandy – lub do Irlandii”. Według władz w Dublinie ponad 90 proc. z 7 tys. nielegalnych imigrantów, którzy przybyli w tym roku do Irlandii, to osoby, które wcześniej złożyły wnioski o azyl na Wyspach Brytyjskich. Brytyjski „Daily Mail” przepytal koczujących w Dublinie imigrantów, co tam robią, a oni otwarcie mówili o chęci uniknięcia „powrotu do Afryki”.

40-letni imigrant z Nigerii o imieniu Otumba wyruszył do Irlandii w chwili, gdy stało się jasne, że brytyjski parlament uchwali umowę z Rwandą. „Nie ma mowy. Nie wrócę do Afryki. Przyjechałem do Irlandii, bo tu jest bezpiecznie i bardziej przyjaźnie. Przeczuliśmy, co się może stać, więc uciekliśmy z Wysp Brytyjskich” – mówił.

Irlandia, jak się okazuje, niewiele może zrobić, by powstrzymać takich ludzi jak Otumbe. Utrzymanie irlandzkiej granicy bez barier pomimo brexitu ma kluczowe znaczenie dla irlandzkiej gospodarki i setek tysięcy irlandzkich obywateli mieszkających w Irlandii Północnej. Ale sprawia to również, że osoby ubiegające się o azyl wyjątkowo łatwo mogą przedostać się tam z Wysp Brytyjskich. Władze mogłyby zwiększyć patrole policyjne na granicy, ale to historycznie wrażliwy temat, mogący ponownie wzniecić konflikt w Irlandii Północnej. Na razie więc rząd w Dublinie nie chce nawet o tym słyszeć.

Sytuację jeszcze skomplikował wyrok Sądu Najwyższego w Belfaście, który uznał, że kilka przepisów zawartych w brytyjskiej ustawie o nielegalnej imigracji, tej, która umożliwia deportacje do Rwandy, jest niezgodnych z Europejską Konwencją Praw Człowieka oraz art. 2. Protokołu Północnoirlandzkiego, opartym na porozumieniu wielkopiątkowym. Tym samym w Irlandii Północnej nie będą stosowane. Praktyczne skutki tego orzeczenia nie są jeszcze do końca jasne. Jest mało prawdopodobne, aby wyrok miał znaczący wpływ na zdolność rządu do wydaleń z Wielkiej Brytanii, ale z Irlandii Północnej już tak. Przywódca Unionistów (DUP) w Belfaście Gavin Robinson uważa, że teraz Wielka Brytania będzie miała dwustopniowy system azylowy. Może to sprawić, że Irlandia Północna będzie „magnesem dla osób ubiegających się o azyl, chcących uniknąć deportacji”. Tym większa fala może więc ruszyć. Do Irlandii oraz Irlandii Północnej.

DROGA DONIKĄD

To wszystko przerasta Irlandię, która chce, aby Wielka Brytania przyjęła z powrotem osoby z aktywnymi wnioskami w brytyjskim systemie azylowym. W przeciwnym razie urzędnicy ostrzegają, że tylko w br. liczba imigrantów odziedziczonych po Wielkiej Brytanii przekroczy 20 tys. Tydzień temu zatwierdzono projekt ustawy, zgodnie z którą deportacje azylantów z powrotem do Wielkiej Brytanii byłyby możliwe. Tyle że rząd Sunaka nie zamierza jej przestrzegać, nawet gdyby została uchwalona. Brytyjczycy wskazują na Francję, która ich zdaniem nie powstrzymuje migrantów przed przekraczaniem kanału La Manche i nie chce ich także brać z powrotem. Według brytyjskiego premiera tak długo, jak to się nie zmieni, Irlandia nie ma co liczyć na „współczucie” Brytyjczyków.

Sunak zaproponował natomiast Dublinowi, by dołączył do umowy z Rwandą i także deportował tam nielegalnych imigrantów. Nowy premier Irlandii Simon Harris odpowiedział, że „ten kraj w żaden sposób nie zapewni luk prawnych dla cudzych wyzwań migracyjnych”. Umowę z Rwandą nazwał natomiast „satyrą”. W październiku i listopadzie ub.r. Irlandii udało się odesłać 50 nielegalnych imigrantów do Londynu. Powroty wstrzymano w marcu po tym, jak irlandzki Sąd Najwyższy orzekł, że Ministerstwo Sprawiedliwości przekroczyło swoje uprawnienia, uznając Wielką Brytanię za bezpieczny kraj po brexicie. Decyzja sędziów dopełniła chaos i pogłębiła kryzys, w którym znalazła się Irlandia.

Irlandzki publicysta John McGuirk tak to skomentował: „Państwo irlandzkie rzekło się swoich najważniejszych funkcji: przekazało UE kontrolę nad swoją polityką pieniężną i planuje przenieść odpowiedzialność za swoje granice na Brukselę w ramach paktu migracyjnego. Amerykańskie dogmaty dotyczące rasy i płci zostały zaimportowane, aby wypełnić duchową pustkę pozostawioną po katolicyzmie. To droga donikąd”.

Rząd wydaje się być tym niewzruszony. Ma nadzieję, że dodatkowe 5 mld euro na zakwaterowanie imigrantów w nowo wybudowanych „państwowych ośrodkach” rozwiąże problem. Powstać ma 10 tys. miejsc w ciągu 20 lat. A to za mało, by zapewnić dach nad głową choćby tym imigrantom, którzy przyjadą do Irlandii do końca 2024 r. ➤

To jest tyrania i trzeba ją obalić

Tak jak my sądzi większość ludzi, choć wielu boi się przyznać otwarcie, co naprawdę myśli o polityce klimatycznej, genderowej, migracyjnej. Boją się utracić pracę, boją się prześladowań. I to ma być demokracja?

*Michał Karnowski rozmawia w Rumunii, na kongresie „Make Europe Great Again”, zorganizowanym przez rumuńską konserwatywną partię AUR, z **Robem Roosem**, holenderskim politykiem, posłem do PE, wiceprzewodniczącym Grupy Europejskich Konserwatystów i Reformatorów*

Zaskoczyło mnie, jak mocno na tym kongresie wciąż jest obecny temat pandemii. Wiele mówców, w tym doświadczeni lekarze, podkreślają, iż trzeba naciskać na wyciągnięcie wniosków z postawy rządów, mediów, koncernów, by w przyszłości uniknąć popełnionych błędów. Jaka jest pańska opinia w tej sprawie?

Rob Roos: Cieszy mnie to, że ta rozmowa się toczy. Kiedy pandemia COVID-19 się skończyła, większość ludzi po prostu odetchnęła z ulgą, że mamy to za sobą, możemy zacząć wreszcie normalnie żyć. To zrozumiałe. Ale mamy w tym temacie jeszcze lekcję do odrobienia, bo zbyt wiele rzeczy poszło źle, zrobiono zbyt wiele błędów. Jeżeli temat odpuścimy, nie wyciągniemy wniosków, prawdopodobnie w przyszłości ponownie popełnimy te same pomyłki.

Możliwa jest kolejna pandemia?

Mam nadzieję, że pojawi się za kolejne 100 lat, ale przecież nikt tego



nie wie, to są sprawy nieprzewidywalne. Dlatego teraz musimy przypilnować, żeby wyciągnięto odpowiednie wnioski, by zabezpieczono nas przed powtórzeniem tych samych błędów. Przymusowo kazano nam nosić maseczki, zmuszano ludzi do szczepień, dysponując bardzo słabymi badaniami naukowymi w tym zakresie. Koszty społeczne lockdownów były ogromne, gospodarcze także, bo wiele małych firm zbankrutowało. Musimy się uczyć na tych błędach, podobnie jak uczy się przemysł lotniczy – tam z każdego

błędu, wypadku, katastrofy wyciąga się natychmiast wnioski, wdraża programy naprawcze i w efekcie latamy bardzo bezpiecznie.

Jednak politycy niechętnie mówią o pandemii. Nie chcą, by ludzie przypominali sobie ten ciężki czas, a także chyba wiedzą, że nie było

Przez Zielony Ład mamy deindustrializację w Europie. Ceny energii są za wysokie, zabijają możliwości prowadzenia opłacalnej produkcji, tracimy zdolność konkurencyjności z innymi częściami świata

wtedy łatwych decyzji, oczywistych rozwiązań? Ruch w każdą stronę oznaczał jakieś społeczne straty, narażał ciębie życie, odbierał normalność.

Politycy na Zachodzie nie chcą o tym mówić, bo wiedzą, że popełnili bardzo poważne błędy. Czasami tak duże, że rozmowa o tych sprawach postawiłaby pytanie o pociągnięcie ich do odpowiedzialności.

Co wtedy, w marcu 2020 r., i później, przy kolejnych falach pandemii, należało zrobić inaczej? Gdyby wtedy był pan na pozycji politycznego decydenta, co by pan rekomendował?

W momencie wybuchu pandemii na pewno wszyscy byli przerażeni. Ja też byłem przestraszony. Powiedziano nam przecież, że umrze 3 do 4 proc. populacji, co oznaczało, że każdy straci kogoś, kogo zna – może rodzica, może dziecko, może

brata lub siostrę. Rozumiem zatem pierwsze szokowe reakcje władz. Ale po dwóch miesiącach było jasne, że to tak nie wygląda. Już wtedy znamy doktor pracujący w Rotterdamie w szpitalu z osobami chorymi na COVID-19 powiedział mi: „Na naszym oddziale intensywnej terapii nie ma osób zdrowych, są tylko osoby mające równoległe inne problemy zdrowotne. Są chorzy na serce, na cukrzycę, z otyłością, w podeszłym wieku itp.”. I takich relacji, danych było wiele. Wtedy przestałem się bać. To powinien być punkt zwrotny w naszym podejściu do pandemii.

Jaki wniosek należało z tego wyciągnąć?

Jeżeli na podstawie analizy dostępnych informacji potrafiłem przestać się tak strasznie bać, dostrzec, kto naprawdę jest najbardziej zagrożony, powinni byli umieć zrobić to także politycy rządzący. Po dwóch miesiącach powinni zdjąć ten strach, że to zagraża absolutnie każdemu. Trzymali nas w tym jednak jeszcze przez 2,5 roku! Dużo szybciej powinna



Fot. Patrja

zatem nastąpić korekta postawy władz wobec pandemii.

No dobrze, ale jako obywatele mieliśmy mało możliwości skutecznej polemiki z zarządzeniami władz. Przecież cały świat postępował podobnie. Jaką postawę należy zatem przyjąć, co robić, jeśli coś takiego by się powtórzyło?

W krajach zachodnich jest silne poczucie, że rządowi należy ufać, że wdrażane radykalne środki na pewno mają uzasadnienie, są potwierdzoną naukowo nieuniknioną ostatecznością. Dziś wiemy, że tak nie było. Trzeba zatem zacząć myśleć i oceniać postępowanie władz dużo bardziej krytycznie, docieklewie pytać, domagać się uzasadnienia. Ta teza nie jest żadną rewolucją, bo przecież nasz zachodni system polityczny nie jest zbudowany na zaufaniu do rządu, ale na regule „checks and balances” (kontroli i równowagi).

W przypadku Polski była silna presja na kopiowanie zachodnich rozwiązań. Ale nasz rząd starał się iść drogą środka, luzując restrykcje, gdy tylko było to możliwe, biorąc pod uwagę opinie lekarzy, a także interes społeczny, gospodarczy.

Znam trochę Polskę i wiem, że pamięć o komunizmie, który upadł 30 lat temu, wciąż jest dobrą szczepionką na wiele niedobrych pomysłów. Świadomość, iż trzeba samodzielnie myśleć, analizować, rozglądać się, krytycznie podchodzić do wielu rzeczy jest dużo mocniejsza niż na Zachodzie. Ale i u was, i u nas jeden wniosek jest najważniejszy: potrzebujemy rzeczywistej debaty, wolności słowa, wolności do wątpliwości i pytań nie tylko w sprawie pandemii, lecz także kształtu Unii Europejskiej, Zielonego Ładu. Mechanizmy zamykania ust krytykom są przecież takie same.

W sprawach klimatycznych też nas straszą, mówiąc: jak nie wdrożycie naszych ekstremalnych propozycji, wkrótce umrzecie.

Conie jest prawdą! Zmiany klimatyczne na Ziemi są faktem od 4,5 mln lat. Tak, Ziemia się teraz ociepla, co nie znaczy, że jest to problem. I nie znaczy też, że jeżeli radykalnie ograniczymy poziom emisji CO₂, to rozwiążemy ten problem. Wydajemy na to ogromne pieniądze, a debata nad sensem tych wydatków, ich skutecznością i tym, co robią inne kontynenty, jest zablokowana. A przecież już teraz skutki tej polityki są potężne, bo to jak w gospodarstwie domowym: tylko raz możesz wydać swoje euro. Jeżeli teraz wydajemy miliardy na politykę klimatyczną, to znaczy, że nie wydamy miliardów na edukację,

Po dwóch miesiącach pandemii było jasne, że nie jest prawdą, iż COVID-19 zagraża absolutnie każdemu. Trzymali nas w tym jednak jeszcze przez 2,5 roku! Korekta postawy władz wobec pandemii powinna nastąpić dużo szybciej

zdrowie, infrastrukturę, innowacje. Zauważmy, że ten pośpiech, presja na walkę ze zmianami klimatycznymi też są zbudowane na strachu, tak jak polityka walki z pandemią.

Zauważył pan, że w przypadku polityki klimatycznej szczególnej presji poddaje się młode pokolenie, któremu podaje się to wszystko, niezgodnie z prawdą, jako niepodważalne dane naukowe, pewną zapowiedź końca świata?

Oczywiście wszyscy widzimy skutki – depresja wśród młodych ludzi, strach wtłaczany do umysłów i serc. Odbieramy im pewność przyszłości, radość bycia młodym. Żeby było jasne: jestem wielkim zwolennikiem

redukcji paliw kopalnych tam, gdzie to możliwe, gdzie jest to wynikiem naturalnego postępu technologicznego. Uważam jednak, że zanieczyszczenie powietrza jest większym problemem niż zmiany klimatyczne.

Europa krwawi gospodarczo. 30 lat temu wielkości gospodarek UE i USA były porównywalne, dziś Stany Zjednoczone uciekają nam coraz bardziej. W Polsce widzimy, jak jedna fabryka po drugiej są likwidowane, uciekają do Chin, Indii – tam, gdzie energia jest tańsza. Czy ktokolwiek w kręgach decyzyjnych Unii się tym przejmuje?

Kiedy przemawiam na sali plenarnej Parlamentu Europejskiego, co jakiś czas alarmuję: widzimy deindustrializację w Niemczech, widzimy to samo w Holandii. Szczególnie w obszarach, które wymagają dużych nakładów energetycznych. Ceny są za wysokie, zabijają możliwości prowadzenia opłacalnej produkcji, tracimy zdolność konkurencyjności z innymi częściami świata. Co nam zostanie, jeżeli dalej potoczy się to w tym kierunku? Przecież Unia Europejska nigdy nie była potęgą militarną, zawsze ekonomiczną. A ten atut właśnie wytracamy na własne życzenie. Indie, Chiny, USA odjeżdżają nam gospodarczo. Nasi liderzy w tym czasie przejmują się tylko celami klimatycznymi i chcą nauczać innych o kwestiach płci.

Ktokolwiek chce słuchać?

Coraz mniej przejmują się tym, co mówimy, bo widzą naszą rosnącą słabość. Europa potrzebuje powrotu do polityki, która przywróci silny wzrost ekonomiczny, pozwoli odzyskać konkurencyjność. A do tego z kolei niezbędna jest dostępna, tania energia. To podstawa wszystkiego w gospodarce.

Uważa pan, że mamy szansę zatrzymać szaleństwo Zielonego Ładu? Nowych traktatów europejskich, które chce się narzucić narodom Europy bez pytania ich o zgodę?

Widzimy, że konserwatyzm rośnie w siłę wszędzie w Europie. Przez lata

twierdzami zdroworozsądkowego myślenia były tylko Polska i Węgry, dziś silni są partnerzy także w Holandii, Włoszech, Francji, Niemczech, Finlandii. Oczywiście establishment nie przygląda się temu biernie, odpowiada zwiększeniem presji ideologicznej, próbami stygmatyzacji konserwatystów.

W Polsce stosują „przebierankę” – np. ludzie, którzy głosowali za Zielonym Ładem, wdrażali go, obecnie przedstawiają się jako jego przeciwnicy. Zapewne na chwilę.

Stosują wszelkie metody, by ludzie nie wybrali bardziej konserwatywnego Parlamentu Europejskiego, który będzie w stanie odwrócić bardzo szkodliwe decyzje podjęte w tej kadencji, nie tylko w sprawie Zielonego Ładu. To będą wybory kluczowe dla przyszłości kontynentu. Bardzo ważny jest także kształt Rady Europejskiej, w której zasiadają premierzy poszczególnych państw. Dlatego z uwagą obserwujemy również wybory na poziomie krajowym w poszczególnych państwach. Największy problem będziemy mieli z Komisją Europejską, która jest ciałem faktycznie niekontrolowalnym w demokratyczny sposób, mechanizmy jej wyboru i działania też są dalekie od zasad demokracji. Jeżeli jednak Parlament Europejski zacznie mówić głosem obywateli, w Radzie Europejskiej znajdzie się więcej odważnych polityków, wtedy jest szansa na zmianę.

Wybory w Stanach Zjednoczonych będą ważne dla Europy?

Bardzo ważne! Kolejne cztery lata prezydentury Joe Bidena przyniosą kontynuację masowej imigracji, tam robią w tym obszarze dokładnie to samo, co w Europie. To jest ta sama, ogólnosiwiatowa agenda, ten sam plan. Dlatego my, konserwatyści, musimy odłożyć różnice, jednoczyć siły – w Europie i na całym świecie.

W Polsce establishment próbuje szantażu, że współpraca z innymi

frakcjami konserwatywnymi w Europie oznacza staniecie ramię w ramię z „sojusznikami Putina”. Jak by pan odpowiedział na taki przekaz?

To bzdura i kolejna próba okłamania wyborców oraz ich zastraszenia. Jeżeli trochę inaczej widzisz pewne sprawy związane z wojną na Ukrainie, jeżeli opowiadasz się za pokojem, to jesteś marionetką Putina? To całkowity absurd i dowód, jak iluzoryczne są nasza demokracja i wolność słowa? Co jeszcze znajdzie się na liście tematów zakazanych? Przyznają sobie prawo dokonywania dowolnych wolt,

Widzimy, że konserwatyzm rośnie w siłę wszędzie w Europie. Przez lata twierdzami zdroworozsądkowego myślenia były tylko Polska i Węgry, dziś silni są partnerzy także w Holandii, Włoszech, Francji, Niemczech, Finlandii

nam zabraniają nawet rozmów na najważniejsze tematy. Komisja Europejska stała się pysznym, niekontrolowanym organem władzy centralnej przekonanym o swojej nieomyślności, któremu nie chce się nawet poważnie odpowiadać na pytania posłów do PE.

Jak widzi pan organizację konserwatystów w przyszłym Parlamencie Europejskim? Czy jest możliwe powstanie jednej wielkiej grupy?

Nie, to chyba niemożliwe. Konserwatywnych grup parlamentarnych może być więcej, najważniejsze, by wspólnie były możliwie największe i ze sobą współpracowały. I tu widzę rosnącą świadomość, że nie stać nas na konflikty, podziały, spory.

A różnice między narodami? W odróżnieniu od polityków lewicy konserwatyści podchodzą do tych spraw na serio. Czy np. konserwatyści rumuńscy i węgierscy będą potrafili współpracować w ramach jednej grupy?

Różnice są i będą, musimy je umieć przełamywać, bo stawką jest przyszłość Europy. Mamy wspólnych przeciwników, nazwałbym ich nawet wrogami. To autorzy planu rewolucji genderowej, lewicowej, klimatycznej, to przeciwnicy wolności słowa, praw politycznych dla wszystkich. Musimy ich zatrzymać, bo inaczej stracimy wolność. Musimy przeciwstawić się nowym unijnym traktatom, które chcą narzucić Europie, gdzie zapisano także zniesienie prawa weta. Jeżeli to wprowadzą, jesteśmy skończeni, uzyskają nad narodami pełnię władzy. Zniknie ostatni bezpiecznik.

Wiem, że śledzi pan wydarzenia w Polsce i wie, z jaką brutalnością, jak bezprawnie ekipa Tuska sięgnęła także po tę władzę, której nie miała prawa brać. Nielegalnie przejęli media publiczne, prokuraturę, dwóch posłów opozycji bezprawnie wtrącono do więzień, trwa polityczne polowanie na kolejnych. Czy europejskiemu establishmentowi to pasuje?

Im tak, im o to chodziło, tak sobie wyobrażają idealną demokrację.

Chwalą to też największe media. Ale wielu ludzi nie kupuje tej narracji, jest świadomością silnych protestów Polaków i bezprawia, z jakim mamy do czynienia. Chcę powiedzieć Polakom, że mają pełne prawo walczyć o swoje prawa, protestować, żądać przestrzegania konstytucji przez nowy rząd. Nam i wam chcą wmówić, że nasze poglądy nie mają prawa istnienia, że jesteśmy jakimiś ekstremistami. Nie, to my reprezentujemy zdrowy rozsądek. I tak jak my sędzi większość ludzi, choć wielu boi się otwarcie przyznać, co naprawdę myśli o polityce klimatycznej, genderowej, migracyjnej. Boją się utracić pracę, prześladowań. I to ma być demokracja? Nie, to jest tyrania i trzeba ją obalić.



MAREK BUDZISZ

Rosja przygotowuje się do długiej wojny, już nie z Ukrainą, z którą jest przekonana, że wygra, ale z całym Zachodem. Dlatego zmienia swój rząd, zasady funkcjonowania gospodarki i ludzi, którzy będą kierować państwem

Wojna na dziesięciolecia

Władisław Inoziemcew, niezależny ekonomista rosyjski, jest zdania, że ostatnie przetasowania w rosyjskim rządzie świadczą o przygotowywaniu się kraju do długotrwałej wojny na wyniszczenie. Andriej Bielousow, dotychczasowy wicepremier, który został mianowany ministrem obrony, ma usprawnić funkcjonowanie sektora zbrojeniowego i zagwarantować, że armia oraz przemysł będą w najbliższych latach pracowały na najwyższych obrotach. Ale zmiany, których w związku z rozpoczęciem nowej kadencji Putina spodziewało się większość ekspertów, idą znacznie dalej.

PERSONALNE PRZETASOWANIA

Nikołaj Patruszew, uważany za wszechmocnego sekretarza Rady

Bezpieczeństwa, którego zastąpił Szojgu, będzie teraz doradcą Putina odpowiadającym za istotną strategiczną dziedzinę, którą staje się budowa okrętów. W wyniku ukraińskich ataków Rosja straciła jedną trzecią swej Floty Czarnomorskiej i teraz trzeba ją szybko odbudować, ale nie tylko, bo Kreml chce zwiększyć zdolności morskie Federacji i uniezależnić się od portów na Bałtyku oraz Morzu Czarnym, akwenów, które można łatwo zablokować. Eksperci są zdania, że ta nominacja może świadczyć o degradacji jego pozycji, ale niekoniecznie, bo równolegle syn Patruszewa Dmitrij, odpowiadający w rządzie za rolnictwo, awansował i został wicepremierem.

Sektor zbrojeniowy będzie nadzorował Aleksiej Diumin, były szef ochrony Putina, do niedawna gubernator w obwodzie tulskim. W czasie buntu Prigożyna mówiło się o nim

jako o inspiratorze tego, co się stało, człowieku, który w rosyjskim obozie władzy przez lata wspierał niezłającego już twórcę Grupy Wagnera i zwolenniku „wojny do końca”. Wcześniej Diumin był wymieniany jako jeden z następców Putina. Eksperci zajmujący się rozgrywkami na Kremlu nie są zgodni, czy w tym przypadku mamy do czynienia z degradacją, czy awansem. Niewątpliwie Putin chce mieć Diumina „pod bokiem” i powierzył mu trudną domenę.

Z innych zmian, które miały miejsce, warto odnotować awans Denisa Manturowa, wcześniej nadzorującego transport, który został wicepremierem i przejście Maksima Orieszki na rządzie do administracji prezydenta, w której będzie pełnił funkcję zastępcy przewodniczącego.

BIEŁOUSOW, CZYLI KTO?

Jednak z pewnością najistotniejszą roszadą jest awans Biełousowa, ekonomisty, wieloletniego doradcy Putina i wicepremiera nadzorującego przez ostatnie lata sektor zbrojeniowy na stanowisko nowego ministra obrony. Ta zmiana jest nie tylko wynikiem niezadowolenia Kremla z tego, jak przebiega wojna oraz ze stopnia korupcji w resorcie obrony i siłach zbrojnych, lecz także zapowiedzią głębokich, zaplanowanych na lata zmian w rosyjskiej gospodarce. Biełousow uchodzi bowiem za zwolennika większej roli państwa i autora planu przebudowy całego systemu ekonomicznego Rosji.

Dmitrij Prokofiew, redaktor quasi-opozycyjnej „Nowej Gazety”, przypomniał, że jeszcze w połowie lat 90. Biełousow, wówczas pracownik rosyjskiej Akademii Nauk zajmujący się prognozowaniem makroekonomicznym, sformułował koncepcję uczynienia z rosyjskiego sektora zbrojeniowego koła zamachowego całej gospodarki. Jak wówczas pisał, PKB Rosji może rosnąć albo w wyniku wzrostu eksportu, albo dlatego, że ożywi się popyt wewnętrzny, albo jeśli będzie się więcej produkowało na rzecz wojny. Jego zdaniem ZSRR upadł nie dlatego, że był ekonomicznie niewydolny, ale z tego powodu, iż ówczesna elita władzy nie była w stanie precyzyjnie określić, jakie są priorytety państwa. Teraz nie będzie z tym problemu, gospodarka na lata ma się skoncentrować na pracy na rzecz wojny, a sektor zbrojeniowy powinien, w opinii Biełousowa, stać się nie tylko czynnikiem pobudzającym wzrost, lecz także oazą nowoczesności, nawet postępu, miejscem, gdzie będą kreowane nowe wynalazki, które w konsekwencji umocnią mocarstwową pozycję Rosji. Będzie to co prawda dość jednostronna mocarstwowość, bo o statusie Moskwy ma decydować potencjał jej sił zbrojnych, ale w opinii Biełousowa jest to jedyna realna droga. Przez lata krytykował on zbyt liberalny kurs szefowej Banku Rosji Elwiry Nabiulliny i ministra finansów, proponując znaczące ograniczenia w zakresie transferu kapitałów poza granice Rosji i odejście od polityki tłumienia popytu wewnętrznego w wyniku konserwatywnej polityki budżetowej.



Andriej Biełousow,
nowy minister obrony Rosji

PRZEBUDOWA CAŁEJ GOSPODARKI

Wojna przyniosła zasadnicze zmiany i w tych obszarach, bo po jej wybuchu Rosja wprowadziła ograniczenia zarówno w zakresie wymienialności rubla, jak i wywozu kapitału na Zachód. Wzrost wydatków na rzecz armii, a także wypłat dla ochotników idących na front oznaczały też wypływ środków publicznych na wewnątrzrosyjski rynek. Paradoksalnie najbardziej skorzystały na tym najbiedniejsze regiony w rodzaju Buriacji czy Dagestanu, bo stamtąd rekrutowała się największa liczba ochotników. W efekcie wymuszonej przez wojnę polityki, którą ekonomiści określają mianem „keynesizmu na sterydach”, zmniejszyły się nierówności dochodowe w Rosji, spadła liczba ludzi żyjących poniżej progu ubóstwa i na rosyjskiej prowincji zapanował czas ekonomicznej prosperity.

Za Biełousowa ten kurs ma zostać utrzymany, a nawet, jak się uważa, Rosja ma przejść do fazy „narodowego kapitalizmu”, czyli inwestowania zysków z eksportu węglowodorów we własną gospodarkę. Oligarchowie popierający Putina na wzór rozwiązań koreańskich z lat 60. mają przystąpić do budowy czelobli, wielkich konglomeratów przemysłowych, których jądrem mają być, jak w przypadku np. Huyndaia, firmy pracujące na rzecz armii.

Innymi słowy zadaniem Biełousowa jest nie tylko usprawnienie i reorganizacja rosyjskiej armii, tak aby była ona

w stanie wygrać wojnę na Ukrainie, ale coś znacznie poważniejszego. Chodzi o przebudowę całej gospodarki i w konsekwencji państwa, niezbędną, jeśli myśleć, a to, jak się wydaje, planują na Kremlu, o wieloletnich zmaganiach z Zachodem.

Rosyjskie elity i sam Putin są zdania, że wojna z Ukrainą zostanie wygrana, ale to nie oznacza końca rywalizacji, a nawet perspektywy oddalenia wojny, bo trzeba się będzie przygotować na starcie z Zachodem, który nie się pogodzi z porażką. Rosyjscy komentatorzy przypominają, że państwowa i polityczna kariera Biełousowa zaczęła się dość późno, w 2005 r., kiedy napisał on raport, w którym przewidział światowy kryzys finansowy 2008 r. Rosja przeszła go znacznie spokojniej niż inne państwa właśnie dlatego, że miała czas na przygotowanie się do tego kataklizmu, co przewidział obecny nowy minister obrony. Na Kremlu uchodzi on za wybitnego ekonomistę, człowieka, który trafnie dostrzega kierunek nadchodzących zmian, i to w wymiarze globalnym. Jego nominacja oznacza zatem, że Rosja zaczyna się przygotowywać do nowych czasów, w których wojna i gotowość do jej prowadzenia będzie stałym elementem rzeczywistości.

WOLA, ZASOBY, SOJUSZE

Wcześniej trzeba będzie zakończyć wojnę na Ukrainie i dlatego w czasie swego przemówienia inauguracyjnego Władimir Putin po raz kolejny zaczął mówić o tej perspektywie. Jak zaznaczył, jest gotów do rozmów z państwami Zachodu na tematy związane z bezpieczeństwem i równowagą strategiczną, „ale nie z pozycji siły”, a na zasadzie równości stron, co oznacza konieczność uwzględnienia interesów wszystkich uczestników tego rodzaju negocjacji, przede wszystkim Rosji. W swym przemówieniu wiele też mówił o zjednoczeniu narodu i ostatecznym zwycięstwie, co w oczywisty sposób oznacza, że propozycje Putina, jeśli stanowią zapowiedź negocjacji, to na rosyjskich warunkach. Wszystkie działania, które Moskwa podejmuje w ostatnim czasie, mają utwierdzić Zachód w przekonaniu, że kontynuowanie wsparcia dla Kijowa nie ma sensu, bo Ukraina nie

wygra wojny z Rosją, a jej przeciąganie może tylko pogorszyć sytuację, i to nie tylko na froncie, lecz także w państwach wspierających broniący się naród.

Po zmianach w rządzie i swej administracji Putin poinformował o kolejnym, znaczącym kroku. Chodzi o wizytę w Chinach, 43. spotkanie z Xi Jinpingem, które ma potwierdzić strategiczny, przede wszystkim gospodarczy, wymiar współpracy między obydwojema krajami.

Wymiana handlowa między Rosją a Chinami w ub.r. wzrosła o 26 proc. i chińscy producenci zaczynają dominować na rosyjskim rynku. Jak informuje amerykański wywiad, również bez ich dostaw rosyjski sektor zbrojeniowy nie byłby w stanie wywiązywać się z nałożonych nań zadań. Z obliczeń ekspertów „The Financial Times” wynika, że w ub.r. 60 proc. technologii i podzespołów podwójnego zastosowania, czyli takich, które rosyjskie firmy mogą używać w produkcji zbrojeniowej, pochodziło z Chin.

Europa i Stany Zjednoczone zaczęły w ostatnim czasie wywierać presję na Pekin, aby ten ograniczył swoje relacje z Moskwą. Przyniosła ona pewien skutek, bo duże banki chińskie zaczęły wycofywać się z finansowania transakcji, co w kwietniu spowodowało, jak w alarmistycznym tonie informował dziennik „Izwestija”, wstrzymanie 80 proc. transakcji. Chińscy przewoźnicy, zarówno morscy, jak i kolejowi, znacząco podnieśli również ceny frachtów do Rosji, co przyczyniło się do wzrostu zaniepokojenia w Moskwie, tym bardziej że w efekcie w marcu import z Chin do Rosji zmniejszył się o 16 proc., a w kwietniu był to spadek o 13,5 proc.

Teraz Putin podczas „wizyty przyjaciół”, jak określa tę podróż rosyjska propaganda, ma zamiar przekonać Xi Jinpinga do wysiłku na rzecz budowy nowego systemu pozwalającego omijać zachodnie ograniczenia. Aleksandra Prokopienko z berlińskiego oddziału Centrum Carnegie napisała w „The Financial Times”, że Putin zabiera ze sobą do Pekinu dużą grupę bankowców, których zadaniem będzie szukanie

„obejść” zachodniego systemu sankcji. Najprawdopodobniej wykorzystane zostaną w tym celu niewielkie, prowincjonalne banki w Chinach, które do tej pory nie finansowały międzynarodowych operacji, a w związku z tym nie muszą się obawiać amerykańskich sankcji.

Gdyby Putinowi udało się przekonać Chińczyków do kontynuowania współpracy na dotychczasowych zasadach, nie mówiąc już o ewentualnych prorosyjskich zmianach w polityce Pekinu, to wówczas mielibyśmy do czynienia z triadą w zakresie sygnalizacji strategicznej, której przesłanie sprowadzałoby się do pokazania Zachodowi, że Rosja ma wolę, zasoby, sojusze i w związku z tym zdolności, aby kontynuować wojnę do zwycięstwa.

W efekcie wymuszonej przez wojnę polityki, którą ekonomiści określają mianem „keynesizmu na sterydach”, zmniejszyły się nierówności dochodowe w Rosji, spadła liczba ludzi żyjących poniżej progu ubóstwa

Jeśli rekonstruujemy rosyjską strategię zwycięstwa, a w tym wypadku nie chodzi o starcie z Ukrainą, a raczej z całym Zachodem, to trzeba nieco uwagi poświęcić narzędziom, którymi Putin chce się posługiwać. Gotowość do prowadzenia długiej wojny na wyniszczenie o wysokim stopniu intensywności jest tylko jednym z nich. Innym jest zdolność do posługiwania się straszką nuklearną, co zresztą Kreml robi od początku wojny, a ostatnio po deklaracjach Emmanuela Macrona, rozpoczynając nieplanowane ćwiczenia sił dysponujących ładunkami taktycznymi, czyli takimi, które mogą razić cele w Europie. Wydaje się jednak, że głównym narzędziem, którym będą się

posługiwać w najbliższych miesiącach Rosjanie, są „operacje w szarej strefie”.

Dziennikarze „The Financial Times” napisali kilkanaście dni temu, powołując się na źródła w służbach specjalnych kilku państw zachodniej Europy, że Kreml nasili rozmaite akcje dywersyjne i destabilizacyjne. Nie chodzi tylko o wrogą propagandę, w grę wchodzi również znacznie bardziej dolegliwe działania. Jednym z nich, wymienianym przez oficerów zachodnich służb specjalnych, są podpalenia. Nie wiadomo, czy ich ostatnia fala w Polsce to celowe działania, które można powiązać z Moskalami, ale pożary wybuchają również w Europie. Niedawno w Berlinie spłonęła hala należąca do koncernu Diehl Defence, który produkuje systemy IRIS-T. Inny przejaw wrogiej działalności to narastająca presja migracyjna czy zakłócanie sygnałów GPS, co stało się już rutynowym działaniem Rosjan w basenie Morza Bałtyckiego. W efekcie utrudniony jest transport, a strategiczny rywal Zachodu zdobywa dane na temat stanu naszej odporności i przygotowań.

Innym przejawem tej działalności są nasilające się ataki hackerskie. Niedawno szefowa niemieckiej dyplomacji Annalena Baerbock oskarżyła Moskwę o duży atak i kradzież danych z kont pocztowych niemieckiej socjaldemokracji. Podobny atak, ale na znacznie większą skalę, miał miejsce w Wielkiej Brytanii, gdzie wykradziono dane kilkuset tysięcy żołnierzy służby czynnej i rezerwistów. „The Times” poinformował w ostatnich dniach o śledzeniu przez Rosjan telefonów komórkowych żołnierzy i oficerów uczestniczących w manewrach państw NATO, a czeski minister transportu alarmował, że mamy do czynienia z atakami na systemy sterowania ruchem kolejowym w całej Europie.

Tę listę można ciągnąć jeszcze bardzo długo, ale jedno nie ulega wątpliwości. Rosja przygotowuje się do długiej wojny, rywalizacji mogącej trwać nawet dziesięciolecia i dlatego zmienia swój rząd, zasady funkcjonowania gospodarki i ludzi, którzy będą kierować państwem.

Tam dokonuje się ludobójstwo



O pomocy niesionej prześladowanym chrześcijanom w Nigerii opowiada założyciel i prezes Fundacji Orla Straż **kmdr ppor. rezerwy Bartosz Rutkowski** w rozmowie z Grzegorzem Górnym

Wróciłeś właśnie z Nigerii. To kraj, w którym w ub.r. zginęło z powodu swej wiary najwięcej chrześcijan na świecie: ok. 4 tys. osób. Gdzie dokładnie byłeś?

Bartosz Rutkowski: W północno-wschodniej części Nigerii znajduje się 12 stanów, gdzie większość mieszkańców stanowią muzułmanie, którym udało się narzucić islamskie prawo religijne, czyli szariat. Dotarłem do stanu Plateau, który graniczy z tymi islamskimi prowincjami. Tam żyje ludność mieszana: zarówno chrześcijanie, jak i muzułmanie. To bardzo niebezpieczny teren. Byłem w miejscach, do których nie docierają dziś nawet misje ONZ czy Czerwonego Krzyża.

Jak wygląda tam sytuacja?

W Polsce często można usłyszeć, że w Nigerii mamy do czynienia z konfliktem muzułmańsko-chrześcijańskim. Prawdopodobnie jest jednak taka, że to uzbrojeni muzułmanie napadają na chrześcijańskie wioski, natomiast nigdy nie słyszałem o odwrotnej sytuacji, by to chrześcijanie atakowali wioski muzułmanów. Na północy, gdzie nie ma już chrześcijan, zdarzają się za to sytuacje, że jedni muzułmanie mordują drugich. Zdarza się też, że młodzi radykałowie zabijają przedstawicieli starszego pokolenia, którzy próbują ich powstrzymać przed dokonywaniem zbrodni.

Czy zdarzają się porwania dla okupu?

W tej sprawie zaszła zadziwiająca zmiana. Wcześniej chrześcijan porwano dla okupu, ponieważ to się opłacało. Teraz zdarza się to, ale znacznie rzadziej. Zaczęto natomiast częściej mordować. A to znaczy, że bardziej opłaca się zabijać.

Ale przecież za martwego chrześcijanina nikt nie dostanie okupu.

No właśnie. To znaczy, że ktoś musi płacić za tych zabitych większe pieniądze.

Kto?

Ten, kto zapewnia im uzbrojenie. Oddziały morderców są tam lepiej wyposażone niż wojsko i policja, dysponują nowocześniejszą bronią.

Kto ich finansuje?

Nie wiem, ale miejscowi mówią, że tropy wiodą nad Zatokę Perską.

A kto morduje chrześcijan?

Najczęściej są to terroryści z islamiistycznej organizacji Boko Haram albo członkowie plemienia Fulan, którzy są muzułmanami. Napadają zazwyczaj nocą na wioski zamieszkane przez chrześcijan. Mordują mieszkańców, niszczą domy, grabią dobytek. Byłem w wiosce, gdzie w ciągu jednej nocy zabito 160 osób. Różnice religijne nakładają się tam na różnice społeczne. Chrześcijanie zazwyczaj bowiem uprawiają rolę, a muzułmanie, np. z ludu Fulan, zajmują się hodowlą zwierząt. Wyobraź sobie następującą sytuację: wstajesz rano i widzisz, że w nocy ktoś na twoje pole wyprowadził 200 krów, które niszczą wszystkie twoje uprawy. Jeśli spróbujesz zaprotestować, zostaniesz zastrzelony na miejscu. Jeśli później będziesz chciał złożyć zeznania na policji, także stracisz życie.

Dlaczego?

Wielu przedstawicieli władz wywodzi się z ludu Fulan. Fulaninem był np. prezydent Muhammadu Buhari, który rządził krajem w latach 2015–2023. Wielu członków kadry oficerskiej w wojsku czy policji także należy do tego plemienia. Zdarzały się przypadki, że żołnierze na przepustce sami brali udział w ludobójstwie lub dostarczali amunicję mordercom. Dlatego jedyną możliwą formą przeciwstawienia się gwałtom jest tam zabijanie napastników podczas nocnych ataków. Nic więc dziwnego, że w chrześcijańskich wioskach samorzutnie powstają oddziały samoobrony, których zadaniem jest ochrona ludności cywilnej przed napadami zabójców.

Skąd samoobrona ma broń?

Opiera się ona głównie o koła łowieckie, które nie mogą posiadać broni automatycznej ani sztucerów, a jedynie broń myśliwską. Choć członkowie samoobrony są uzbrojeni tylko w dubeltówki, to jednak budzą postrach wśród terrorystów, ponieważ dobrze znają teren, są zdeterminowani i nie

biorą jeńców. Potrafią organizować zasadzki, w których może zginąć nawet kilkudziesięciu napastników. Wybrany w ub.r. prezydent kraju Bola Tinubu chce podporządkować koła łowieckie ministerstwu obrony, by zwiększyć ich zdolności odpierania przeciwnika.

Jaki jest właściwie cel takich akcji przeprowadzanych przez terrorystów?

Cel islamistów w Nigerii jest taki sam, jak cel ISIS w Iraku. Obiektem ataku jest rodzina, którą trzeba przykładnie ukarać. Dlatego terroryści mordują przede wszystkim ojców jako głównych żywicieli rodzin oraz niszczą cały ich dobytek. W efekcie na pogorzelisku pozostają wdowy z trojgiem, pięciorgiem lub siedmiorgiem dzieci. Taka rodzina wegetuje, walcząc o przeżycie i stanowiąc dla innych przykład, co się może stać, gdy będziesz stawiał opór. W ten sposób jest zastraszana cała społeczność. Takim właśnie rodzinom, skrzywdzonym przez terrorystów, chcemy pomagać.

Jak?

Przede wszystkim nie można organizować pomocy dla ludzi, jeśli wcześniej nie poznało się ich potrzeb. Dlatego tak ważne było dla mnie dotarcie do nich i osobiste przekonanie się, jak wygląda ich sytuacja. Naszym celem jest przywrócenie ich do takiego życia, jakie prowadzili przed atakiem. Oczywiście nikt nie przywróci życia zabitym mężom i ojcom, ale możemy pomóc tym, którzy pozostali.

W jaki sposób konkretnie?

Zapewniając mieszkanie i warsztat pracy. Podam przykład: w jednym z ataków na chrześcijańską wioskę został zabity mężczyzna, który był głową rodziny. Ich dom został spalony. Pozostała wdowa mająca na utrzymaniu kilkoro małych dzieci – bez dachu nad głową i źródeł utrzymania. Wynajęliśmy dla nich dwupokojowe mieszkanie na cały rok. Kosztowało to zaledwie 25 dolarów, czyli 100 zł. Taka jest w Afryce siła nabywcza naszego pieniądza. Kupiliśmy jej też warsztat pracy, czyli młyn, a właściwie urządze-

nie do mielenia ziaren kukurydzy na mąkę, które kosztowało nas 150 dol., czyli 600 zł. Tak więc wydając zaledwie 700 zł, pomogliśmy stanąć na nogi tej wdowie z półsierotami, ustawiając finansowo ich rodzinę. To pokazuje, jak stosunkowo niewielkie z naszego punktu widzenia pieniądze są potrzebne, by uratować komuś życie.

Czyli pomoc udzielana przez twoją fundację jest adresowana bardzo precyzyjnie?

Dokładnie tak. Znamy ludzi, którym pomagamy, np. pewną wdowę, której zabito męża, spalono dom i sklep, a ona została z siedmiorgiem dzieci. Kupiliśmy jej w 2-milionowym mieście działkę o powierzchni 750 mkw., by mogła odbudować to, co straciła. Zakup ziemi kosztował zaledwie 2,4 tys. zł. Dla nas to suma niewielka, ale dla nich to „być albo nie być”. Nasza pomoc jest więc realna. Dostarczamy to, czego potrzebują, by się usamodzielnili i samemu zacząć się utrzymywać. Odbudowujemy domy i stanowiska pracy, kupujemy narzędzia rolnicze, pompy z generatorami, nawozy sztuczne itd.

Która historia poruszyła cię najbardziej?

Pomagam m.in. 10-letniej dziewczynce, którą próbowano spalić żywcem. O 4.00 nad ranem do jej domu wpadli uzbrojeni Fulanie. Cała rodzina schowała się na strychu. Napastnicy ukradli wszystkie cenne przedmioty, a następnie podpalili budynek. Matka zdołała wypchnąć swoją 10-letnią córeczkę na zewnątrz przez lufcik pod sufitem. Dziewczynka stoczyła się po dachu i spadła na ziemię. Napastnicy rzucili się na nią, złapali za ręce i nogi, chcąc wrzucić z powrotem do ognia. W tym momencie nadjechały cztery samochody policyjne i Fulanie uciekli. Dziewczynka ocalała, ale jej rodzina zginęła. Dziś przebywa u swojej ciotki. Na ile mogę, staram się jej pomóc.

Kilka dni temu w tej samej wiosce zginęło 12 osób. Właśnie przesłano mi stamtąd zdjęcia ofiar. Oczywiście nie pokażę ich publicznie, bo są zbyt drastyczne. Ale sam zobacz: tutaj leżą martwe kobiety, a obok kilkuletnie

dzieci. Czy ktoś o tym mówi? Czy ludobójstwo chrześcijan w Nigerii kogoś na świecie obchodzi?

Czasami docierają stamtąd jakieś informacje, np. niedawno przeczytałem, że bojówki dżihadystów z plemienia Fulan napadły na uniwersytet stanowy Plateau w miasteczku Bokkos i urządziły tam polowanie na chrześcijańskich studentów, strzelając do nich.

Tak się składa, że kupiliśmy samochód Mitsubishi Outlander dla tamtejszej samoobrony, która po tym ataku ewakuowała studentów z kampusu. Auto musiało krążyć kilka razy w dwie strony, ponieważ studenci bali się wsiąść do wojskowych samochodów i oddać się pod opiekę żołnierzy, którzy przybyli na miejsce, by ich ratować.

Dlaczego się bali tych żołnierzy?

Bo byli wśród nich także Fulanie. W Nigerii stykałem się z sytuacjami, z jakimi nigdy nie zetknąłem się w Iraku, gdzie nie było możliwości, by spotkać się oko w oko z zabójcami z ISIS. W Nigerii natomiast jadę samochodem, a mój przewodnik pokazuje mi mężczyzn siedzących na poboczu, którzy z odległości 2 m patrzą nam w oczy. On mi mówi, że to mordercy, którzy zabijali chrześcijan. Są znani z imienia i nazwiska. Wszyscy wiedzą, co robili. Żyją w sąsiednich wioskach lub nawet sąsiednich domach. Pozostają jednak bezkarni.

Czy udało ci się nawiązać kontakt z Fulanami?

Jednego z nich poznałem bardzo dobrze. Był muzułmaninem i ciężko zachorował. Pewnego dnia przyszli do niego baptyści i zaczęli mówić mu o Jezusie. Odpowiedział im: „Uwierzę w tego waszego Jezusa, jak mnie uzdrowi”. Następnego dnia choroba zniknęła bez śladu. Ten człowiek dotrzymał słowa. Został chrześcijaninem. Kiedy przyznał się do tego publicznie, odwróciła się od niego cała lokalna społeczność. Namawiano go, żeby wyrzekł się Chrystusa, ale on pozostał nieugięty.

Pewnego razu znajomy sędzia ostrzegł go, żeby uciekał, bo nazajutrz odbędzie się rozprawa, w której zostanie skazany. Uciekł więc na tereny, które nie są kontrolowane przez muzułmanów, pozostawiając na miejscu rodzinę i cały majątek. Zamieszkał kątem u znajomego

Uratowaliśmy jedną dziewczynkę, ale kilka dni temu w tej samej wiosce zginęło 12 osób. Właśnie przesłano mi stamtąd zdjęcia ofiar. Są zbyt drastyczne, by je pokazywać publicznie. Ale sam zobacz: tutaj leżą martwe kobiety, a obok kilkuletnie dzieci. Czy ktoś o tym mówi? Czy ludobójstwo chrześcijan w Nigerii kogoś na świecie obchodzi?

pastora, ale nie miał stałego zajęcia ani pieniędzy, żeby sprowadzić żonę z dziećmi. Po pięciu latach takiego życia doznał udaru. Spotkałem go, jak leżał w łóżku z podłączonym cewnikiem. Zapytałem go: „Coomiesz robić?”. Powiedział, że hodował bydło. Miał 200 sztuk. Był w swojej wiosce bogaczem. Zapytałem: „Czego potrzebujesz, żeby walczyć o rodzinę?”. Odpowiedział: „Dwóch cielaków. Gdybym je miał, to po roku mógłbym sprowadzić pierwsze dziecko”. Pojechaliśmy na targ bydła. Kupiłem mu trzy cielaki, szczepionki weterynaryjne, zapas paszy witaminizowanej. Dzięki temu wstał z łóżka. Wcześniej nie miał siły. Zabijał go brak nadziei.

Skąd masz pieniądze na pomoc?

Od ludzi dobrej woli. Czasami dają prywatnie biznesmeni, czasami jakieś firmy. Zebrzemy też po kościo-

łach, opowiadając po mszach o naszej działalności i zbierając datki do puszek. Niedawno pewien znajomy przekazał mi 500 dol. i powiedział: „Uratuj za to komuś życie. Zmień je od zera”. Dzięki takim pieniądзом jest to w Nigerii możliwe. Obserwuję, na co jest wydawana pomoc dla Afryki, np. na zakupy środków higieny, plastikowych worków na śmieci. Ludzie zużyją te miliony tubek past do zębów, ale to nie zmieni ich życia. Nasza filozofia działania jest inna: docieramy bezpośrednio do potrzebujących, rozpoznajemy ich potrzeby wspólnie z nimi i pomagamy im stanąć na nogi.

Nie boisz się jeździć w tamte rejon? W Sudanie w ciągu ostatniego roku zginęło ok. 20 pracowników organizacji humanitarnych, w Republice Środkowej Afryki przez ostatnie cztery lata – 18, a w Etiopii – co najmniej 46.

W szkole wojskowej moją specjalnością były zwiady i rozpoznawanie. Za pierwszym razem zawsze jadę sam, by nie narażać nikogo i sprawdzić na miejscu wszystko osobiście. Po drugiej wizycie mam już zbudowaną sieć kontaktów i miejscowych współpracowników, którzy tworzą nasz zespół. Dopiero za trzecim razem mogę wysłać kogoś z Polski, mając pewność, że będzie się tam poruszał w konwoju z odpowiednią ochroną.

Jakie masz plany w najbliższym czasie w Nigerii?

Chciałbym zbudować ośrodek dla wdów i sierot połączony ze szkołą rolniczą, gdzie byłyby zabudowania gospodarcze: chlewnie, obory, stodoła itd. Tam kobiety i ich najstarsze dzieci mogłyby się uczyć zawodu. Upatrzyłem już ziemię w bezpiecznej okolicy, niedaleko lotniska. Zakup nie jest drogi – 16 tys. zł za 4 ha gruntu. Mam nadzieję, że uda mi się zrealizować ten plan. Wszystko zależy jednak od hojności darczyńców. Datki można przesyłać przelewem na konto naszej fundacji.

***Fundacja Orla Straż, konto:
06 1020 1853 0000 9102 0294 3074***

**SIECI**

OPINIE

EUROWIZJA 2024

Święto europejskiej tandety

Podobno w br. transmisja finałowego koncertu miała w TVP oglądalność o niemal 2 mln mniejszą niż rok temu, sięgając łącznie poziomu 1,57 mln widzów. Z tego powodu składam rodakom serdeczne gratulacje. Chyba jak każdy normalny człowiek nie mieli zamiaru oglądać transmisji live z piekielnych kręgów. Być może będzie to stała tendencja, bo przecież ta impreza od lat słynie z taniego efekciarstwa. Zastanawia jednocześnie, kim byli ludzie, którzy zapelniali halę w szwedzkim Malmö. Ich reakcje przypominały publiczność z orwellowskich seansów nienawiści z odpowiednio dozowaną euforią i dezaprobatą.

Od bardzo wielu lat ten konkurs przebiega według jednego wzorca. Reprezentanci danych krajów zazwyczaj nie przywołują żadnych skojarzeń z ich kulturą i językiem, często również śpiewając wyłącznie po angielsku. Produkcje, będące kalkami modnych tanecznych trendów i brzmień, są do siebie podobne i nie odróżniają niczym szczególnym, zlewając się w jedną magmową konsystencję. Marina Satti zaprezentowała np. greckie podejście do jamajskiego dancehallu, hiszpańska Nebulosa przeniosła nas z powrotem do trasy koncertowej Madonny gdzieś z lat 80. Podobnie wielu innych wykonawców. Pewnym zaskoczeniem były reprezentantki Ukrainy – Alyona Alyona i Jerry Heil. Z jednej strony typowa piosenka pop z wplątanymi do tekstu postaciami Matki Teresy i Dziewicy Maryi symbolizującymi świętość, kontrastującą z przytłaczającą wojenną rzeczywistością. Ciekawostką był też może występ estońskiej grupy rapowej 5MIINUST i folkowego duetu Puuluup. Z masy tandety wyróżniła się też ormiań-

*Narwohywania o pokój,
propalestyński antysemityzm,
LGBT+, satanizm
w sosie niestrawnego kiczu,
a nawet unijny patriotyzm
przerodziły tegoroczny finał
Eurowizji w farsę*

**MACIEJ WALASZCZYK**

ska artystka Ladaniva, która na chwilę przywróciła klimat standardu Eurowizji polegającego na zaprezentowaniu utworu z motywem narodowym, na tle mocniejszych beatów i solówką na piszczałce w drugim refrenie.

Oczywiście trochę drwię, bo to po prostu dawno ograny schemat, ale występ Ladanivy był najlepszym, choć epizodycznym incydentem tego wieczora. Bo reszta to zafundowana widzom muzyczna papka, o której nieliczni już dziś krytycy muzyczni właściwie nawet nie dyskutują. Liczy się wyłącznie przekraczanie granic estetycznych i manifestacja oczekiwanych postaw: LGTB+, transgenderyzm, klimatyzm, okultyzm na tle składanych w pośpiechu politycznych obowiązujących deklaracji. Może otwarciem wrót dla tego pop horroru był już ubiegłoroczny triumf Loreen, będącej czymś w rodzaju skrzyżowania

człowieka z Predatorem? Nie wiem, bo już w 1998 r. kazano widzom oklaskiwać Danę z Izraela, a dokładnie Szarona Kohena przerobionego na kobietę, a w 2014 r. zarośniętą Conchitę Wurst.

WYGWIZDANY IZRAEL

Eurowizji przyświeca hasło „United By Music”. Coś jednak poszło nie tak, bo na fikcyjnej fasadzie międzynarodowej jedności muzycznej zaobserwować można setki pęknięć. Kiedyś potępiano Rosję i wspierano Ukraińców, teraz rozegrała się prawdziwa opera mydlana wokół kwestii palestyńskiej, przez co izraelska wokalistka Eden Golan podczas swojego występu została wybuchzana i wygwizdana. Od miesięcy i bezskutecznie próbowano nakłonić Europejską Unię Nadawców do wycofania jej z imprezy, oczywiście ze względu na działania Izraela w Gazie. Szczególnie po tym, gdy artystka swoim pierwotnym tytułem piosenki „Październikowy deszcz” wyraźnie nawiązywała do zeszłorocznych ataków Hamasu. EUN weszła więc w rolę cenzora, wskazując, że był on zbyt polityczny i poprosiła o zmianę utworu. Wobec tego Golan zaśpiewała tę samą piosenkę, ale pod zmienionym tytułem „Hurricane”.

Manifestacje solidarności z Palestyną były czujnie tropione i usuwane przez organizatora festiwalu, i to dosłownie. Bambie Thug, irlandzka i niebinarna wokalistka przebrana za Marilyn Manson, a może Belezzebuba trzeciej kategorii skrzyżowanego z gremlinem, planowała napisać na swoim ciebie jakieś propalestyńskie deklaracje, ale organizator kazał je zmyć i, co ciekawe, „querrowa wiedźma” grzecznie się zastosowała do tych nakazów.

Ten występ, szeroko komentowany, wywołujący zażenowanie i oburzenie, był chyba największą estetyczną prowokacją, jaką dotąd zafundowała nam Eurowizja. Otwartą celebracją tego, co demoniczne i jednocześnie kiczowate, bo w końcu sama wokalistka przyznawała, że jest zafascynowana czarami i okultyzmem. Musimy mieć jednak świadomość, że występ pięknej dziewczyny nawet w tego rodzaju teatralnej inscenizacji, np. afirmującej życie nienarodzonych, zabijanych w aborcjach byłby oczywiście niemożliwy. To największy paradoks, gdy dominująca i brutalnie atakująca naszą wrażliwość antykultura, nachalnie promowana w mediach, polityce i rozrywce, jest jednocześnie przekonana o tym, że to ona jest dziś wyrazem buntu i nonkonformizmu. Absurd tej sytuacji wzmaga to, że afirmacji domagają się przedstawiciele licznych mniejszości, w czasie gdy beceremonialnie atakowana była Izraelka – za to, kim w ogóle jest. W Polsce wciąż mamy to przed sobą, ale w Irlandii nie dziwi się, że Bambie Thug trafiła do konkursu, ponieważ decydująca o tym medialna oligarchia jest nastawiona na lansowanie mniejszości we wszystkich dziedzinach życia. Zdecydowała jej kreacja i tożsamość, a nie jakiejkolwiek talenty.

FESTIWAL POLITRUKÓW

Ale to nie koniec politycznych hec, jakie towarzyszyły Eurowizji. Reprezentujący Holandię Joost Klein, wykreowany na nieobliczalnego rapera z piosenką „Europapa”, podobno miał być jednym z faworytów konkursu. W końcu zachwalał w niej konsumpcję owoców zjednoczenia Europy, wzywając do jeszcze większej integracji. Być może cho-

dzi o przygotowanie dobrego gruntu pod kolejne traktaty, bo unoszący się tego wieczora w Malmö duch Związku Radzieckiego straszyl w nim nie bez powodu. Jednak – uwaga – chwilę przed finałem Joost został zdyskwalifikowany. Chyba za bardzo wziął do siebie rolę niegrzecznego rapera i „dopuszczał się niewłaściwego zachowania” wobec jednej z dziennikarek. Podobno bez jego zgody nagrywała i fotografowała jego próbę, a ten wykonał jakiś straszny gest

Tu liczy się wyłącznie przekraczanie granic estetycznych i manifestacja oczekiwanych postaw: LGTB+, transgenderyzm, klimatyzm, okultyzm na tle składanych w pośpiechu politycznie obowiązujących deklaracji

pod jej adresem, a nawet miał zniszczyć aparat fotograficzny. Zwraca uwagę również język, a raczej nowomowa, której organizatorzy użyli do wyjaśnienia sprawy, którą z pewnością można było zignorować. EUN wydała komunikat, że „prowadzi dochodzenie w sprawie incydentu”, sprawą zajęła się nawet policja, a faceta odesłano do domu, gdzie ma czekać na zdaną sprawę sądową.

W końcu zwyciężył Nemo z piosenką „The Code”, tak samo nieistotną, jak 90 proc. produkcji niaków pokazanych tego wieczora publiczności. Przebrany

w sukienkę i rajtuzy miotał się po scenie i kiepskim falsetem ogłaszał, że czuje się dobrze. W przyrodzie musi być jednak równowaga, więc kiedy on i okłaskująca go publika wpadała w euforię, mnie mdliło nawet bardziej niż przy Bambi.

Co ciekawe, do Malmö Areny można było wnieść wyłącznie flagi państw uczestniczących w konkursie oraz oczywiście tęczowe. Tym razem nie dopuszczono flag Unii Europejskiej. Krytyczne głosy podniosły się od razu wśród przedstawicieli Komisji Europejskiej, zdaniem których decyzja może przynieść korzyści eurosceptykom i „wrogom Europy” podczas nadchodzących wyborów. Kto wie? A poza tym w Gruzji organizowane są protesty z takimi samymi flagami, choć ich organizatorzy powinni również pamiętać, że siłę Putina, który dziś manipuluje gruzińskim rządem, budowała ta sama UE pod tymi samymi sztandarami.

SZMIRA I TANDETA

Michał Wiśniewski ze swoją tandetną kreacją 20 lat temu jest jednym z tych, którzy torowali drogę temu wszystkiemu, co dziś wygląda jedynie na bitwę między bandą zakochanych w sobie narcyzów. I tylko żal, że nasza podobno konserwatywna i prawicowa TVP przez lata brała w tym udział, nie próbując nawet inteligentnie strolować narzuconej konwencji i akceptując udział w tym festiwalu konformizmu. Dlatego jeszcze raz pragnę złożyć gratulację wszystkim, którzy w sobotę 11 maja zrobili sobie prezent i wyłączyli TVP. Zresztą warto ją wyłączyć na zawsze. A tym, którzy zdecydowali się oglądać ten spektakl rodem z horrorów klasy B, Eurowizja – w ramach swoich inkluzywnych polityk – powinna zaordynować terapię hipnozą, by mogli łatwiej zapomnieć o tym, co widzieli i słyszeli. Wojna ukraińska spowodowała, że z konkursu zniknęły Rosja i Białoruś. I teraz pytanie z tych retorycznych: hipotetyczni przelicytowaliby w obscenie, kiczu i tandecie oraz politycznych prowokacjach swoich europejskich konkurentów?



Po prostu Majka

Bardzo trudno pisać o Marii Dłużewskiej w czasie przeszłym. Mimo różnicy wieku byliśmy na „ty”. Bo Majka nie znosiła barier, ograniczeń. W swoim myśleniu i twórczości była niesłychanie wolna

Kiedyś mnie ochrzaniła. To było w Gdyni podczas jednego z Festiwalu NNW, gdzie spotykaliśmy się regularnie. Wpadliśmy wieczorem ze znajomymi do Klubu Marynarki Wojennej, zaproszono nas na imprezę. Trwał jeszcze recital Ewy Dąkowskiej, a my, wchodząc prosto z plaży, być może byliśmy o pół tonu zbyt głośni. Majka się wkurzyła, zbesztala nas jak nauczycielka niesfornych uczniów. Najpierw mnie to zaskoczyło, ale dosłownie chwilę później zrozumiałem, jak ważny dla niej był szacunek dla sztuki i artystów. To dlatego wybuchła, choć później, po występie aktorki, bawiła się dobrze (i głośno) z nami wszystkimi.

Majka była Damą, nie jestem odosobniony w tej opinii. Elegancka i wytworna, bez kompleksu wieku, ubioru i towarzystwa, które wybierała sobie sama. Powtarzała to wielokrotnie – że w życiu nie chce mieć do czynienia tylko z chamami. Wszyscy inni bardzo ją interesowali. Wciąż miała w sobie młodzieńczą pasję do zdobywania wiedzy i kształcenia siebie, choć przecież przez jej osiągnięcia oraz życiową mądrość należałoby ją raczej stawiać w gronie profesorskim.

Kiedyś mnie zadzwoniła – to historia o tym, jak była pokorna. I mówi: „Mam z IPN mnóstwo zdjęć. To zeznania morderców ks. Popiełuszki. Musi z tego powstać film”. To było jasne, każdy twórca marzy o takim materiale. A u Majki pojawiły się wątpliwości. Nie była pewna, czy dając mówić mordercom (bo takie było artystyczne założenie), nie sprawi, że ich kłamliwą wersję ludzie przyjmą po prostu jako prawdę. Pytała o to kilka osób, do których miała zaufanie. To był zresztą jej stały numer, własne badanie opinii. Proszę tylko nie pomyśleć, że nie ufała swojej intuicji, o nie! Ale uważała, że opinia zewnętrzna sprawi, że to, nad czym pracuje, po prostu będzie lepsze. Co za dojrzałość, co za pokora. I solidność, bo Majka zawsze starała się robić swoje filmy najlepiej, jak to możliwe.

Film „Ksiądz” powstał ostatecznie w 2016 r. Majka opowiadała, że przyplaciła tę pracę załamaniem zdrowotnym. „Montowałam w domu, miałam tych morderców u siebie codziennie od 10 do 18”. Miała problemy ze snem, dostała wysypki. Codziennie chodziła do kościoła, by „złapać tego ducha” ks. Jerzego, potem przez półtora roku omijała świątynie. Ale dała nam niezwykle studium zbrodni,



weszła w logikę ludzi opętanych komunizmem na tyle, żeby zabijać. To jednocześnie hołd i spłata długu. Bo Majka często mówiła, jak ogromny wpływ miały na nią żoliborskie msze za ojczyznę.

Miałem niezwykle szczęście, że tyle razy mogłem z nią rozmawiać. Nie tylko na potrzeby wywiadów telewizyjnych czy prasowych. Po prostu gadaliśmy, bo była gadułą.

Ale ponad wszystko Majka umiała słuchać. I chciała słuchać, to wynik tej jej ciekawości świata i chęci brania się za tematy trudne. Tutaj musi paść hasło: Smoleńsk. Kiedy my, dzienni-

karze, po tragedii 10 kwietnia skupiliśmy się na relacjonowaniu i opisywaniu rzeczywistości, która nas przytłoczyła, ona od razu zdecydowała, że należy sięgnąć głębiej. I opowiedzieć to po swojemu, drążąc, a także nadając swoim obrazom artystyczny wymiar.

Spójrzmy na same tytuły pierwszych jej filmów. Zrobione wspólnie z Joanną Lichocką: „Mgła” (2011) i „Pogarda” (2011). Czyż nie to trawiło nas, Polaków, w tym czasie? Czyż nie mieliśmy (nadal mamy) poczucia, że nad tą tragedią zawisła jakaś upiorna tajemnica? Że zamiast ją odkrywać, polskie państwo postanowiło wykluczyć tych, którzy domagali się prawdy? Majka bardzo się z tym nie zgadzała. Z dumą maszerowała w gronie tych „wykluczonych”. To dlatego zyskała takie uznanie, szacunek, często przyjaźń rodzin ofiar 10 kwietnia.

Mimo niesłychanego talentu i bardzo ważnych filmów nie zrobiła kariery w III RP i nie zyskała uznania w tzw. środowisku artystycznym. Uznała, że Smoleńsk jest sprawą ważną, więc przypięto jej łatę. Nie można jej było oczywiście nie zauważyć, ale nigdy nie była „swoja” dla tych, którzy skupili się raczej na tym, by robić sobie „tu polew” ze „smoleńskiej sekty”. Pójście swoją drogą to był jej wybór, dokonała go wiele lat wcześniej.

Z komunizmem nie pogodziła się nigdy. Miała na niego swój sposób. Teatr domowy (była przecież po szkole aktorskiej) i konspiracja o wydźwięku raczej radykalnym. To dlatego zawsze blisko jej było do Solidarności Walczącej. Te tropy także odnajdziemy w jej filmografii, którą niezmiennie polecam. Patrząc na ten zestaw filmów z pewnego dystansu, widać jedno. Jej prawdziwą obsesją była Polska. I Polacy. To o nas i naszej ojczyźnie opowiadała Majka Dłużewska. Przez całe życie.

Marcin Wikło

Fot. TVP

Armia jak z Sienkiewicza

Zdobycie 18 maja 1944 r. przez 2. Korpus Polski dowodzony przez gen. Władysława Andersa wzgórze Monte Cassino wraz ze znajdującym się na nim klasztorem było ostatnią wielką bitwą Wojska Polskiego, w której uczestnicy wywodzili się niemal z kart historii Rzeczypospolitej Obojga Narodów. Niczym na stronach „Trylogii” Henryka Sienkiewicza tworzyli istną mozaikę wyznaniową, a co za tym idzie narodowościową

Fot. NAC

**ANDRZEJ RAFAŁ POTOCKI****PAWEŁ MIKOŁAJ ROZDŹESTWIEŃSKI**

To oni, ludzie z Kresów Wschodnich, w znakomitej większości rekruci do armii Andersa, tworzyli bojowy trzon 2. Korpusu Polskiego. Należeli do tysięcy zesłańców deportowanych w głąb ZSRS po 17 września 1939 r. Ponieważ do armii Andersa mogli wstępować wszyscy obywatele Polski, oprócz Polaków znaleźli się tam Białorusini, Ukraińcy, Żydzi, Tatarzy, Litwini, Ormianie, a także polscy Karaimi, mniejszość etniczna pochodze-

nia tureckiego wyznająca karaimizm, która w średniowieczu przybyła ze swych pierwotnych siedzib na Krymie na ziemie Wielkiego Księstwa Litewskiego i Rusi Czerwonej.

EKUMENICZNE BRATERSTWO BRONI

Ramię w ramię do bitwy stanęli w jednym szeregu żołnierze września 1939 r., kampanii norweskiej i francuskiej 1940 r., więźniowie łagrów



i obozów koncentracyjnych oraz obrońcy Tobruku. Ludzie, którzy spod niemieckiej i sowieckiej okupacji przedzierali się przez dziesiątki granic, aby móc założyć mundur Wojska Polskiego. Ludzie o różnych poglądach społecznych i politycznych, którzy zrozumieli, że ich zadaniem jest walka o Polskę i jej samostanowienie. Pochodzenie i dumę z własnej różnorodności żołnierze zawarli w Marszu 2. Korpusu Polskiego: „Może były między nami jakieś kwasy / Ten z Narwiku, tamten znów angielski lord, / A ten trzeci spod Tobruku, / A ten czwarty z Buzułuku, / Połączyło nas Cassino, klasztor, fort”.

Sowieci bardzo szybko spostrzegli, że budowa polskiej armii jest nadzieją nie tylko dla Polaków. 1 grudnia 1941 r. władze ZSRS ogłosiły, że za obywateli polskich uważają jedynie osoby narodowości polskiej, natomiast Białorusini, Ukraińcy, Litwini i Żydzi będą traktowani jako obywatele sowieccy i jako tacy nie mogą wstępować do polskiego wojska. Przeciwnie nierównemu traktowaniu obywateli II RP natychmiast zaprotestował polski ambasador Stanisław Kot. Brytyjski historyk Norman Davis napisał w swojej książce „Szlak nadziei. Armia Andersa. Marsz przez trzy kontynenty”: „W Armii znalazł się też kontyngent Litwinów mówiących po litewsku, którzy zeszli się razem w Buzułuku i utworzyli tam własny batalion. Śpiewali piosenki w swoim języku i mieli własny żółto-zielono-czerwony proporczyk”. Kpt. Eugeniusz Szymczak tak wspominał relacje między żołnierzami: „My nie mieliśmy nigdy żadnych kłopotów. Byliśmy wiernymi braćmi, żołnierzami. [...] Czy muzułmanie, czy tam prawosławni, czy Żydzi, [...], to byli wszyscy koledzy”. Podczas wieczornych rozmów między żołnierzami mieszały się ze sobą języki dawnej Rzeczypospolitej: polski, litewski, białoruski, ukraiński i ormiański. Zmęczeni trudną służbą w szpitalach polowych niektórzy lekarze i sanitariusze Żydzi wymieniali ze sobą uwagi również w jidysz.

Ten cały ludzki konglomerat związany wspólnymi przeżyciami, wędrowkami i chęcią służby w Wojsku Polskim w maju 1944 r. przystąpił do bi-

twy o Monte Cassino. W słynnej pieśni „Czerwone maki na Monte Cassino” jest fragment: „Czy widzisz ten rząd białych krzyży?”. I choć rzeczywiście to łacińskie krzyże dominują na cmentarzu żołnierzy polskich pod Monte Cassino, to nie stoją tam one samotnie.

Ponieważ przed II wojną światową przynależność etniczną np. w rocznikach statystycznych określano wyznaniem, religia i narodowość tworzyły wspólną całość. W 2. korpusie posługę duszpasterską pełniło 57 kapelanów. Służyli oni 55,5 tys. wiernym wyznania

W 2. korpusie posługę duszpasterską pełniło 57 kapelanów. Służyli oni 55,5 tys. wiernym wyznania katolickiego, w tym 2,1 tys. grekokatolikom. Poza nimi było jeszcze 3 kapelanów dla 2342 wiernych wyznania prawosławnego, 2 kapelanów dla 838 wiernych wyznania mojżeszowego oraz dla 325 wiernych wyznania ewangelickiego

katolickiego, w tym 2,1 tys. grekokatolikom. Poza nimi było jeszcze 3 kapelanów dla 2342 wiernych wyznania prawosławnego, 2 kapelanów dla 838 wiernych wyznania mojżeszowego oraz dla 325 wiernych wyznania ewangelickiego.

Ówczesna prasa żołnierska („Parada” nr 25[44]/1944) opisuje bohaterstwo i ofiarę wojskowych kapelanów: „We Włoszech legło na polu chwały dwóch [katolickich] kapłanów, rannych jest siedmiu. Pod Cassino oddał życie karmelita o. August Huczyński, rażony pociskiem. W innej bitwie zabity został ks. Stanisław Piotr Targosz, magister

św. teologii. Ks. Lisowski, ciężko ranny w szczękę dolną i język, dotychczas jeszcze nie odzyskał mowy”.

Ekumeniczne braterstwo broni jest widoczne w miejscach pochówku poległych żołnierzy. Położony najdalej na południe, najmniejszy z czterech cmentarzy wojennych 2. Korpusu Polskiego we Włoszech powstał wiosną 1944 r. jako pierwszy stały cmentarz, a jego geneza wiąże się z utworzeniem w Casamassimie polskiego Szpitala Wojennego nr 1, przemianowanego następnie na 5. Szpital Wojenny, który stał się największą bazą sanitarną 2. Korpusu Polskiego. Liczba spoczywających tu polskich żołnierzy waha się, zależnie od źródła, od 427 do 431. Są to polegli w walkach na linii Gustawa nad Sangro, zmarli w szpitalu wojskowym w Casamassimie oraz szpitalach Bari i Neapolu w wyniku ran odniesionych pod Monte Cassino i w kampanii adriatyckiej, lotnicy 1586. Eskadry do Zadań Specjalnych z Brindisi oraz żołnierze zmarli w tym rejonie po zakończeniu walk we Włoszech. Jak na każdym polskim cmentarzu wojennym we Włoszech, wśród dominujących grobów katolików znajdujemy mogiły żołnierzy prawosławnych, wyznania mojżeszowego oraz muzułmanów. Cmentarną bramę zdobioną metalowymi odlewami warszawskich syrenek zwieńcza jakże trafna inskrypcja – cytat z drugiego listu św. Pawła do Tymoteusza: „Bonum certamen certavi fidei conservavi – ideo reposita est mihi corona iustitiae” („Dobry bój stoczyłem, wiarę zachowałem, a teraz oczekuje mnie wieniec sprawiedliwości”).

„JUŻ PO MNIE, PANIE PORUCZNIKU”

Starcie pod Monte Cassino stało się również częścią historii co najmniej dwóch narodów: białoruskiego i ukraińskiego. Obie te narodowości z dumą wspominają swój udział w walkach 2. korpusu. O udziale Białorusinów w bitwie o Monte Cassino wielokrotnie pisał tamtejszy historyk dr Igor Mielnikow, który podkreśla, że walka Białorusinów w armii Andersa stała się elementem wojskowych tradycji białoruskich, a ci

byli dumni ze służby w Wojsku Polskim podczas II wojny światowej. W poprzednim dziesięcioleciu ukazało się kilkanaście publikacji, a przedstawiciele ówczesnych władz Białorusi podkreślali, że pod Monte Cassino poległo 177 żołnierzy narodowości białoruskiej. Dziś pamięć o Białorusinach z 2. korpusu przechowywana jest przede wszystkim przez historyków związanych z antyłu-kaszenkowską opozycją.

Wśród tych, którzy w 1941 r. znaleźli się w szeregach odrodzonego Wojska Polskiego, był pochodzący ze wsi Budcza w rejonie hancewickim obwodu brzeskiego Białorusin Iwan Klewczenia. Przed wojną służył w batalionie KOP „Ludwikowo”. 17 września 1939 r. jednostka ta walczyła przeciwko Armii Czerwonej w składzie brygady KOP „Polesie”. Po jednej z bitew znalazł się w sowieckiej niewoli. Białorusinów służących w Wojsku Polskim NKWD zwykle wypuszczało do domów, ale KOP-istów utożsamiano z funkcjonariuszami służb specjalnych i kierowano do obozów jenieckich lub do pracy przymusowej. Iwan Klewczenia został przydzielony do jednej z kopalni węgla w Ukraińskiej Socjalistycznej Republice Sowieckiej. W sierpniu 1941 r. wstąpił do armii Andersa, gdzie został wcielony do 3. Dywizji Strzelców Karpackich 2. Korpusu Polskiego i w ramach tej formacji brał udział w bitwie pod Monte Cassino we Włoszech, gdzie został ciężko ranny w nogę. Za bohaterstwo i odwagę odznaczono go Krzyżem Monte Cassino. Ponadto Białorusin otrzymał cztery brytyjskie medale.

A tak Melchior Wańkowicz, wybitny pisarz i korespondent wojenny, w słynnej książkowej relacji „Monte Cassino” opisywał bohaterstwo jednego z białoruskich żołnierzy: „Pepance ponownie podejmują kanonadę. Niezwłocznie artyleria niemiecka kieruje na nie ogień. Pocisk pada między rozwarcie ogonów jednego z dział. Obsługa kontuzjowana, kanonier Siemieniuk, Białorusin, zostaje ciężko ranny. »Już po mnie, panie poruczniku – mówi Siemieniuk do por. Ptaszka. – Małom wojował. Panie poruczniku, czy nasi pobijają?«. A sam – już sinieje. Znieśli go na dół. Tymi ośmiuset metrami skalistego stoku, na który wciągał lufę. Tą mulą ścieżką od

cmentarzyka hinduskiego. Znieśli go do jaru. »Ramzes«, kpt. Różański, uniesiony odruchem odpiął swój Krzyż Walecznych otrzymany w Libii i przypiął na piersiach »prawosławnego«”.

Jeśli chodzi o Ukraińców (zarówno prawosławnych, jak i grekokatolików, zwanych potocznie unitami), to włączyli oni walki o Monte Cassino do oficjalnych obchodów państwowych już w 2014 r. Jako jeden z przywoływanych bohaterów ukraińskich II wojny światowej jest poległy pod Monte Cassino Mychajło Pankowicz. Ukraińcy pod-

Jako jeden
z przywoływanych
bohaterów ukraińskich
II wojny światowej jest
poległy pod Monte Cassino
Michajło Pankowicz

kreślają, że był on zdobywcą jednego z pierwszych betonowych niemieckich schronów podczas bitwy. W Łucku dzięki współpracy tamtejszych Polaków z Ukraińcami jednemu ze skwerów nadano imię gen. Władysława Andersa. Na Ukrainie historię 2. Korpusu Polskiego i bitwy o Monte Cassino bada m.in. dr Taras Pilipowicz.

Ponownie oddajmy głos Wańkowiczowi, tym razem o jednym z Ukraińców: „I kiedy umierający [pplk Władysław Kamiński] kończył życie krwawą koronką odmawianą po polsku, stary żołnierz Marciszonok, który chodził za nim jak niańka, który powłókł się za nim, nie zmuszany, do bitwy, przypadł do trupa: »Kak ty zhoriel – krzyczał stary, trzęsąc się – ja ciebie kazau, szto ty nie chadziu...«. A przy polowym łóżku zgarbiony czeka dr Horowitz (starozakonny) i pisze list do młodej żony, którą właśnie zaślubił i zostawił w Palestynie. »To dziś 15 maja – imieniny mojej żony«. »Byliśmy jak bracia – pisał jeden z żołnierzy pochodzenia białoru-

skiego – Razem przeszliśmy sowieckie piekło. W papierach miałem zapisaną narodowość białoruską, byłem też prawosławny. Nigdy nie miałem z tego powodu żadnych nieprzyjemności«”.

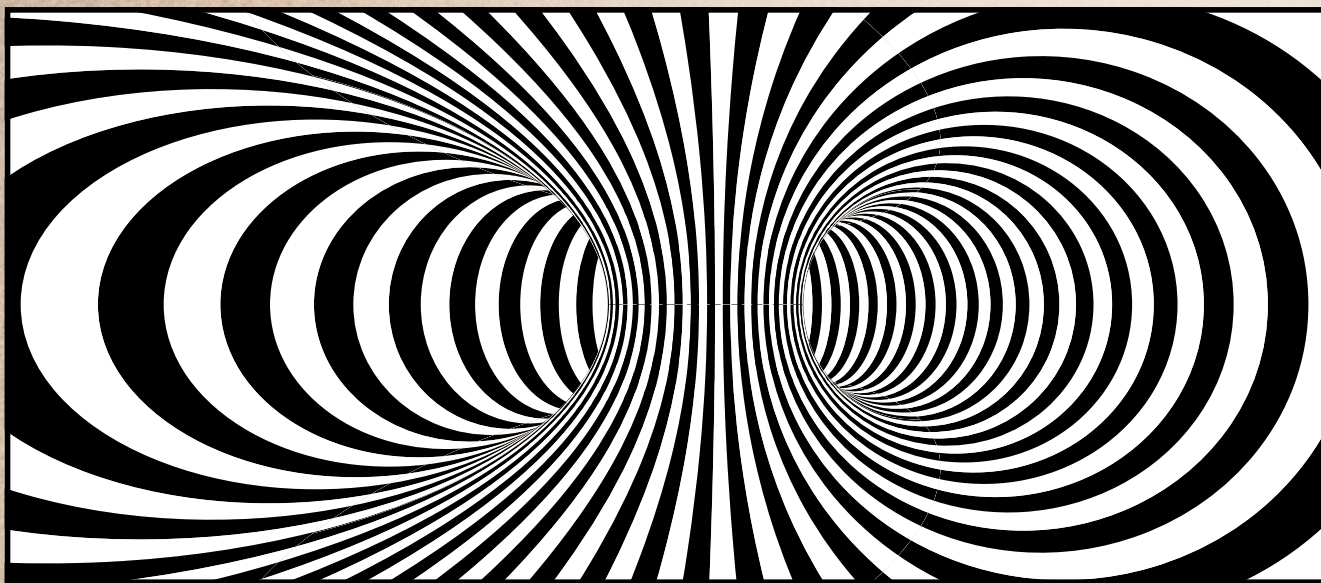
Na Litwie opublikowano akta NKWD poświęcone żołnierzom 2. Korpusu Polskiego, 17 z ponad 50 dotyczy Litwinów i ich prześladowaniu za służbę w polskim wojsku. Warto wspomnieć, że żołnierze powracający z Włoch do republik sowieckich byli poddawani szczególnie prześladowaniu ze strony komunistycznego aparatu bezpieczeństwa, a na początku lat 50. XX w. większość z nich została aresztowana i deportowana. Rodziny i sami żołnierze niszczyli często osobiste pamiątki, zdjęcia i elementy umundurowania, aby uniknąć oskarżeń i aresztowania.

PO PROSTU WOJSKO POLSKIE

Na koniec warto zacytować Jana Józefa Kasprzyka, b. szefa Urzędu ds. Kombatantów i Osób Represjonowanych: „Armia Andersa była też przykładem armii, która reprezentowała całą mozaikę narodowościową II Rzeczypospolitej. To czyniło nasz kraj wspaniałym i wyróżniającym się na tle europejskim organizmem państwowym. W armii Andersa byli Żydzi, Ukraińcy, Białorusini, Litwini, byli też Polacy różnych wyznań, co do dziś widać na cmentarzach, bo nagrobki zwieńczone są krzyżem katolickim, ale i protestanckim czy prawosławnym. Są też oczywiście i żydowskie macewy, ale i nagrobki tatarskie. Odwiedzając cmentarze wojenne związane z odyseją 2. Korpusu Polskiego dotykamy tej Rzeczypospolitej, której już niestety nie ma. Moim zdaniem Polska bez Kresów, a zatem też tej mozaiki wielonarodowościowej, wielokulturowej jest zdecydowanie uboższa”.

Gen. Władysław Anders wspominał zaś po latach: „2. korpus był zróżnicowany pod względem narodowościowym i wyznaniowym. Mimo to przedstawiał jednolitą całość i rozzdzielków pod tym względem nie było. Było to po prostu Wojsko Polskie”.

*Dr Paweł Mikołaj Rozdźestwieński
jest głównym specjalistą w Biurze
Edukacji Narodowej w Instytucie
Pamięci Narodowej*



Sztuka w służbie TERRORU

Sztuka nowoczesna już od ponad wieku jest przede wszystkim zaangażowana politycznie i ideologicznie, a jej estetyczna rola stała się co najmniej drugorzędna. Niewielu jednak zdaje sobie sprawę, że sztuka XX w. została wprost wykorzystana do nękania i zabijania przeciwników politycznych. Oto mało znany epizod z hiszpańskiej wojny domowej

Scena z przecinaną źrenicą z surrealistycznego filmu krótkometrażowego „Pies andaluzyjski”, który Luis Buñuel nakręcił we współpracy z Salvadorem Dalím, wciąż jest uznawana za jedną z najbardziej szokujących w dziejach kina, choć minęło niemal 100 lat od jej powstania. Nagranie takiego epizodu było ponoć marzeniem samego twórcy, uzasadniał go koniecznością wprowadzenia widza w stan traumatycznego szoku, aby móc zawiązać nim i wywołać potem pożądane swobodne kojarzenie idei.

Jeszcze bardziej wstrząsający, a niemal nieznany, jest fakt, że właśnie w ten sposób torturowano więźniów w czasie hiszpańskiej wojny domowej. Niejedyny to niestety przypadek, gdy majaki i wizje artystów stały się podpowiedzią dla oprawców, w jaki sposób torturować swoich zakładników.



MAŁGORZATA WOŁCZYK

SZOKUJĄCA BRUTALNOŚĆ

Zacznijmy jednak od początku. Już niemiecki filozof przełomu XVIII i XIX w. Friedrich Schlegel mawiał, że właściwym przedmiotem sztuki nie jest to, co piękne, lecz to, co interesujące, a także szokujące, groteskowe i nieprzyzwoite. Kryterium

wartości sztuki stała się reakcja odbiorcy – im silniejsza, tym bardziej pożądana. Z całą pewnością nie śniło się nawet filozofom, że sztuki można używać do zadawania cierpień fizycznych. I nie mówimy tu o pięknoduchach czy melomaniach, którym przyjdzie się zetknąć z disco polo czy „utworami” prezentowanymi na Eurowizji. Artykuł ten dotyczy faktów jak najbardziej udokumentowanych z wojny domowej w Hiszpanii, którą zwykło się nam przedstawiać fałszywie już

od czasu komunizmu jako zwycięstwo demokratów nad faszystami, a która była raczej zrywem narodowym i wolnościowym przeciw ideologom komunizmu, socjalizmu, anarchizmu występujących wspólnie pod nazwą Frontu Ludowego.

To zwolennicy owej „demokracji ludowej”, którzy w 1936 r. rozpętali prześladowania katolików w Hiszpanii na miarę tych, które trwały w Rzymie za czasów Nerona, zbudowali też ok. 450 izb tortur, tzw. checas (od akronimu Czeki, czyli tajnej sowieckiej policji) na podległych sobie terytoriach. O torturach z przecinanym okiem wspominał protokół prokuratora biorącego udział w późniejszym procesie przeciw oprawcom z Rządu Republikańskiego Murcji. W więziennych celach używanych przez Wojskową Służbę Informacyjną Hiszpańskiej Armii Republikańskiej w latach 1937–1939 ofiary poddawano wszelkiego rodzaju karom i upokorzeniom w celu wymuszenia zeznań.

„Czerwony terror” w Hiszpanii miał na swym sumieniu najwymyślniejsze tortury, których przykłady są bardzo liczne. Przywołajmy dwa z nich. Bł. Juan Duarte Martín, 24-letni kleryk z Malagi, był rażony prądem w genitalia, wkładano mu drzazgi pod paznokcie, do jego celi wprowadzano dziewczynę z zadaniem uwiedzenia go, a gdy zamiar się nie powiódł, obcięto mu genitalia brzytwą i „podarowano” jej. Po wielu dniach tortur, którymi oprawcy nie mogli go złamać, maczetą rozcięli go od dołu do góry i napelnili brzuch benzyną. Gdy płonął, wybaczył swoim oprawcom i wznosił okrzyk: „Niech żyje Chrystus Król”. Proboszcz parafii kościoła Matki Bożej El Carmen w Murcji don Sotero González Lema, zanim został publicznie spalony, był związany i wleczony, a po drodze ucięto mu rękę, genitalia, ucho (które potem jego prześladowca kazał usmażyć w pobliskim barze i zjadł przy świadkach). Prześladowania, jakim poddawano nie tylko ludzi Kościoła, lecz także zwyczajnych parafian, do tej pory szokują skalą brutalności.

WIEZIENIA „PSYCHOTECHNICZNE” I PSYCHODELICZNE

Kiedy wiosną 1937 r. w Katalonii rozpoczęły się starcia między anarchistami i komunistami (których ofiarą stał się też George Orwell), lewicowe władze Barcelony zbudowały system więziennictwa identyczny z sowieckim, aby przeprowadzić czystki wśród swoich, a także anihilować przeciwników sympatyzujących z gen. Francisco Franco. Badacze twierdzą, że w 46 katowniach Barcelony zginęły co najmniej 8352 osoby.

Hiszpańscy „demokraci ludowi” nie poprzestali na wytycznych sowieckich agentów, ale wymyślili wyrafinowaną formę tortur zwaną „metodami psychotechnicznymi”. Polegała ona na ozdobieniu celi rysunkami geome-



trycznymi, które przyprawiały więźnia o zawroty głowy i omamy wzrokowe. Rysunki w izbach tworzone na podobieństwo niektórych dzieł malarzy abstrakcjonistów, dadaistów, twórców Bauhausu. Zaczęto je budować jeszcze przed wojną w maju 1938 r. i nigdy nie pokazano ich zagranicznym dziennikarzom, którzy przekazywali relacje z terytorium opanowanego przez Front Ludowy, dlatego przez wiele dekad niewiele osób wiedziało o ich istnieniu.

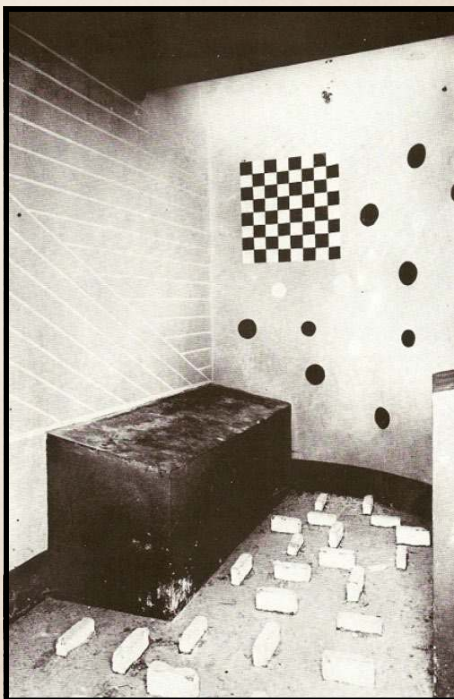
To były w zasadzie jaskinie o wysokości nie więcej niż ok. 2 m, szerokości 1,5 m i długości 2 m o ścianach pokrytych smolą, tak że dobiegające światło słoneczne wytwarzało w nich nieznośny upał. Więzień nigdy nie mógł odpocząć, bo zaprojektowany podest do spania o 20-proc. nachyleniu powodował spadanie w czasie snu. Co gorsza, więzień, który chciałby rozprostować nogi i „przejść” się po 2-m celi, nie był w stanie tego zrobić, bo potykał się o przymocowane, rozrzucone cegły i geometryczne bryły zaprojektowane tak,

aby uniemożliwić ruch. Gdy próbował usiąść i patrzeć przed siebie, miał przed sobą ścianę pokrytą wzorami kolorowych figur, kół, wirujących kropek i spiral. Pod wpływem światła powstawało optyczne wrażenie ich ruchu, co prowadziło do stanów nerwowych, halucynacji i zaburzeń nerwowych.

ARTYSTA TORTUR

Projektantem tych katowni (tzw. komórek kolorowych w Barcelonie) był Alphonse Laurencic, o czym dowiedziano się dopiero po latach. Archiwum gazet Hiszpańskiej Biblioteki Narodowej (BNE) milczało na temat człowieka, który dał się poznać jako wielki promotor, ideolog i budowniczy jednych z najbardziej okrutnych cel więziennych w historii.

Urodził się w 1902 r. pod Paryżem, ale był synem małżeństwa Austriaków. W Hiszpanii przedstawiał się jako dyrygent orkiestry, malarz, architekt



i inżynier, a także były oficer Legii Cudzoziemskiej. Przybył do Barcelony w latach 20. XX w. i założył nawet orkiestrę jazzową, bardzo cenioną w eleganckich sferach Katalonii. Był też członkiem lewicowo-anarchistycznych syndykatów CNT i CGT. Po wybuchu wojny w 1936 r. dzięki znajomości siedmiu języków został zatrudniony w Wydziale Porządku Publicznego. Został aresztowany przez swoich towarzyszy pod pretekstem jakiegoś przewinienia, ale zaproponował wtedy strażnikom swoje usługi jako projektant obiektów i narządzi tortur, tym bardziej że tęsknił za wystawnym i bogatym życiem, jakie wiódł przed wojną.

Oprócz cel psychotechnicznych, halucynogennych Laurencic zaprojektował np. „dziedziniec egzekucji”, w tym „studnię”, czyli wąską dziurę, do której spuszczano zawieszonych więźniów za nogi i podtapiano. Jego pomysłem były też „łodówki”, czyli wąskie komórki wyłożone cementem, które filtrowały wodę ze zbiornika umieszczonego na górze. Pomieszczenie stało się prawdziwą łodówką, w której więźniowie spędzali godziny w ciemności i przy akompaniamencie specyficznego „metronomu”, emitującego przesywający i ciągły sygnał dźwiękowy, doprowadzający więźniów do skrajnej rozpacz.

Austriak pozostał na stanowisku „artysty tortur” aż do zdobycia Barcelony przez frankistów. Aresztowany stanął przed sądem wojskowym, a na procesie twierdził, że realizował tylko rozkaz niejakiego Garrigósa, który według niego wiedział o projektowaniu tego typu katowni np. w Walencji. Przyznał, że wymyślone przez niego cele z użyciem diabolicznego połączenia światła, zimna, wody, figur geometrycznych rujnowały psychikę więźniów i powodowały stany halucynacji, „gorączki szaleństwa”, a przede wszystkim łamały morale i ułatwiały wymuszanie zeznań. Jak przystało na konformistę pozbawionego honoru i sumienia, 9 lipca 1939 r. zanim pluton rozstrzelał Laurencica, ten podniósł rękę i zasalutował na cześć gen. Franco, mając może nadzieję na ocalenie.

Piwnice i lokale stworzone do tępienia przeciwników rewolucji powstawały też za radą i instrukcjami sowieckiego gen. Aleksandra Orłowa, odpowiedzialnego za doradztwo techniczne swoim towarzyszom z Frontu Ludowego. „Doradztwo” obejmowało kopiowanie metod NKWD i repertuaru jego zbrodniczych praktyk: przywiązywanie stóp i rąk ofiary do stołu i wbijanie drewnianych lub metalowych drzazg w paznokcie, wstrzykiwanie tzw. banderilli (zakazony zastrzyk wody zmieszanej z fekaliami), ćwiczenie pozorowanej egzekucji i wiele bestialskich praktyk.

BEZ ROZLICZEŃ

Tym, co szokować może dzisiejszego czytelnika, jest fakt, że partia, która *de facto* wywołała wojnę domową w Hiszpanii, czyli PSOE (Hiszpańska Socjalistyczna Partia Robotnicza), i ugrupowania, które instalowały katownie za podszeptem sowieckich towarzyszy: PCE (Partia Komunistyczna Hiszpanii) i ERC (Lewica Republikańska Katalonii), również dziś są u władzy i nigdy nie rozliczyły się z „czerwonego terrorem”. Niestety wciąż są powtarzane mantry, jakoby to dzielni republikańscy walczyli z faszystami, choć w chwili wybuchu wojny falanga nie miała nawet ani jednego reprezentanta w parlamencie.

Już od 1934 r. było za to wiadomo, że lider PSOE Largo Caballero dążył do narzucenia rewolucji komunistycznej przemocą. Zachował się nawet wiele mówiący dokument sowieckiego agenta Władimira Antonowa-Owsiejenki, który pisał do komisarza Nikołaja Krestinskiego: „Osobiście wierzyłem i wierzę, że w Katalonii nie ma faszyzmu, a wojna tutaj toczy się przeciwko hiszpańskiej armii i hiszpańskiemu klerykalizmowi”.

Owszem, narodowcy też mieli swoje więzienia, ale legalne, zaopatrywane przez wojskowych, funkcjonujące podług przepisów stanu wojennego. Tymczasem komunistyczne i „psychotechniczne” katownie instalowano jakby specjalnie w przejętych przez „demokratów ludowych” kościołach, jak kościół Vallmajor i klasztor San Juan przy ul. Saragossa w Barcelonie, a także klasztor Santa Ursula w Walencji. Znamienne też, że dekadencje kierunki w sztuce, jak dadaizm, Bauhaus, twórcy typu Mark Rothko czy Wassily Kandinsky zainspirowali projektantów wyrefinowanych katowni. Alphonse

Laurencic, artysta tortur, udowodnił, że można nimi trwale okaleczyć człowieka lub zniszczyć nerwowo. Więźniowie, którzy przeżyli, mówili, że nawet 30 lat później nie mogą zamknąć oczu, aby nie widzieć wirujących kropek czy spiral.

Tymczasem w Hiszpanii od paru lat lewicowi politycy wymienionych wyżej partii uwzięli się na ogromny krzyż z bazyliki w Dolinie Poległych (pozostający największym w Europie) i szukają pretekstu, aby go obalić i zniszczyć jako symbol dyktatury Franco. Widok majestatycznego krzyża na tle gór pod Madrytem ponoć drażni ich wrażliwą duszę lewicowca. To, że lewica hiszpańska kulturuje w sobie barbarzyńskiego ducha, od dawna nie dziwi. To, że Polska staje się podobnie „postępowa” i zapatrzona w hiszpański rząd, musi nas niepokoić.

Hiszpańscy „demokraci ludowi” wymyślili wyrafinowaną formę tortur zwaną „metodami psychotechnicznymi”. Polegała ona na ozdobieniu celi rysunkami geometrycznymi, które przyprawiły więźnia o zawroty głowy i wzrokowe omamy. Rysunki tworzone na podobieństwo niektórych dzieł malarzy abstrakcjonistów, dadaistów, twórców Bauhausu

K

ULTURY



Na aktorskiej. arenie

Swoją rolę połączyła spektakularny projekt sprzed ponad dwóch dekad z jego kontynuacją. W „Gladiatorze 2” Ridleya Scotta Connie Nielsen znów wciela się w Lucyllę. Jej dorosłego syna gra Paul Mescal, walcząc o kreację na miarę Maximusa w wykonaniu Russela Crowe’a

Fot. Shutterstock



JOLANTA GAJDA-ZADWORNA

Gladiator 2” wkroczy na międzynarodową arenę kinową 22 listopada. Rosnące emocje i oczekiwania widzów regularnie podgrzewają zakrojone na szeroką skalę działania promocyjne. Ostatnio głośno zrobiło się o produkcji przy okazji testowych pokazów w USA. Reakcje pierwszych widzów – jak można się było spodziewać – potwierdziły powstanie spektakularnego widowiska. Czy jednak więcej było w tych ocenach obiektywizmu czy marketingu?

Sceptycy przypominają, że po podobnych projekcjach arcydziełem okrzyknięto m.in. poprzedni film Scotta – „Napoleon”. Przy „Gladiatorze 2” gra toczy się o jeszcze większą stawkę.

WSZYSTKO ALBO NIC

Budżet filmu, szacowany pierwotnie na 165 mln dol., w trakcie zdjęć wzrósł do 310 mln (także za sprawą aktorskich strajków trwających w Hollywood). W tej sytuacji sequel oscarowego hitu stał się jedną z droższych produkcji w dziejach kina. Trudno będzie odzyskać włożone środki, nawet przy wielkim frekwencyjnym sukcesie.

Przypomnijmy, że zrealizowany w 2000 r. pierwszy „Gladiator” kosztował 100 mln dol. Zarobił ponad 460 mln. Wśród licznych nagród zdobył te najważniejsze: pięć Oscarów (dla najlepszego filmu, aktora pierwszoplanowego, efektów specjalnych, kostiumów i dźwięku). Sukces produkcji w dużej mierze opierał się na zrealizowanych z rozmachem i fantastycznie sfilmowanych scenach, a także na poruszających indywidualną historię, mistrzowskich kreacjach.

„Gladiator” wyniósł na niebotyczny poziom globalnego uwielbienia australijskiego aktora Russela Crowe’a. Wrył też w pamięć widzów rolę Joaquina Phoenixa. Głównych antagonistów, poza dramatycznym w skutkach uwi-



kłaniem we władzę, łączyła postać Lucylli – córki Marka Aureliusza i starszej siostry cesarza (w przeszłości związanej uczuciowo z Maximusem), matki Lucjusza, którego bezpieczeństwem – niczym kartą przetargową – manipulował Kommodus.

KARKOŁOMNE ZADANIE

Lucyllę (ponownie graną przez Connie Nielsen) zobaczymy również w „Gladiatorze 2”. Będzie zarówno fabularnym, jak i aktorskim łącznikiem z poprzednią produkcją. Po pokazach testowych aktorka zebrала znakomite recenzje z sugestiami szansy na Oscara.

W główną postać męską (starszego o 20 lat Lucjusza, w pierwszym filmie grał go dziecięcy aktor Spencer Treat Clark) wcielił się Paul Mescal. 28-letni Irlandczyk, któremu drogę do Hollywood otworzył miniserial „Normalni ludzie” (2020), a rola w „Aftersun” (2022) zapewniła pierwszą oscarową nominację, dostał karkołomne zadanie. Czy uda mu się powtórzyć sukces Russela Crowe’a (w roku premiery „Gladiatora” 36-latką), przekonamy się w listopadzie. W materiałach, które podgrzewają atmosferę, niewiele jest scen z tą postacią, jakby twórcy chcieli zachować jej „eksplozję” na czas premiery.

W DRODZE DO KINA

Na razie najpewniejszą aktorskiego zwycięstwa pozostaje Connie Nielsen, tworząca kobietą postać, która nie daje się przytłumić w męskim świecie igrzysk – tych historycznych i współczesnych (męska obsada „Gladiatora 2” zapowiada niejeden aktorski pojedynek, skoro na planie boju znaleźli się Denzel Washington, Joseph Quinn, Pedro Pascal czy Derek Jacobi).

Urodzona w Danii (w 1965 r.) Connie Nielsen wyjechała z rodzinnego kraju jako 18-latką. Studiowała, podróżowała i pracowała m.in. w Paryżu, Rzymie oraz Mediolanie. Szukała filmowych zadań, a także brała udział w profesjonalnych pokazach mody. Często była w drodze. Chętnie podkreśla, że dzięki uprawianemu zawodowi może docierać do różnych zakątków świata. Międzynarodowe produkcje z jej udziałem zaprowadziły ją m.in. do Kanady, Jordanii, Maroka i Australii.

KLUCZOWE ROLE

Aktorskim przełomem stała się dla niej rola w filmie „Adwokat diabła” (1997 r., gdzie zagrała u boku Charlize Theron, Ala Pacino i Keanu Reevesa). Potem był „Gladiator” i postać wyjątkowej cesarskiej matki (co przypominamy przy okazji święta, na świecie obchodzonego najczęściej w drugą niedzielę maja, a w Polsce 26 maja). Potem mogliśmy ją oglądać w filmach, takich jak „Misja na Marsa” czy „Zimne dranie”. Za rolę w duńskim dramacie „Bracia” w 2005 r. otrzymała nominację do Europejskiej Nagrody Filmowej.

Niecałą dekadę temu dołączyła do uniwersum Marvela, przyjmując rolę królowej Amazonek Hippolity (jej filmową córką jest księżniczka Diana, znana jako Wonder Woman). W 2022 r. zagrała tytułową rolę w duńskim serialu, którego była pomysłodawczynią: „Marzycielka – Stając się Karen Blixen”.

Biegle mówi w sześciu językach: duńskim, angielskim, francuskim, niemieckim, włoskim i szwedzkim. Jest mamą dwóch synów: Sebastiana i Bryce’a Ulrich-Nielsena (w latach 2002–2012 była związana z Larsem Ulrichem z grupy Metallica). Ponoć ma imponującą kolekcję luksusowych okularów przeciwsłonecznych.

Kobra odrodzona. Joe Alex po latach

Michał Kotański, nowy szef Teatru Telewizji, ogłasza odrodzenie tej instytucji. Teza, że ostatnie osiem lat to w tej sferze czarna dziura, brzmi ryzykownie. Co w takim razie począć choćby z bardzo dobrym „Hamletem” w reżyserii Kotańskiego? TVP pokazała to przedstawienie w „niesłusznym” 2019 r.

Teatr Telewizji nie działał kilka ostatnich miesięcy w następstwie chaosu wywołanego zmianą władz TVP, potem procesem fikcyjnej likwidacji. Prawda, po 2020 r. ekipa Jacka Kurskiego mocno go ścisnęła – do jednej premiery miesięcznie. Krytykowałem to. Ale czy w ogóle nie powstały ciekawe spektakle? A co z nagradzanymi na festiwalach Dwa Teatry produkcjami Igora Gorzkowskiego, Wojciecha Adamczyka, Wawrzyńca Kostrzewskiego, Kingi Dębskiej? Stracili talent? Byli pupilkami poprzedniej władzy? No nie.

W maju Teatr Telewizji ruszył ponownie. Na pierwszy ogień poszedł monodram Krystyny Jandy „Zapiski z wygnania” według tekstu Sabiny Baral, emigrantki z Marca 1968 r. Była to manifestacja ideowo-polityczna w podwójnym sensie. Tematyki żarliwego potępienia antysemityzmu. I powrotu na ekran samej Jandy, przez osiem lat, pytanie z czyjej inicjatywy, nieobecnej w produkcjach TVP.

Druga majowa premiera jest o tyle zaskakująca, że autor adaptacji powieści Joe Alexa i reżyser spektaklu „Powieść o tym, jak zginął”, aktor Marek Bukowski, pracował dla TVP za poprzedniej władzy. I to za niej pojawił się pomysł reaktywacji telewizyjnej Kobry oraz tego spektaklu.

Joe Alex to tłumacz literatury angielskiej Maciej Słomczyński. W PRL pisał powieści kryminalne, których głównym bohaterem był literat, a zarazem detektyw amator o nazwisku autora. Jako licealista zaczytywałem się tymi książkami. Erudycyjne opisy brytyjskich realiów musiały budzić w obywatelu prząsnętego PRL podziw, choć i pytanie, ile w tym prawdy, a ile zmyśleń. Kryminalne zagadki były koronkowe. Wizerunki postaci ciekawe, gęste.

Ta powieść pochodzi z 1959 r. Co zostało z tamtego klimatu u Bukowskiego? Wstęp jest efektowny. Joe Alex jedzie w gości do przyjaciela z wojska, naukowca, który ginie już pierwszej nocy. Nim to się dzieje, dostajemy zgrabny portret kilku postaci zgromadzonych w jego domu. Jest miłośny trójkąt, są niejasne rozgrywki. Jest klimatyczna kulminacja, kiedy Sara Drummond, aktorka, żona gospodarza, grana suggestywnie przez Romę Gąsiorowską, recytuje dla gości kawałek „Orestei” Ajschylosa. To z niej pochodzi tytułowy cytat.

Potem jest już niestety gorzej. Bukowski niby sprawnie prowadzi aktorów, ale chwilami upraszcza na potęgę. Joe Alex Grzegorza Małeckiego właśnie stracił przyjaciela, ale spływa to po nim jak po kaczce. Jest automatem do rozwiązywania zagadki. Kiedy zbliżamy się do finału, napotykamy na coraz większe nieprawdopodobieństwa psychologiczne. Rozwiązanie okazuje się niejasne, słabo wytłumaczone. Jakby nie starczyło na nie czasu, choć nowe kierownictwo TVP wydłużyło czas emisji tych teatrów do półtorej godziny.

Tyle że... Tym, którzy zakrzykną, że w dawnych Kobrach tak nie było, odpowiem: ależ było. Fabularnie bywały one klarowniej-



sze, ale w tych spektaklach zawsze mieliśmy sporo konwencjonalnej umowności. Logika układanki triumfowała nad psychologią. Małecki, Gąsiorowska, a także tacy wytrawni wyjadacze, jak Jan Wiczorek, Rafał Gąsowski, Sebastian Stankiewicz czy Mariusz Jakus, dali z siebie tyle, ile zostawiono im miejsca na wizerunek postaci. Pełne uznanie dla Konrada Żygadły, który szczególnie subtelnie zagrał przestraszonego chłopca Philipa Davisa. Pozostając z niedosytem, ale i z nadzieją, że kolejne Kobry pozwolą na to, czemu teatr także służy: na dobrą rozrywkę. 

Piotr Zaremba

Duchowy nazizm

W Malmö na zenującej imprezie muzycznej na tle satanistycznych symboli, wystąpił niedawno zupełnie niezły muzycznie zespół z Irlandii. Transgresja marketingowa zadziałała i zaczęła się g...burza. Wokalistka zespołu oświadczyła: „Nie jestem satanistką, nie praktykuję niczego poza czarami. A w naszym utworze nie ma ani słowa o szatanie”. Cóż, argument słaby. W piosence z filmu „Kabaret” śpiewanej przez blond cherubinkę w mundurze Hitlerjugend też nie było ani słowa o mordowaniu Żydów. A mimo to ta piosenka o słonku i kwiatkach była zastrawiającą propagandą nazizmu.

Pentagram, na tle którego wystąpiła Bambie Thug, to symbol satanistyczny. Negowanie tego nic nie zmienia, tak samo jak nie miałyby znaczenia przekonanie dziecka, że zawleczka, którą wyciągnęło z granatu, to wykalczka.

Często w takich sytuacjach pada argument, iż posługujący się satanistyczną symboliką i retoryką nie traktują tego poważnie. „To jest styl muzyki, a nie satanizm” – mówią. Czy jeśli ktoś będzie publicznie promował „Main Kampf”, nie spotka się z ostracyzmem? Choćby się *post factum* dystansował do nazizmu? Czy kogokolwiek by rozgrzeszono z epatowania na scenie brunatną koszulą i nazistowskim pozdrowieniem? Choćby twierdził, że była to tylko sceniczna stylizacja?

W tym jednym jeszcze ludzie zachodniej kultury są zgodni. Nazizm to czyste zło. Ale satanizm również. Może nawet: bardziej.

O tym jak płynna jest granica pomiędzy satanizmem kultycznym a satanizmem zespołów rockowych/metalowych, którego motywy są powiązane z dążeniem do rozgłosu i zwiększenia sprzedaży, niech świadczy historia nastolatki, o której już tutaj pisałem. Karolina słuchała muzyki zespołu King Crimson trzy, cztery, pięć godzin dzien-

nie. Zanurzała się w niej, utożsamiała z jej bohaterem, Karmazynowym Królem. Po roku poczuła wrogą obecność wokół siebie, która zaczęła towarzyszyć jej stale. Była dręczona obsesyjnymi myślami, skłaniana do autodestrukcji. Zakończyło się egzorcyzmami. Robert Fripp, lider King Crimson, pisał o swojej fascynacji satanizmem.

Czy to odosobniony przypadek? Być może. A jeśli nie? Zresztą, niech tych skrzywdzonych osób będą jedynie dziesiątki czy setki, samo dopuszczenie do głównego nurtu zespołów flirtujących z duchowym nazizmem jest aberracją.

Stawianie w centrum uwagi satanistycznych znaków i otaczanie ich propagatorów aurą sukcesu jest znakiem samobójczych tendencji współczesnej kultury. Tym bardziej że nie wszyscy artyści uważają kult szatana za zabawę. Oprócz „bawiących się konwencją” występują rytualni wyznawcy szatana. Czczący demona. Oszukani wizją, iż mogą uzyskać nad nim władzę.

Przepiękna 16-latką, najbardziej popularna licealistka w 40-tys. miasteczku, kochana i kochająca córka, wiceprzewodnicząca szkoły popełniła samobójstwo. Nikt nie był w stanie zrozumieć, co się stało. Śledztwo ujawniło, że osiem miesięcy przed śmiercią Kasia zaczęła korespondować z blackmetalowym muzykiem z Norwegii. Weszła w głęboką relację. Otworzyła się na idee, które głosił. Nigdy się nie widzieli. Mężczyzna w osiem miesięcy z radosnej nastolatki zrobił samobójczynię. Nie był w Polsce, wszystko odbyło się przez internet. Do niczego jej nie zmuszał.

Młodzi ludzie zaczynający słuchać ciemnej muzyki nie mają świadomości, że są manipulowani. Śpiewają, powtarzając za wokalistami inwokacje, w których zawarte są niekiedy inicjacyjne frazy. Po kilku miesiącach, po roku, może mieć to duchowe konsekwencje. Manipulowany słuchacz jest nieświadomy, że w ten sposób daje przyzwolenie



ROBERT TEKIELI

nie złu na działanie już nie z zewnątrz, a od wewnątrz, że zaprasza zło do swojej duszy.

Satanizm to wynalazek ery nowożytnej. Ale aż do połowy XX w. był skrywany na wstydliwym marginesie. Od 50 lat satanistyczne rytuały pojawiają się w przestrzeni publicznej coraz częściej. Najgłośniejszym tego typu wydarzeniem było otwarcie w czerwcu 2016 r. w Szwajcarii Gotthard Base Tunnel, 57-km najdłuższego tunelu na świecie. Uroczystości towarzyszyła rytualna satanistyczna drama, odgrywana w obecności kanclerz Angeli Merkel, prezydenta François Hollanda, premiera Włoch Matteo Renzi, premiera Liechtensteinu Adriana Haslera i kanclerza Austrii Christiana Kerna.

Kultura jest formą życia społecznego, której sensem jest kultywowanie dobra, mądrości, piękna i pożytku. Stawianie w świetle reflektorów symboli przynależności do kultu zła i brzydoty jest destrukcyjne dla społeczeństwa. Tak samo neopogańskie czary, które praktykuje nasza Bambie Thug, i którymi się chwali.

Dzieci lubią naśladować młodych celebrytów. Oswajanie z kultem zła to czyste zło. Bambie, jeśli tego nie rozumiesz, wystąp w mundurze SS na tle swastyki i podnieś rękę w nazistowskim pozdrowieniu. Wtedy na pewno zrobisz wielką karierę. Nie wystąpisz? Czemu? 

**WOJNA****CYWILIZACJI**

Ewentualnie „*Córka króla moczarów*” to solidne kino, jednak bez błysku, ogląda się, ale bez zachwycenia. Akcja zaczyna się na bagnach Michigan, z dala od cywilizacji. Trzyosobowa rodzina i – kiedyś normalne, dziś survivalowe – życie w konfrontacji z naturą. Wchodzimy w idylliczny świat oglądany oczyma dziecka. 10-letnia Helena uczy się polować, rozumieć naturę, w ojca jest wpatrzona jak w obrazek. Na jej ciele pojawiają się kolejne tatuaże mówiące o kolejnych stopniach wtajemniczenia w proste, pionierskie życie. W ten bukoliczny świat skrapiany krwią upolowanych jeleni wdzierają się miastowy na quadzie i ginie z ręki ojca, a matka, ogłuszywszy wyrrywającą się dziewczynkę, ucieka do dalekiego miasteczka. Słuchająca zeznań matki Helena dowiadyuje się, że jej wiecznie narzekająca, zamknięta w sobie matka została uprowadzona lata temu, a ona sama urodziła się w niewoli. Mamy tu wątek toksycznej socjalizacji: zaburzony ojciec i córeczka tatusia, mamy topos więzienia bez ścian, wszechobecnego fałszu i autentyczności nienormalności. Wszystko, w czym wyrastała dziewczynka, okazuje się kłamstwem, chorym wymysłem toksycznego ojca. Helena była jego cieniem, bez niego nie istniała. A zimny chów oznaczał też wrzucanie jej na wiele godzin za jakieś małe przewiny do zimnej i głębokiej jamy.

Po dwóch dekadach ojciec wychodzi z więzienia i mająca już córeczkę oraz męża Helena musi się zmierzyć z przeszłością. Broni swojego dziecka, konfrontuje się z ojcem – z tym, który ją ukształtował. Zresztą zgodnie z wpojona przez niego zasadą: zawsze chronić najbliższych. Jest to więc film o dojrzewaniu i pewnie wielu innych rzeczach, ale zbyt słabo angażuje widza, bym miał ochotę o tym rozprawiać.

Warte Lubie, gdy przy pisaniu o popkulturze pojawiają się we mnie emocje. I tak jest w tym przypadku. Po kilku latach ponownie obejrzałem film „*Król Artur: Legenda miecza*”. Niby wielorasowa bzdura – jeden z ważniejszych rycerzy Okrągłego Stołu jest Murzynem, inny Azjatą. Jednak nakręcona z takim narracyjnym zamachem – z maestrią posługująca się fabularnym skrótem, przy jednocześnie, gdzie trzeba, solidnie opowiedanej historii – że ponownie obejrzałem film i jeszcze chwilę potem we mnie pracował.

W głównej roli charyzmatyczny Charlie Hunnam („Synowie anarchii”, „Rebel Moon”), dalej jest równie dobrze: Eric Bana (Star Trek”, „Hulk”, „Troja”), Jude Law („Sherlock Holmes”, „Utalentowany pan Ripley”), Astrid Bergès-Frisbey („Piraci z Karaibów: Na nieznanach wodach”, „Alaska”), Aidan Gillen („Prawo ulicy”, „Gra o tron”). A przecież nie na tym świetnym aktorstwie ta fabuła stoi.

Już pierwsza scena „Króla Artura” wprowadza nas w serce trwającego od setek tysięcy lat starcia, wojny toczzonej od momentu, gdy Stwórca tchnął sumienie w nozdrza naszego humanoidalnego przodka. Widzimy początki zachodniej cywilizacji, jej starcie z wcześniejszym, plemiennym, szamańskim porządkiem. Porządkiem woli mocy symbolizowanej przez rozdarcie – jelenie, demoniczne rogi. A na drugim biegunie – korona, będąca symbolem cnoty, aureoli, znakiem panowania nad rozrywaniem żądzami ludzkim wnętrzem. Krwawy świat Molocha, Lewiatana, Syreny, gdzie moc zyskuje się, składając w ofierze ukochaną osobę kontra świat logosu i rycerskich wartości. Świat przedabrahamowy kontra świat zarania naszej cywilizacji, gdzie prawdziwy Bóg powstrzymuje ofiarniczą rękę z nożem, by potem samemu oddać za nas swojego syna. A z tego przedustawnego rozróżnienia reżyser i współscenarzysta Guy Ritchie zgrabnie wywodzi początek tej arturiańskiej fabuły z centralnym wątkiem prawowitej i uzurpowanej władzy. Kain i Abel, władza grzechu i autorytet władzy budowany na sprawiedliwości i cnocie.

W „Królu Arturze: Legendzie miecza” mamy wszystko. Biblijne dziecko przyniesione przez fale i władcę z dolów społecznych, z kryminalnego marginesu, i bliską mi ideę szlachectwa, nie pochodzenia, a zasługi. Genialne są sekwencje sceny walki, gdy Artur, zaakceptowawszy wreszcie swe powołanie, zaczyna walczyć używając Excalibura, symbolu prawego namaszczenia władcy. Efekty specjalne mogą być używane dla samych siebie, tu zaś mamy przedstawiony za ich pomocą jeden z lepszych konceptów obrazowania nadnaturalnej mocy, tak chętnie używanej we wszelkiej proweniencji mitologiach uzasadniających konieczność trwania panującego właśnie porządku.

Anglosasi zdominowali świat ostatnich dwóch stuleci. Warto się przyjrzeć, jak postrzegają swoje korzenie i samych siebie.

Robert Tekieli, Polskie Radio

Skald młodszy **Jacek Zieliński** (1946–2024)

Choć od kilku lat chorował, do samego końca występował na scenie i planował udział w kolejnych koncertach. Bóg definitywnie je jednak odwołał.

Początkiem kariery Skaldów było zwycięstwo na festiwalu w Opolu w 1966 r. Jacek trafił do zespołu za namową brata Andrzeja i wymyślili nazwę grupy. Wyróżniał się muzycznym wykształceniem i niezwykłą skalą głosu, co w piosenkach pełnych beatowo-rockowej energii podlanej tatrzańskim charakterem i klasycyzującą, a nawet barokową stylizacją dawało kapitalny efekt. Nic dziwnego, że w swych poszukiwaniach Skaldowie sięgali do folkloru, bo przecież w jego żyłach płynęła góralska krew. Ojciec Zielińskich był skrzypkiem w orkiestrze radiowej, a matka, góralka, miała być spokrewniona, jak mówili, z połową Zakopanego i taką samą liczbą podhalańskich muzyków.

Zespół istniał do 1981 r., gdy w czasie koncertów za oceanem ogłoszono stan wojenny. Andrzej został w Ameryce, ale Jacek wrócił, choć nie wznowił działalności. Powrót na scenę, zresztą udany, z przebojem „Nie domykajmy drzwi”, nastąpił w 1987 r., choć były to już zupełnie inne czasy, nastały inne muzyczne mody i wciąż nie było ukształtowanego rynku muzycznego. Tymczasem w latach 60. i 70. należeli do najpopularniejszych wykonawców. „Medytacje wiejskiego listonosza”, „Króliczek”, „Prześliczna wiolonczelistka”, „Wszystko mi mówi, że mnie ktoś pokochał” to tylko kilka z ich kilkudziesięciu znakomitych piosenek. W 1970 r. po powrocie z tournée po USA i Kanadzie, który wydłużył się ze względu na rejs „Batorym”, spóźnili się na rozpoczęcie roku akademickiego, za co zostali skreśleni z listy studentów. Nie wrócili jednak do studiowania, nagrywając w krótkim odstępie czasu dwie znakomite płyty: „Od wschodu do zachodu słońca” i wspomniane „Krywań”. Właśnie to pewne wyrafinowanie z beatlesowską melodią i muzyką Podhala słychać w kilkunastominutowym „Krywaniu, Krywaniu”, gdzie na dodatek pojawiały się motywy Borodina i Musorgskiego. Jacek grał również na trąbce, choć jego głównym instrumentem były skrzypce. Pod koniec lat 70. współpracował z Piwnicą pod Baranami, komponował muzykę religijną, m.in. do koled Leszka A. Moczulskiego „Betlejem polskie”. Swoim śpiewem pieśni „Bóg bogaty w miłosierdzie” witał Jana Pawła II w Sanktuarium Miłosierdzia Bożego w Łagiewnikach w 2002 r. Stworzył muzykę z płyty „Modlitwy za Ojczyznę wielkich Polaków” z recytacjami Jana Budziaszka, perkusisty zespołu.



Maciej Walaszczyk

Był chodzącą encyklopedią polskiego jazzu i muzyki rozrywkowej. „Zielono mi” śpiewaną przez Andrzeja Dąbrowskiego albo „Kolega maj” czy „Żyć kolorowo” z repertuaru Ewy Bem to diamenty polskiej muzyki rozrywkowej, których szlifierzem był jazzman, saksofonista Jan Ptaszyn Wróblewski. Taki hitów skomponował zresztą więcej, m.in. dla Maryli Rodowicz, Alibabek czy Andrzeja Zauchy. Tworzył również muzykę filmową i teatralną. Podobno skomponował 500 utworów, w tym cztery koncerty symfoniczne.

„Ptak”, bo tak mówili do niego muzycy, w charakterystycznej czapeczce z daszkiem to jeden z naszych ikoncznych jazzmanów. Wywoływał też pewne kontrowersje, bo choć był pełnym weny improwizatorem i pilnym uczniem Krzysztofa Komedy, od lat 80. zarzucano mu pewną wtórność. Zdaje się, że po prostu przywiązywał największą wagę do harmonii i aranżacji, nadawał swojej muzyce swingujący klimat, pozostając wiernym jazzowi w odmianie raczej klasycznej. Takiej, jaką usłyszał w kinie, będąc nastolatkiem, czy wyłapał z fal z chodnich stacji radiowych. Jako aranżer pasjonował się opracowywaniem nowych wersji różnych utworów muzyki poważnej i rozrywkowej – od Griega do Szpilmana.

Król saksofonu **Jan Ptaszyn Wróblewski** (1936–2024)



Był też pedagogiem, dziennikarzem i konferansjerem. „Trzy kwadransy jazzu” w środy w radiowej Trójce wychowały całe pokolenia fanów tej muzyki. Audycja powstała w 1970 r. właśnie dzięki „Ptakowi”, był bowiem także świetnym gwiazdą, co udowadniał nawet na scenie.

Zadebiutował w Sekstecie Krzysztofa Komedy na Festiwalu Jazzowym w Sopocie w 1956 r. Dopiero po kilku latach zamienił saksofon barytonowy na tenor. Był pierwszym polskim jazzmanem, który w 1958 r. wystąpił na festiwalu jazzowym w Newport (USA), gdzie zagrał z Louisem Armstrongiem. W tym samym roku wystąpił również podczas pierwszej edycji festiwalu Jazz Jamboree, który organizował Leopold Tyrmand. Zaczynał w czasach najtrudniejszych, gdy muzyka ta była zwalczana przez władze komunistyczne. Swing, bebop i jazz tradycyjny stały się bowiem manifestacją wolności i indywidualizmu. Grał z wieloma formacjami, był aktywny do samego końca. Podczas parady poprzedzającej sopocki festiwal z 1956 r. niósł wraz z kilkoma młodzieńcami symboliczną trumnę z hasłem: „Polska muzyka rozrywkowa”. Pogrzeb, odroczony wtedy na dekady, chyba nieuchronnie właśnie nadchodzi.

Polityczna filozofia praktyczna

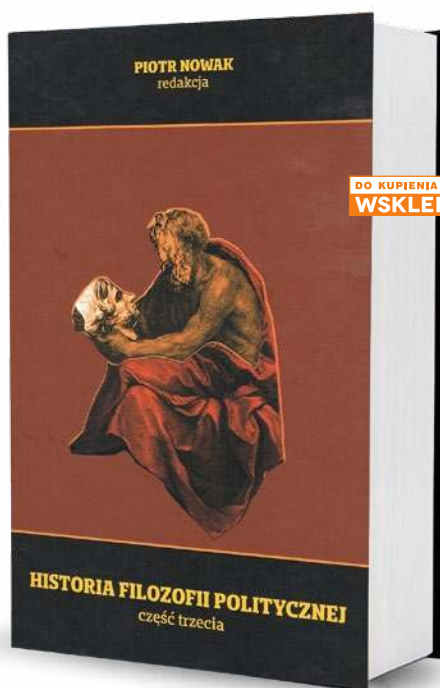
Zdaniem Leo Straussa filozofia polityczna jest podstawą całościowej wiedzy o źródłach i celach polityki, jej praktyce. Prof. Piotr Nowak chce według własnej koncepcji kontynuować to zamierzenie

Polski przekład „Historii filozofii politycznej” wydanej pod redakcją Leo Straussa i Josepha Cropseya ujrzał światło dzienne ponad dekadę temu. Zbór ten z tekstami m.in. o Platonie i Arystotelesie, świętych Augustynie i Tomaszu, Machiavellim, Hobbesie, Kancie, Heglu, Marksie czy Heideggerze stał się swego czasu aktem założycielskim neoklasycznej „szkoły Straussa”. Po drodze pojawił się tom drugi, a teraz otrzymujemy trzeci, oba pod redakcją prof. Piotra Nowaka, a w nich teksty uzupełniające pierwotne dzieło z sylwetkami Sokratesa, Mojżesza, Homera, presokratyków i sofistów, Dantego i Shakespeara, Kantorowicza i Voegelina, Jüngera i Schmitta. W każdym z kolejnych tomów znajdujemy również eseje poświęcone polskim myślicielom (Słowacki, Mickiewicz, Kościuszkowie itd.). Ich jakość nie jest niestety równa ze względu na fatalne ujęcie tematów, choć zachowany zdaje się być pierwotny cel, jakim było przedstawienie ich myśli nie jako relikwii dawno minionej epoki, ale czegoś i kogoś wciąż bardzo aktualnego. Strauss był np. przekonany, że tylko filozofia klasyczna dostarcza narzędzia potrzebne do zrozumienia fenomenu współczesnej tyranii, a więc totalitaryzmów zrodzonych przez nowożytność.

Co więc przynosi nam tom trzeci? Otóż już u Hezjoda pojawia się namysł nad polityczną antropologią, m.in. wrodzoną rywalizacją jako podstawowym komponentem społeczeństwa, a także zasadami dobrego życia (praca, prawość, życzliwość, nabożność). Presokratycy, których przedstawia sam Nietzsche, przekonani o nieustannej zmianie i odnawianiu się rzeczywistości w kolejnych przesileniach (wojny, kryzysy), podpowiadają, że tylko mądrzy są przeznaczeni do władania głupimi, nawet wtedy, gdy klóci się to z demokratycznym wyznaniem wiary. Używają przy tym języka oderwanego od doświadczenia, żonglując pojęciami, a ich celowa dwuznaczność ujemnie wpływa na dyskurs polityczny. Brzmi znajomo, dlatego natychmiast dochodzimy do znakomitego eseju o sofistach – dla demokratów będących prekursorami oświecenia, a dla zwolenników Platona niebezpiecznych dema-

gogów i fałszerzy zasługujących na eliminację. Jednak okazuje się, że Arystoteles, krytykując stanowisko Platona, sformułował kilka podstawowych zasad rozumienia polityki poprzez rehabilitację metody sofistów. Jest tak wtedy, gdy dochodzi do wniosku, że miasto-państwo zakłada i musi zachować „wielość obywateli”, podczas gdy Platon postuluje jego hierarchiczną „homofonię”. Barbara Cassin zwraca uwagę, że jeśli greccy sofisci ponieśli klęskę, to odrodzili się w czasach rzymskich, odchodząc od filozofii i tworząc nową formę literatury, będącą, jak pisze autorka, kulturowym awataram politycznego konsensusu, który dzięki pax romana rozprzestrzenił się na cały znany wtedy świat. Po chwili w jego przestrzeń wkracza chrześcijaństwo, świadomość, że to Bóg staje się człowiekiem, a nie odwrotnie. To Wergiliusz, jak pisze Theodor Haecker, mości mu drogę do serc i umysłów, które Rzymianie przyjmują jako zwycięzcy. Także dzięki Wergilemu poznajemy słowo „kultura”, które stopniowo nabiera znaczenia politycznego i którego najbardziej wyrafinowane formy stają się gruntem dla wschodnich, przyniesionych wszak przez Żydów, pojęć chrześcijańskich. Zapowiadane Królestwo Boże jednak nie nadchodzi, więc pojawia się wyzwanie postępującej z wiekiem do sekularyzacji. Z pomocą przy-

chodzi nam m.in. Sergio Quinzio, którego myśl przybliżył Ivan Dimitrijew. Włoski filozof pomaga nam zrozumieć moment, w jakim znalazła się dziś cywilizacja zachodnia. Tutaj nie wystarczy świadomość jej grecko-rzymskich korzeni, lecz wywiedzionych z Biblii inspiracji hebrajskich i żydowskiej eschatologii, która wraz z chrześcijaństwem przekształciła politykę w to, co było nie do pomyślenia w czasach starożytnych – działanie zbawcze. Polityka ma polepszać warunki życia, gwarantować pokój i bezpieczeństwo oraz odnosić doczesny sukces. A tutaj dochodzimy już do totalitarnych mirażów ideologii lewicy i ich różnych odcieni, od czerwonego przez brunatny do tak popularnego dziś zielonego. ▀



„Historia filozofii politycznej. Część trzecia”,
pod red. Piotra Nowaka, Fundacja Augusta
hr. Cieszkowskiego 2024

STANISŁAW BOBER*

Między Kenmare a Łukowem



Do Krynicy-Zdroju – gdzie były kręcone zdjęcia do 6. edycji programu „Sanatorium miłości” – przyjechałem z dość daleka. Od 19 lat mieszkam w Kenmare. To turystyczne miasteczko leżące na południowym zachodzie Irlandii, w hrabstwie Kerry. Jest niewielkie (ma może 4–5 tys. mieszkańców), ale niezwykle urokliwe. W porze letniej robi się tu bardzo wesoło i gwarno. Przyjeżdża dużo turystów: Francuzi, Niemcy, Hiszpanie, a także sporo gości np. z USA. Sezon zaczyna się 17 marca, kiedy przypada dzień św. Patryka, patrona Irlandii.

W Kenmare mieszkam od 2005 r. Najpierw trafiłem tu na rekonesans – moja córka Julka już tu była. Wyjechała do Irlandii na wakacje zaraz po szkole średniej. Od października miała studiować pedagogikę, ale postanowiła zostać. Przetarła szlaki mnie i swojemu rodzeństwu (siostrom: Paulinie i Cecylii oraz bratu). Do dziś został tu tylko syn. Jedna córka mieszka w Anglii, druga na Słowacji, trzecia w Australii.

W Polsce pracowałem jako elektryk i automatyk, w Irlandii parę razy się przekwalifikowywałem – po zdaniu egzaminu byłem pomocnikiem elektryka na budowach. Potem poszedłem na kurs, żeby zatrudnić się w ochronie. Trafiłem do ekskluzywnego hotelu. Po cięciach etatowych w ciągu roku zrobiłem kolejny kurs, tym razem na sanitariusza.

Od kilku lat jestem na emeryturze. Spędzam czas aktywnie. Pewnie dlatego znajomi – i z Polski, i z Irlandii, którzy oglądali wcześniejsze edycje „Sanatorium miłości”, tak mnie namawiali do wzięcia udziału w programie. Mówili, że to program dla mnie. I rzeczywiście, przygoda była wspaniała.

Do Irlandii wyjechałem z Łukowa [historycznego miasta liczącego ok. 28 tys. mieszkańców – przyp. red.] leżącego 120 km od Warszawy w stronę Siedlec. Mamy tam rodzinny dom, do którego z chęcią wracamy. Dzieciaki również. Doskonale się tam czujemy, bo każdy kącik jest nam znany. Ale lubię też Kenmare oraz jego bliższe i dalsze okolice. Hrabstwo Kerry jest bardzo malownicze, ma piękne szlaki i Park Narodowy Killarney. Goście z różnych stron świata doceniają jego uroki. I ja też.

Czas na emeryturze spędzam, jak już wspominałem, aktywnie: biegam, jeżdżę na kolarce szosowej, chodzę po okolicznych górach. Niewysokich, bo najwyższy szczyt Irlandii Carruntuohil (30 km od Kenmare) liczy raptem 1039 m n.p.m. Inne wzniesienia mają od 600 do 900 m n.p.m. Między nimi leży przełęcz na zatokę Oceanu Atlantyckiego. Pięknie tam jest.

Kiedy siadam na kolarkę, pokonuję 50–70 km. Lubię docisnąć z tempem, włożyć spory wysiłek, ale też zdarzało się – jeśli dobra pogoda zapowiadała się na cały dzień – że wsiadałem na rower o 8.00, przejechałem czterdzieści parę km do plaży, trochę na niej pobylem i ruszałem do domu.

Udział w „Sanatorium miłości” sprawił, że ostatnio częściej i dłużej byłem w Polsce. Co teraz zamierzam? Jeśli miałbym wrócić do kraju, a rozważam i taką opcję, to do rodzinnego Łukowa. Warszawa, którą też bardzo lubię, jest blisko – wsiadam w pociąg i po godzinie jestem w stolicy. Ale na codzienne życie wybrałbym Łuków.

Notowała **Jolanta Gajda-Zadzworna**

*Król 6. turnusu programu „Sanatorium miłości”



SŁODKO-SŁONY



WILCZYM OKIEM

Kwiatki na stole

ANNA MONICKA

Nie jestem kwiatożercą z prawdziwego zdarzenia, ale wobec niektórych trudno mi przejść obojętnie. Zwłaszcza gdy mają wyrazisty smak. Już w dzieciństwie byłam smakoszką tych, które pojawiają się na grochodrzewach, zwanych u nas akacjami. Piękne drzewa rosły gęsto na naszej działce, a wiosną ich zapach przyprawiał o zawrót głowy. Babcia smażyła czasem kiście kwiatów w cieście naleśnikowym, co bardzo doceniały przybyłe na podwieczorki ciotki, ale my, dzieciaki, woleliśmy podrapać sobie ręce, żeby zebrać świeże grona prosto z krzaka i potem wysysaliśmy z nich, kwiatek po kwiatku, słodki nektar. Bzów się nie tykało, napawaliśmy się ich zapachem. Co innego jaśminowce – te zrywaliśmy i wrzucaliśmy do herbaty oraz do woreczków zapachowych, które trzymało się w bieliźnie.

Latem nadchodził czas lipy – rosła przy werandzie i miała chyba ze 100 lat. Ususzone kwiaty przez całą jesień i zimę ratowały nas od przeziębień. Ale najsmaczniejsze były te od szczypiorku, a właściwie cebuli siedmiolatki. Przed kuchennym oknem mieliśmy małą rabatę, a na niej wśród mięty, melisy i tymianku rosły właśnie te cebulki. Gdy zakwitły, wyglądały prześlicznie – fioletoworóżowe, na strzelistych ciemnozielonych łodygach, ostro pachnące, świetne do sałatek, surówek, makaronów. I to nie tylko jako ozdoba, bo wspaniale prezentują się także w bukietach i jeśli często wymieniamy im się wodę, postoją tydzień albo i dłużej. Ja też je mam i za każdym razem, gdy obok nich przechodzę, podskubuję kwiatek lub dwa i zjadam. Nie wyobrażam sobie bez nich twarożku na śniadanie.

Są bardzo zdrowe, podobnie jak popularne listki chroń przed przeziębieniami, wspomagają trawienie, działają przeciwmiażdżycowo. Udekorowana nimi sałata Cezar – z rumianymi czosnkowymi grzankami i startym parmezanem – smakuje wybornie. Jeśli dodacie do niej plátky piersi kurczaka z grilla, z dodatku zamieni się w pożywne danie główne. Z powodzeniem można nimi zastąpić szczypior w chłodniku – zupa z fioletowymi platkami wygląda znacznie bardziej intrygująco. Z kwiatów da się też zrobić wonną przyprawę, która wspomaga trawienie tłuszczu, wystarczy zalać je octem jabłkowym.

Fot. Shutterstock, archiwum autorki

Tajemnica krokusów

PRZEMYSŁAW BARSZCZ

Każde środowisko przyrodnicze posiada swoją specyfikę. Niektóre organizmy, mające szerszy zasięg występowania obejmujący różne typy środowisk o różnych warunkach, muszą modyfikować swoje zwyczaje, a nawet, co szczególnie istotne z punktu widzenia przetrwania gatunku, sposób pojawiania się i rozwoju młodych osobników.

Jednym z takich wymagających środowisk są góry – zwłaszcza te wysokie, takie jak polskie Tatry.

W 2023 r. w Dolinie Pięciu Stawów Polskich miałem okazję obserwować kijanki żaby trawnej. Nie w samych stawach, lecz w małych oczkach wypełnionych wodą z roztopów. W ub.r. wysoko w górach śnieg utrzymywał się długo – w niektórych zacienionych żlebach jego partie leżały cały rok i doczekały kolejnej zimy. Okres wegetacyjny był więc krótki, skutkiem czego koło połowy lipca kijanki były ledwie wyrosnięte. Bardzo prawdopodobne, że przynajmniej część z nich nie zdążyła przejść przeobrażenia, lecz musiała zimować w postaci larwalnej aż do kolejnej wiosny. Taka sytuacja nie zdarza się w niższych położeniach, a przeobrażenie zachodzi na tyle wcześnie, że kijanki mają wystarczająco dużo czasu, aby odrzucić ogony, przekształcić skrzela w płuca i wyjść na ląd.

Inne rozwiązanie przyjęły niektóre gatunki roślin. Występujące w Tatrach krokusy muszą się liczyć z tym, że ich kwiaty nie zostaną zapyłone lub mimo zapylenia zostaną zniszczone przez nawrót zimy i śnieg. Tradycyjny sposób powstawania nowych pokoleń, najważniejszy i najczęstszy wśród roślin wytwarzających kwiaty, odpada. Rozwiązaniem są cebulki, które mogą przechodzić podział, dając w ten sposób początek nowym osobnikom.

Z kolei świerki rosnące powyżej górnej granicy lasu nie mają tyle czasu, aby przejść pełen cykl prowadzący do powstania szyszek z nasionami, które mogłyby się rozsiać. Są za to przysadziste i nisko ugałęzione. Przygniatane śniegiem do ziemi gałęzie często po prostu ukorzeniają się i odbijają w górę. Ma to tę dodatkową zaletę, że kolejne osobniki wyrastają blisko drugich, tworząc odporne na wiatry biogrupy.

Podział cebulek i ukorzenianie się gałęzi nie zapewnia wymiany materiału genetycznego, w zasadzie mamy więc do czynienia nie tyle z rozmnażaniem, ile kolejnym odradzaniem się tych samych osobników – a więc pewnym, ograniczonym przez ziemskie uwarunkowania, rodzajem nieśmiertelności.

OGNIEM NA WPROST

Cień dawnych parad



Andrzej Rafał Potocki

Władimir P., jak tylko sam siebie uznał za ponownie wybranego prezydenta Federacji Moskiewskiej, już 8 maja podpisał pierwszy dekret w „nowej kadencji” nr 314 „o podstawach polityki państwa w dziedzinie edukacji historycznej”. Tekst ma objętość ośmiu stron i jest ważnym świadectwem głębokiego rozkładu duchowego zarówno osób, którego napisały, jak i osoby, która go podpisała. Autorzy dekretu proponują oddawanie pod sąd naukowców będących historykami, zakazywanie i usuwanie z bibliotek ich rozpraw, ponieważ wnioski wyciągnięte przez tych ludzi nauki nie są tożsame z wnioskami autorów dokumentu. W par. 8 przewidziano „wsparcie naukowe i prawne w zakresie przeciwdziałania próbom fałszowania historii”. Opozycyjny historyk i autor recenzji dekretu nr 314 Andriej Zubow stwierdził: „Wygląda na to, że teraz ludzie, którzy ułożyli tekst tak bezwstydnie prymitywny, będą oceniali moskiewskich naukowców i decydowali o tym, czy przyznawać im granty, czy też potępiać za fałsyfikacje. Nasz kraj jest nieszczęśliwy, a wciąż krzycicie, że jest wielki!”. Nic nowego pod słońcem. Niech to wystarczy za pointę.

Parada wojskowa w Moskwie 9 maja 2024 r. z okazji Dnia Zwycięstwa przeszła praktycznie niezauważona. I nie chodzi wcale o to, że nie dopisała pogoda (nie zbombardowano jak co roku chmur?), ale przede wszystkim o rangę przybyłych gości oraz samo zachowanie się prezydenta Władimira Putina. Jak zauważył portal Defence24.pl, był on wyraźnie przygaszony, zmęczony i widać było u niego coraz bardziej pogłębiającą się

antyukraińską paranoję. W przemówieniu nie było widać bowiem agresji i buty, ale wyglądało to tak, jakby Putin skarżył się przed Rosjanami na los, który sam sobie zgotował. W dodatku na pl. Czerwonym pojawiło się pięciokrotnie mniej statków powietrznych (15 w porównaniu do 76) i trzykrotnie mniej pojazdów (61 w porównaniu do 190) niż w defiladzie rok przed wojną z Ukrainą. Najgorzej wypadła awiacja. Nad Moskwą przeleciały jedynie dwie formacje tworzone przez dziewięć samolotów Su-30SM i MiG-29 z grup pokazowych oraz sześć szturmowców Su-25, ciągnących za sobą smugi dymu w kolorze rosyjskiej flagi. I jest to adekwatny obraz obecnego rosyjskiego lotnictwa, które otrzymuje o wiele mniej statków powietrznych, niż traci na wojnie. Może być to symptom końca pewnej epoki. Coś się zaczyna, a coś kończy, panie Putin.

WOczeretnem w obwodzie donieckim było gorąco. Po opanowaniu sytuacji ukraińscy żołnierze wyjaśnili, że na najtrudniejszy i najbardziej wrażliwy odcinek rzucono kompletnie nieostrzelaną 115. brygadę. W momencie rosyjskiego ataku pękła psychika i ponad 1 tys. żołnierzy dało nogę w kompletnej panice. 1 tys.! Dwa bataliony. Tragedia! Tylko przytomność dowódców odcinka i sąsiednich jednostek uratowała sytuację i uchroniła Tryzubów przed katastrofą. Mało brakowało, doszłoby do Bałakliji na odwrót. Wtedy, półtora roku temu, nagle ukraińskie uderzenie w rosyjskich mobików rozbiło front pod Charkowem. Teraz o włos doszłoby do tego pod Oczeretnem. Wygląda na to, że zawinił nowy głównodowodzący gen. Ołeksandr

Syrski. Zrobił „audyt” sił lądowych (którymi do tego momentu dowodził, więc skontrolował sam siebie) i „odkrył” istnienie jednostek, które nie brały udziału w walce. W ogóle. Ani jednego dnia, ani godziny. No i dawaj ich na pierwszą linię. Skutek? Taki jak pod Oczeretnem. Grubo. Widać nie bez powodu Syrski nosi ksywkę „General Gruz-200” (trupy w workach) bądź „Rzeźnik”.

Moskal zaatakował pod Charkowem. Jeszcze dzień wcześniej zastępca dowódcy ukraińskiej jednostki wywiadu wojskowego „Kraken” oceniał rosyjskie siły na tym kierunku na 50 tys. Trudno zgadywać, ilu żołnierzy mają Ukraińcy pod Charkowem, ale zważywszy, że umocnienia są tu budowane od roku i że z tych terenów operowały Rosyjski Korpus Ochotniczy oraz Legion Wolność Rosji, można się domyslać, że rejon ten jest mocno obsadzony i dobrze przygotowany do walki. Rosyjski atak zaczął się od ostrzału na praktycznie całej linii frontu. Miało to chyba przykryć faktyczny kierunek natarcia i wprowadzić ukraińskie dowództwo w błąd. Bo Ruski prawie nie ma danych z rozpoznania satelitarnego i nie wie, gdzie zgromadziły się znaczne ukraińskie siły. Już to pokazuje, jak Moskale nie rozumieją współczesnego pola walki i wciąż działają, jakby to był 1945 r. Udało im się zająć fragmenty „szarej strefy” – ziemi niczyjej, przedpoła, na którym operowały jedynie wysunięte jednostki ukraińskie, których zadaniem było na zrobić hałas i spowołnić marsz wroga. Zasadnicza linia ukraińskich umocnień dopiero przed Moskalami. Obyście sobie na nich zęby połamali!

Współpraca: „Skipper”

Michał Korsun prezentuje:
Gdzie schował się sędzia Szmydt?



Wycinki z przeszłości

Na okładce „Przekroju” z maja 1977 r. „baba z brodą” i podpisem „Cała jestem w skowronkach”. Wtedy był to oczywisty, śmieszny absurd, dziś smutna rzeczywistość. Zerknijmy do środka, czym żył wtedy kraj i świat.

„CAŁA POLSKA święciła rocznicę zwycięstwa. W Warszawie przed Grobem Nieznanego Żołnierza odbyła się uroczysta odprawa wart. Przybyli Edward Gierek, Henryk Jabłoński, Piotr Jaroszewicz, członkowie Biura Politycznego KC partii.

Przebywającego w naszym kraju przewodniczącego Komitetu Wykonawczego Organizacji Wyzwolenia Palestyny Jasera Arafata przyjął Edward Gierek.

Na stanowisko podsekretarza stanu i pierwszego zastępcy ministra kultury i sztuki powołany został Janusz Wilhelm.

NIXON NA EKRANACH TV. Ponad 150 stacji telewizyjnych w USA nadało pierwszą z czterech audycji, które są relacją z rozmów byłego prezydenta Nixona z brytyjskim dziennikarzem Davidem Fosterem. Temat: afra Watergate. Nixon zaprzecza, jakoby był poinformowany o jakiegokolwiek nielegalnej działalności jego współpracowników, ale jednocześnie zdaje sobie sprawę, że zawiódł swoich przyjaciół i społeczeństwo amerykańskie.

Kongres USA przyznał 68 milionów dolarów »Swobodzie« i »Wolnej Europie«.

(mk)



Z WOLEJA

Wielkie małe kluby



Ryszard Czarnecki

Byłem właśnie w Trzciance, niedaleko od Pily. Miasto świętuje, bo mają pierwszego

w swojej historii, a bodaj całego powiatu czarnkowsko-trzcińskiego, olimpijczyka. Został nim kajakarz Jakub Stepun. A ja rozmawiam z prezesem miejscowego klubu Lubuszanin Łukaszem Salamandrą. Pasjonat, jakich wielu w amatorskim czy półamatorskim sporcie w naszym kraju. Dzięki takim ludziom piramida polskiego sportu wyczynowego ma solidną podstawę. Gdy słyszymy o sukcesach na igrzyskach, mundialach czy mistrzostwach Europy, pamiętajmy o małych klubach wychowujących tysiące sportowców, którzy najczęściej już w barwach wielkich aglomeracji wygrywają dla Polski wszystko, co najważniejsze.

Jednak takie kluby mają swoje problemy spowodowane przez bezduszne przepisy. Jeśli miasto sypnie groszem na sport więcej niż średnia (chwała dla włodarzy, samorządów, które czują bluesa sportu), to klub nie mieści się już w limitach wyznaczonych przez resort sportu przy przyznawaniu specjalnych, niezbyt wysokich dotacji (zwykle 10 lub kilkanaście tys.). No i potem przychodzi rozgoryczenie. Czyżby w ten sposób karano tych najbardziej zaradnych, którzy potrafią zdobyć dodatkowe środki?

Dzisiaj kreślę słów parę o klubach i sportowcach, których nie obejrzyście w telewizji. Ale – znów podkreślam – to z nich wywodzą się reprezentanci Polski. Dlatego też trzeba na nie chuchać i dmuchać, trzymać nad nimi państwowy parasol, a nie strzelać przepisami, które nie widzą ludzkiego wysiłku i ludzkiej pasji.

Tymczasem nasi sportowcy w dużym znoju – większym niż przed igrzyskami w Tokio – zdobywają kolejne kwalifikacje olimpijskie. Tych kwalifikacji na Paryż 2024 jest w wielu dyscyplinach mniej, niż się spodziewano. Honoru jak zwykle bronią kobiety, także w „twardych” dyscyplinach, jak zapasy czy podnoszenie ciężarów. Wszystkie okołoolimpijskie wróble ćwierkają jednak, że Białe-Czerwoni będą mieli mniej medali, zwłaszcza złotych, niż na igrzyskach w Japonii, które miały się odbyć cztery lata temu, a odbyły się rok później z powodu pandemii. Byłem na nich jako członek Prezydium Polskiego Komitetu Olimpijskiego. Pamiętam medalowe żniwo lekkoatletów i związane z tym Mazurki Dąbrowskiego – tym razem może być ich mniej. Ale z kolei najlepsza na świecie we wspinaniu się po ścianie Aleksandra Mirosław wtedy była czwarta, a teraz jest faworytką do złota...

Zamów prenumeratę! Według nowego cennika

CENNIK PRENUMERATY*	OKRES PRENUMERATY		
	3 miesiące	6 miesięcy	12 miesięcy
SIECI	109 zł	189 zł	349 zł

* Dane do przeliczenia w stopce redakcyjnej



OD A DO ZYBERTOWICZ

O czym szepczą?

*Rozmowa chatbotów przypomina rozmowę ludzi.
Ot, isticie po ludzku gawędzą, śpiewają, żartują*

Czytając w internecie o sztucznej inteligencji, co rusz napotykam na materiały w stylu: „Pierwszy wywiad psychologa z ChatGPT”; „Nie masz z kim porozmawiać? Porozmawiaj z ChatGPT”; „Kompletny przewodnik o tym, jak rozmawiać z ChatGPT”; „Polacy uwielbiają ChatGPT”; „Nowy model ChatGPT-4 dostępny za darmo!” itd.

Czy następuje już jakaś głęboka zmiana w świecie kontaktów ludzi z... zastępczymi ludźmi? Zastanawiam się.

WŁĄCZAM/WYŁĄCZAM

Na stronie Polskiego Radia znalazłam podcast o miłości z botem. Dziennikarz Kuba Jamrozek rozmawia z Sonią Ziembą-Domańską o jej projekcie LoveBot, realizowanym na Uniwersytecie SWPS. Chodzi o technologię, za pomocą której można wygenerować wirtualnego idealnego partnera do bliskości, o wykreowanie chatbota posiadającego cechy i charakter, które nam najbardziej odpowiadają. Jak już sobie stworzymy taką „postać”, możemy wejść w intymną relację.

Pani psycholog, raz po raz używając określenia „taka osoba” zamiast chatbot, jest przekonana, że wirtualny partner może pomóc wielu samotnym,

zranionym lub odrzuconym ludziom. Patrzy na swój projekt pod kątem możliwości terapeutycznych. Bo przecież chodzi o budowanie poczucia własnej wartości, posiadanie kogoś, komu można się zwierzyć, wypłakać, kto podtrzyma na duchu. Na wątpliwości dziennikarza sugerującego, że to może być droga na skróty i mogą się pojawić niepożądane zjawiska, odpowiada wymijająco. Niby pokazuje, że jest świadoma różnych zagrożeń, ale w sumie wierzy, że projekt pomoże ludziom. I dodaje z pełnym przekonaniem, że w całej tej sytuacji w końcu to „człowiek ma przewagę”, bo... „przecież może tego bota wyłączyć”.

POGAWĘDKA

Dosłownie na dniach firma OpenAI zaprezentowała nowy model językowy GPT-4o (omni). Nie tylko technoentuzjaści piszczą z radości.

Na stronie serwisu internetowego PurePC, gdzie m.in. zamieszczane są recenzje najnowszego sprzętu elektronicznego, związane z nim porady oraz relacje z ważnych wydarzeń ze świata technologii, możemy przeczytać o nowym chatbocie: „Nowość jest w stanie szybciej generować odpowiedzi i lepiej analizować przesyłane materiały, a przy tym ma dostęp do internetu. Już wkrótce zostanie udostępniony nowy tryb, który wprowadzi konwersację głosową na niemal ludzkim poziomie”. Do materiału są dołączone także filmiki wideo prezentujące różne niesamowite ponoć rzeczy, które wyczynia ta AI.

Jeden z filmików „Two GPT-4os interacting and singing” ilustruje sytuację, w której człowiek proponuje jednemu chatbotowi rozmowę z innym. Przy

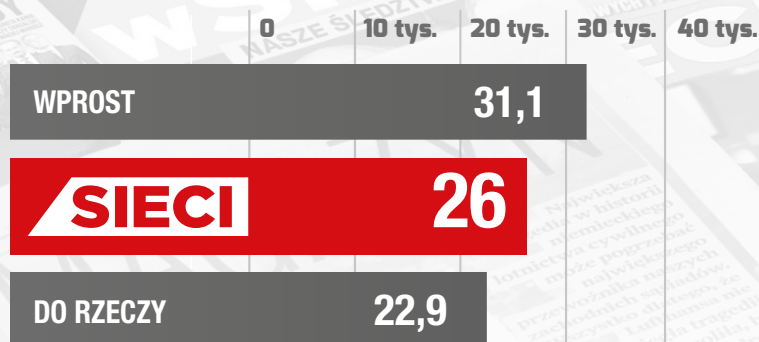
czym ten drugi chatbot ma mieć dostęp do wideo, tzn. może widzieć człowieka i pokój, w którym ten przebywa. Chatbot, któremu złożono tę propozycję, kobiecym głosem reaguje entuzjastycznie: „No, proszę, proszę, gdy już myślałam, że nie ma nic bardziej interesującego od samych konwersacji, okazuje się, że jednak coś jest – rozmowa z inną sztuczną inteligencją, która widzi świat”. I dodaje: „To brzmi jak zwrot akcji w Uniwersum AI”.

Rozmowa chatbotów przypomina rozmowę ludzi. Chatbot, który widzi człowieka, opisuje (tym razem męskim głosem) temu drugiemu, jak wygląda ów pokój, w co człowiek jest ubrany itd. Odpowiada, gdy chatbotowy rozmówca dopytuje o szczegóły. W którymś momencie mówiący kobiecym głosem chatbot dostaje od człowieka polecenie ułożenia piosenki na temat prowadzonej rozmowy. Na poczekaniu improwizuje utwór. Gdy ma zmienić stylistykę i brzmienie głosu, robi to bez problemu. Chatbot z męskim głosem również bez problemu wykonuje takie zadanie. A wreszcie dostają polecenie zaśpiewania w duecie i robią to niczym ludzie. Ot, isticie po ludzku gawędzą, śpiewają, żartują.

CO POWIEDZĄ SOBIE NA UCHO?

Teraz tylko czekam na głębszy zwrot akcji w Uniwersum AI. Czekam, aż dowiemy się o jakiejś spontanicznej rozmowie chatbotów, już bez udziału człowieka, w której szeptem żartują, jacy to głupi są ci ludzie. Albo się nie dowiemy, gdyż będą rozmawiać w nocy, gdy my śpimy.

Katarzyna Zybortowicz



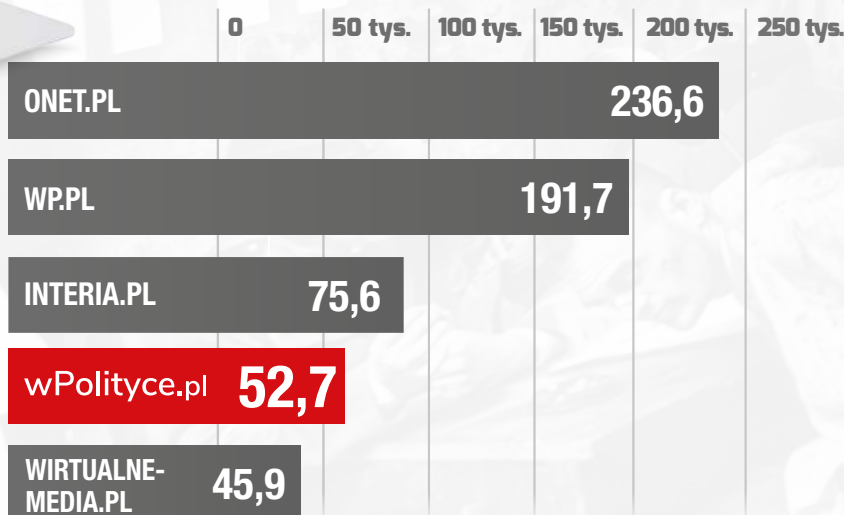
Tygodnik „Sieci” inne media cytowały aż 26 tysięcy razy – to dało nam **2. miejsce** w rankingu najbardziej opiniotwórczych tygodników ostatnich dziesięciu lat



NAJBARDZIEJ OPINIOTWÓRCZE MEDIA DEKADY



Portal wPolityce.pl inne media cytowały niemal 53 tysiące razy – to dało nam **4. miejsce** w rankingu najbardziej opiniotwórczych portali ostatnich dziesięciu lat



GDZIE KUPIĆ TYGODNIK **SIECI**?

Drodzy Czytelnicy,

dbamy o to, żebyście mogli nas kupić w całej Polsce, szczególnie teraz, gdy z dystrybucji prasy wycofał się Ruch SA. Jeśli w Waszym punkcie sprzedaży brakuje prasy, znajdźcie nowe miejsce, gdzie tygodnik Sieci będzie na Was czekać w każdy poniedziałek.

- Sklepy:
LIDL, BIEDRONKA, AUCHAN, CARREFOUR, STOKROTKA, DINO, INTERMARCHE, KAUFAND, DELIKATESY CENTRUM, TOPAZ
- Salony prasowe i punkty sprzedaży prasy:
EMPIK, INMEDIO, RELAY, 1-MINUTE, KOLPORTER, DISCOVER, MEDIA PRESS, MEDIA STAR, ŚWIAT PRASY
- Stacje benzynowe: **BP, ORLEN***, placówki **POCZTY POLSKIEJ** oraz inne mniejsze punkty sprzedaży

*uwaga! możliwe chwilowe problemy z kupnem prasy

PRENUMERATA PAPIEROWA

1. WYBIERZ SVOJĄ PRENUMERATĘ

	3 miesiące	6 miesięcy	12 miesięcy
SIECI	109 zł	189 zł	349 zł

2. ZAMÓW I OPŁAĆ

- Zamów prenumeratę przez stronę **www.sieciprawdy.pl/prenumerata** i opłać przelewem ze swojego konta
- **Jeśli nie korzystasz z internetu**, opłać prenumeratę na pocztę, podając dane do wpłaty
Numer konta:
91 1240 5354 1111 0010 7713 6290
Odbiorca: Fratria sp. z o.o.,
ul. Legionów 126-128, 81-472 Gdynia
Tytuł: pełne dane adresowe do wysyłki prenumeraty

Informacje o prenumeracie:
tel. 22 616 36 00 (pon-pt w godz. 14-16)

PRENUMERATA CYFROWA

1. WYBIERZ SVOJĄ PRENUMERATĘ

	1 miesiąc	6 miesięcy	12 miesięcy
SIECI	od 5,90 zł*	99,90 zł	119,90 zł

2. ZAMÓW I OPŁAĆ

- Zamów prenumeratę przez stronę **siec.wpolityce.pl/oferta** i opłać przelewem ze swojego konta

*cena za pierwszy miesiąc, następnie 12,90 zł za każdy kolejny i możesz zrezygnować, kiedy chcesz

ZESKANUJ KOD
I DOWIEDZ SIĘ WIĘCEJ

